

KAJETAN STUART





KAJETAN STUART

WACŁAW GAŚSIOROWSKI

KAJETAN STUART

(OSTATNIA OBRONA CZĘSTOCHOWY)

POWIEŚĆ

z czasów Księstwa Warszawskiego



WARSZAWA

Nakładem Kasy Warszawskich Pomocników Księgarskich

1903



Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Октября 1902 года.

44 r.

Notatka historyczna.

Powieść historyczna tem trudniejszą jest dla pisarza, im karty dziejów, na tle których ma się akcja rozgrywać, są bliższe współczesnych czytelników. Do takich epok bardzo trudnych należy jeszcze epopea napoleońska. Materiałów znanych i nieznanych moc niesłychana, pamiętników zabarwionych stronniczością ilość nieprzebrana, a pozatem i zdania urobione o postaciach działających. Tu więc fantazya, jeżeli nie chce wziąć rozbratu z historyą, musi być trzymana na wodzy, bo tu żyją tradycje rodzinne, a starannie przechowywane przez wnuków i prawnuków dokumenty, co chwila grożą zadaniem kłamu. Prawda, powieść historyczna nie ma obowiązku liczyć się z osobistościami, które bezpośrednio na bieg dziejów nie wpłynęły — atoli... zarzut nieprawdziwości osłabia jej wrażenie, obniża jej wartość w oczach czytelnika, niejako rozczarowuje go.

Rozpoczynając „Huraganem“ cykl napoleońskich powieści, zdawałem sobie sprawę z zadania, przetrawiłem poważną ilość materiałów i dziś spotykam się ustawicznie z prośbami o wskazanie dokumentów i podręczników, z których czerpałem... A prośby te są tem ciekawsze, że pochodzą od potomków napoleończyków. Wnukowie zameczają mnie pytaniami, chcą wiadomości swoje o dziadach uzupełnić i przekonać się, czy istotnie „Huragan“ mówi prawdę. Mając zamiar udzielenia wyjaśnień drobiazgowych na właściwym miejscu—tu uprzedzam wypadki i daję ścisłą notatkę historyczną o bohaterze tej powieści mojej.

Notatkę daję na podstawie oryginalnych papierów i dokumentów, poświadczonych częściowo przez Główny Sztab w Petersburgu (jak „wypis z rodowodów“) a częściowo opatrzonych stemplami i podpisami współczesnymi — a dalej, na podstawie autografów bohatera, marszałka Davoust, generała austriackiego Bronovacky'ego i t. d.

Rodzina Stuartów, osiadła na naszej ziemi, jest niezaprzeczenie i bezspornie pochodzenia królewskiego. Niema tu bałamutnych podań, ani wypadków ginących w zamierzehłej przeszłości.

Po śmierci Maryi Stuart, rodzina jej schroniła się do Francji, znajdując na dworze Ludwika gościnę i poparcie. Część jej, po śmierci Elżbiety, powróciła do Szkocji i zdołała nawet

odzyskać zabrane im posiadłości i przetrwała do dnia dzisiejszego na wysokich stanowiskach, dziejąc lordowskie tytuły — a garstka oporna, hardo wzgardziła ulaskawieniem i pozostała we Francji. Takim był właśnie Jan Stuart, wysoce strzegący swej krwi królewskiej i nieprzebiegany wróg Anglii.

Syna pomienionego Jana Stuarta, również Jana, poznał był na dworze francuskim Stanisław Poniatowski, jeszcze stolnik litewski i namówił do podróży do Warszawy.

Jan Stuart przyjechał, a mianowany po elekcji króla Stanisława, szambelanem, osiadł na stałe, ożenił się z Włoszką niezwyklej urody i dał początek polskim Stuartom, którzy stali się dobrymi obywatelami kraju przybranego i do dnia dzisiejszego, obok tradycyi szkockiego pochodzenia, przechowują dlań głęboką miłość. Pierwszy Stuart polski urodził się w Warszawie, dnia 17 Stycznia 1774 roku.

Syn Jana—Kajetan Stuart, jako piętnastoletnie chłopię wstąpił do korpusu artylerji koronnej, na kadeta. A po odbyciu kampanii roku 1792, całą kampanię roku 1794 już w randze porucznika (lat miał 20 zaledwie) przesłużył.

Pierwsze pobudki legionów włoskich pociągnęły Stuarta. Od sierpnia roku 1797, w randze kapitana artylerji, nie opuszcza na chwilę Dąbrowskiego i Kniaziewicza. W roku 1801, gdy przy reorganizacji legionów zniesiono artylerję—

przechodzi do piechoty, a po skasowaniu i rozpięczeniu się legionów jeszcze nie rzuca służby. W roku 1805 jest w Wenecyi, a w 1806 w państwie neapolitańskim. Tam dochodzą go wieści o bitwie pod Jena, tam pobudki bonapartowe, rozlegające się nad Wisłą, niewolą go do powrotu—i są silniejszymi ponad węzły sercowe, którymi go skula piękna Wenecyanka.

Dnia 3 kwietnia 1807 jest już majorem 2 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego. Dnia 7 stycznia 1808 r. z pułku „Stasia“ (Potockiego) przeniesiony na podpułkownika do 8-go pułku Godebskiego—i osadzony w Częstochowie jako komendant. Po śmierci Godebskiego na polach Raszyna—mianowany został pułkownikiem tegoż pułku (dnia 5 maja 1809)—i już dnia 16 maja tegoż roku odparł dzielnie ostatnie oblężenie Częstochowy korpusów austriackich generałów Grammonta i Bronovacky'ego, zapisując się na wieczne czasy na liście obrońców Jasnej Góry.

Mężny pułkownik szedł dalej za zawierucha napoleońska, odbył kampanię roku 1812 i ciągle z pułkiem dotarł aż do tragicznego Lipska. W pamiętnej tej bitwie utracił lewą nogę. W roku 1814 umieszczono go w korpusie inwalidów— a w roku 1815 przez Cesarza Aleksandra I w ocenę rycerskości mianowany był płatnikiem generalnym wojsk polskich a w roku 1816 generałem brygady.

Umarł w roku 1824 dnia 15 listopada.

Jak dalece Kajetan Stuart był szanowanym, lubionym i cenionym, niech posłuży za dowód, że, według posiadanego przeze mnie wypisu z ksiąg metrycznych z kościoła św. Jana w roku 1815,—wypisu poświadczonego w drodze urzędowej,—gdy Kajetanowi Stuartowi urodził się syn, z żony Fryderyki Gerhard (pochodzenia saskiego, Polki)—rodzicami chrzestnymi byli: „*Jego Cesarska Wysokość Głównodowodzący wojskami Królestwa Polskiego, Wielki Książę Cesarzewicz Konstanty Pawłowicz* z żoną Namiestnika Królestwa Polskiego, Józefą Zajączkową—a to w obecności świadków: generała kawaleryi, senatora, wojewody, Jana Henryka Dąbrowskiego, (wymienione order) z księżną Józefą Sułkowską,—szambelana *Dworu Jego C. M.* barona Jana Morenheim a z żoną generała wojewody, Barbarą Dąbrowską—generała dywizyi, Józefa barona Chłopickiego (order) z generałową Karoliną Hauke,—generała brygady i sekretarza stanu Królestwa Józefa Rautenstraucha (order) z Teresą hrabiną Kicką.“

Kajetan Stuart nie tylko z rodu zasługiwał na to wyróżnienie. Około stu bitew i potyczek, w których brał czynny zawsze i osobisty udział na placu, liczył w swoim stanie służby. Mając w nich—cały rok 1792 i 1794 — dalej Tagliano, Civitta-Castellana, Gaeta, Capua, Cortona, Arezzo, Trebia, Pontremolii, Novi, oblężenie Wenecyi, Castel-Franco, Lago-negro, S-ta Eufemia, Pizzo (kampania w Kalabryi) a potem Częstochowę

i nowy szereg bitew austriackich, a wreszcie Smoleńsk, Możajsk, Wiaźma, Krasne i Lipsk.

Oto dokładny obrachunek pięćdziesięciu lat życia żołnierza napoleońskiego, a w tych pięćdziesięciu latach tylko piętnaście lat w domu rodzicielskim, tylko dwa lata i siedm miesięcy bezczynności przymusowej (od roku 1804 — 1807) a potem jedno nieprzerwane pasmo trudów, poświęcenia i zaparcia się, a nawet niewoli angielskiej (w Kalabryi).

Tak się odwdzięczył pierwszy Stuart zrodzony u nas—tak wstępnym bojem zdobył dla pokolenia swego imię nie tylko dawnym blaskiem korony błyszczące, lecz wawrzynami rzetelnej zasługi osobistej opromienione.

Autor.

I

Dżdżysta, kwietniowa noc spowiła mury Jasnogórskiego klasztoru, w czarnych smugach deszczowych skryła wystrzelistą wieżycę, zasnuła sklepienia niebieskie nieprzeniknionym całunem groźnych chmur.

Częstochowa układała się do snu. Światelka gasły i nikły. Już tylko w karczmie, na przedmieściu Świętej Barbary, migotały niepewne ogniki dogasającego łuczywa. Lecz i tu myślano o spoczynku. Karczmarz podniósł się leniwie z za szynkwasu, przeciągnął się i krzyknął na parobka, aby okiennice zamykał. Parobek zwiłkł się z ławy i szedł ociężałe spełnić rozkaz, gdy wtem dał się słyszeć łopot kopyt końskich.

— Ciel.. Przygnało kogoś!..—mruknął ze złością parobek.

— Hej! karczmarzu! — ozwał się dźwięczny głos poza drzwiami.

— Józiek! Słyszałeś?! — fuknął gospodarz. — Pewno kto z końmi!...

— Cie... śmierci na włóczęgów niema! Noc przecie... a...

Parobek nie dokończył, gdy drzwi z trzaskiem się otwały i do izby wpadł jak wieher młody porucznik w ułańskim mundurze.

— Do pioruna! — huknął przybyły. — Niema żywej duszy!... Obroku dla koni! Stajnie otwórz!... Chcesz, żydzie, żeby cię rozumu nauczyć!...

Karczmarz zgiął się pokornie, uchylił jarmułki i wyszeptał:

— Wielmożny panie!.. Jaśnie wielmożny panie... właśnie lece!.. Wielmożny oficer pozwoli!... Józek... ty... ty niedołego!.. Słyszałeś!.. Mam ci powtórzyć!.. Leć!.. Po drodze zawołaj na Jentę... może pan oficer będzie czego potrzebował...

— Piwa grzanego!.. Chleba!.. Może ser jest! Byle prędko!..

— Wszystko będzie!.. Dla wielmożnego oficjera musi być!

Karczmarz półgłosem wydawał parobkowi rozkazy, porucznik zaś wychylił się przez drzwi na drogę i rzucił:

— Barcikowski!

— Uważam, panie poruczniku! — rozległ się donośny głos.

— Oddaj komendę sierżantowi Bułkowskiemu! A sam tu do mnie, z ochotnikiem Cybińskim!..

— Według rozkazu!...

— Konie do stajni! Jeżeli się nie zmieszczą, zająć drugą gdzie w sąsiedztwie. Czterech na widety... sześciu... pod bronią!

— Według rozkazu!...

Porucznik zasiadł przy stole. Parobek wysunął się z izby. Karczmarz zatknął świeże łuczywo. We drzwiach ukazał się stary wachmistrz ułanów, a za nim młody żołnierz. Porucznik skinął na przybyłych, aby zajęli miejsca na przeciwległym rogu stołu.

Karczmarz rozstawiał przed gośćmi naczynia i zagadywał:

— Wszystko będzie! Zaraz będzie!.. U mnie sam pan generał ze dwa razy nocował!.. A pan pułkownik! Ani razu karczmy nie ominie! Zawsze zagadnie, co słyhać, a spojrzy, czy tam niema kogo z załogi!.. Ba, a czy to u mnie może jaki żołnierz posiedzieć, chyba w nocy i to cały oddział!.. Gdzie!.. Ledwie się ściemni, już bramę w klasztorze zamykają!..

— A wam się to nie podoba! — zauważył z przekąsem porucznik.

— Może?! Mnie nie ma się co podobać, ani niepodobać... tylko... wielmożny pan rozumie!.. Bieda!.. Szlachta nie ma, chłopci nie mają... a jak jeszcze żołnierzom nie wolno!.. Przecież ja dla siebie karczmy nie trzymam... Dawniej, jak tu był major, pan Wosiński!.. Też było bardzo surowo ale... klasztor zamykał się trochę później... otwierał trochę wcześniej i, dzięki Bogu, nie by-

to nieszczęścia... Można było żyć!... A teraz... czasem gorzej, niż jakby podczas wojny...

— Dawaj prędzej jeść i pić a nie rezonuj!...

— Zaraz będzie! Już jest!.. Czy ja rezonuję?..

Jabym chciał żeby wszystkim było dobrze!.. Taki deszcz, takie zimno, czy ja to nie wiem, że pan oficer po służbie?!.. A, bez urazy... żeby nie ta zamknięta brama... to czy wielmożny pan potrzebowałby u Berka w karczmie siedzieć?..

— No, no! Nie twoja rzecz!—rzekł niechętnie porucznik.

— Ach! Wielmożny panie, czy ja mówię, że moja! Czy ja bym śmiał!.. He-he! Wojsko! Ja rozumiem, co to jest wojsko!.. A pan pułkownik jest taki srogil!.. U mnie to przecież i pan sędzia Walewski staje, a zawsze dobre słowo ma, ale pan pułkownik!.. Taki surowy... taki wielki pan... że może jak wojewoda!..

— Głupiś, żydzie!.. I takich wojewodów nie wielu byś znalazł, coby się z tak wielkiej, jak on familii wywodzili!.. Królewski ród!..

— Królewski ród!.. Jest piwo... Jeje!.. Królewski!.. Jakie to szczęście!.. A ile z tego pan pułkownik może mieć dukatów?!...

— Co ma, to ma! — uciał porucznik. — Patrz swego, do cudzego się nie wtrącaj.

— Czy ja bym śmiał! Królewski ród!.. Ja to rozumiem!.. W Pilicy jest jeden stary Abram, świętobliwy mąż, to mówią, że on pochodzi od

króla Dawida!.. Może wielmożna osoba pozwoli trojniaku!.. Przedni miodek!..

— Nie trzeba!..

— Dlaczego nie?!.. Niech Berko ma to szczęście!.. Czy on żąda zapłaty!.. Jeje! żeby tylko wielmożne oficjery chcieli!..

Karczmarz sięgnął do szafki pod szynkw asem, wyciągnął pękaty gąsior i ustawił przed porucznikiem na stole.

— Niech wielmożna osoba spróbuje!.. To nie trucizna!.. Da się pić!.. Może w całej okolicy nie ma takiego... Niech służy na zdrowie!.. Niech ja mam tę radość, niech mi się przypomną dawne czasy... może lepsze czasy!..

— Więc wam teraz tak ciężko?—zapytał łaskawiej porucznik, sięgając po kubek wypełniony ciemnym, zawieszonym trunkiem.

— Oj ciężko, bardzo ciężko, wielmożny panie; jak nigdy nie bywało... Był pan major Wojskiński, był pruski generał Wagenfeld, byli panowie konfederaty—a handel jakoś szedł, a czasy były gorsze... codzień bitwy, codzień strzelanie, codzień gwałty!.. Teraz cicho, spokojnie...

— Hm! Nie wiadomo!.. Kto wie, co będzie...

— Czy to prawda, wielmożny panie, że mówią o wojnie?..

— Może i nie bez kozery. Austryaka skóra świerzbil!.. Porwie się, dostanie znów od Napoleona nauczki!..

— Dobrze mu tak! Czego się z Napoleonem zadaje!.. Z takim cesarzem niema żartów!.. Ja to zawsze mówiłem!.. On jeszcze gorszy, niż pan Puławski! Co ten dokazywał! On może samych żydków ze dwudziestu powiesił!.. Bardzo wielki wojak!.. Bardzo duży rycerz! Ja wiem, ja rozumiem!.. Jak cesarz Napoljon przyszedł, to się zaraz zrobiły staropolskie czasy!..

— Dosyć—dosyć! — przerwał surowo porucznik.—Przygotuj nam izbę do noclegu... a językiem nie miel, bo ci go jeszcze przytną albo skórę obiją, żebyś za wiele nie gadał.

Karczmarz skulił się i roześmiał nieszczerze.

— He-he. Wielmożny pan oficer bardzo łaskaw!.. Wszystkie oficerzy takie na mnie łaskawe... zaraz będzie! Zaraz!.. He-he!..

Berko zakręcił się i wyszedł chyłkiem z izby. Porucznik spojrział ku swym podkomendnym i zauważył półgłosem:

— Szczwany to lis!.. Nie darmo chodzą wieści, że z rozmaitymi konszachty prowadził!.. Plucha dopiero! Jak to łomocze deszcz!..

— Prawda, panie poruczniku!—odrzekł wachmistrz, podnosząc się z miejsca.

— Siedź, siedź Barcikowski, — upominał porucznik i, łyknawszy miodu, ciągnął dalej.—Trunek nielada!.. Spóźniliśmy się... żeby nie ślota, zdążylibyśmy byli do klasztoru przed apelem!.. Żyd, szelma, ma rację!.. Niechby sobie bramy

były zawarte dla obcych!.. ale co przecież nas do koszar z podjazdów wpuszczaby powinni!.. Ludzie tylko marnują się, no i konie!..

— Pewnie, panie poruczniku! — przytwardził znów wachmistrz.

— Chociaż co robić... rozkaz!.. I to rozkaz marszałka Davousta!.. Spełnić trzeba!.. Jeno daleka to komenda!.. Pan marszałek na oczy nie widział Częstochowy!.. Nawet taki ład to i ojeom Paulinom dokuczył!.. W dzień nie puszczają w mury nawet tych, co przychodzą pokłonić się Najświętszej Paniencie a pielgrzymkę odprawić. Bez okazania papierów i zbadania, wstępu niema!.. Gdzie tu szukać papierów!.. Chudzina taki idzie z modlitewką, z ofiarowaniem pobożnym, wędruje świat drogi do Pocieszycełki, do Orędowniczki a tu... nie wolno!.. Żał się Boże!..

— Żał, panie poruczniku!..

— Marszałkowski rozkaz!.. Pogналиśmy za Pilicę, dotarliśmy do pikiet austriackich pod Sławkowem... dwa konie zmarniały i co?... Nie!.. Podjazdy w czasie spokojnym!.. Eh!.. Przykrzy się!..

— Przykrzy, panie poruczniku.

— Jutro dadzą nam może wytchnąć, a pojutrze znów wypędzą w inną stronę... Dyabli nadali!..

— Dyabli nadali, panie poruczniku!

Porucznik spojrział ze zdziwieniem na starego wachmistrza.



— Barcikowski, a wy co?!...

— Nie, panie poruczniku.—Wymówiło się!...

— Zważ acan, co mówisz! — upomniął porucznik i zamyślił się.

Naraz za oknami rozległ się stukot zajeżdżającego pojazdu i zgiełk pomieszanych głosów.

Porucznik zaklął.

— Do licha! Jak tu się zwala nam jeszcze jacy podróżni—będziemy mieli ładny nocleg!..

Wachmistrz chciał przyznać słuszość porucznikowi, gdy wtem do izby wbiegł otulony płachtami żyd.

— Berko! Berko! — wołał gorączkowo przybyły.—Chodź prędzej!.. Jaśnie pani hrabina, jaśnie pan hrabia!..

— Milczcie tam! — zgromił żyda porucznik.— W lesie jesteś!... Drzwi... zamykaj!..

Żyd stropił się.

— Wielmożny panie!... Ja nie! Broń Boże!... Jaśnie hrabina!.. Jaśnie hrabia!..

Berko tymczasem wypadł z alkierza, zamienił kilka słów z przybyłym żydem i wybiegł z nim razem przed karczmę.

Porucznik mruczał zły, nasrożony, obiecując sobie za żadne skarby nie ustępować miejsca nikomu i, nie zważając na ruch, który nagle zaplanował w izbie, pochylił się nad miodem. Powoli jednak, wiedziony ciekawością, jał wzrok podnosić i przypatrywać się dość niezwykłemu widoku.

Więc najpierw dwóch roslých strzelców zносиło całe stopy puzderek i łomoczków i ustawiało w rogu karczmy. Za strzelcami wsunął się wysoki, chudy jegomość w opiętym szczelnie surducie i kapeluszu ze złotym galonem, skłonił się lekko porucznikowi i jał rozkładać w rogu izby około tobołków dywan i siedzenia gotować. Za tym jegomością weszły znów dwie zgrabne panny i, zrzuciwszy z siebie szaty, zaczęły rozwijać niektóre węzłki i porządkować je. Dopiero za pannami, ukazała się wysmukła postać młodej kobiety w towarzystwie szpakowatego mężczyzny. Karczmarz z żydem nieznanym i jeszcze kilku strzelcami zamykali pochód.

Berko kłaniał się uniżenie, ręce rozkładał i szwargotał po niemiecku ze szpakowatym mężczyzną, który mu od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie.

Równocześnie przeciwległy róg izby w oczach porucznika przeistaczał się nie do poznania. Brudne ławy pokryto puszystymi dywanami, stoły zasłano jedwabnymi obrusami. Z puzderek dobyto świeczniki, kryształ, porcelanowe zastawy, a z niemi razem obfite zapasy prowiantu.

Zdumienie porucznika nie miało granic. A cóż dopiero, gdy nieznaną damą zrzuciła bogate futro i zdjęła z głowy szal i chusty. Porucznik ledwie oczom własnym mógł uwierzyć, aby tu, w karczmie Berka przechery, na przedmieściu Świętej Barbary, takie zjawisko oglądał.

Dama była piękną niezwykle. Jasne jak len włosy spływały jej na ramiona, bramując twarzyczkę delikatną, białą, zaróżowioną zlekka, o rysach równych, nosie i ustach wyrzeźbionych delikatnie, o dwóch łukach ciemnych brwi, oczach czarnych, głębokich, przepastnych. Opięta suknia uwydatniła zgrabną kibić nieznajomej, każdy jej ruch strojąc w sute załamy lśniacej, ciemnej materii.

Porucznik głowę pochylił ku przodowi, patrzył, chcąc bodaj wyraz z tego, co mówiła do szpakowatego jegomości, pochwycić — daremnie. Dźwięki, które go dochodziły, były mu obce, nieznane.

Berko spostrzegł snąć natarczywe spojrzenie porucznika, bo upatrzywszy chwilę stosowną, zbliżył się doń i szepnął:

— Hrabiewie!.. On hrabia i ona hrabina!.. Oboje wielkie hrabstwo!.. On to wypada dla niej wujem!.. Cały dwór! Bardzo bogaty!.. Z bardzo daleka. Cztery furgony. Dziesięcioro samej służby!..

— Co za jedni? Jak się zowią?..

— Nie nie wiem! Ten żydek, to mój szwagier... Fakturuje im od samej granicy!

Porucznik chciał jeszcze o coś zapytać, lecz Berko powrócił do krzatania się około nieznajomych gości. Kiedy już stół był zastawiony, szpakowaty towarzysz damy, zbliżył się do porucznika i rzekł po francusku z uprzejmym ukłonem:

— Panie kawalerze... może zechciałbyś przyjąć skromny poczęstunek podróżny?

Porucznik zmieszał się.

— Prawdziwie—rzekł—nie wiem!... Skądże?..

— Ach, panie kawalerze! — przerwał nieznajomy z pełną godności galanterią—miło nam będzie niezmiernie poznać jednego z oficerów tak wślawionego już wojska, jak polskie!

Porucznik podniósł się żywo z miejsca i odparł z ukłonem:

— Stanisław Raczyński, porucznik trzeciego pułku ułanów Księstwa Warszawskiego!

— Bardzo mi miło—Emanuel Venosta, hrabia Casteglano. Pozwól panie kawalerze, że cię przedstawię teraz mojej siostrzenicy! Beatryczo... pan porucznik...

— Raczyński!.. — dokończył z ukłonem oficer ułanów, rumieniąc się zlekka, pod bystrem spojrzeniem hrabianki.

Porucznik ani się spostrzegł, gdy znalazł się, tuż obok prawie pięknej nieznajomej, przy suto zastawionym stole. Hrabia z tą samą swobodną uprzejmością zachęcał oficera do jada, czyniąc uwagi nad uciążliwą podróżą, popsutemi przez roztopy wiosenne drogami, brakiem wygod na postojach. Raczyński potakiwał hrabi, ledwie cośkolwiek rozumiejąc z tego, co do niego mówił. Cała uwaga porucznika skupioną była na postaci Beatryczy, z której oka nie spuszczał, każdy jej

ruch ścigał, każde spojrzenie gonił. Snem prawie mu się wydawała.

Hrabianka spostrzegła ten niemy zachwyt, jakim promieniała twarz porucznika, uśmiechnęła się doń zalotnie i zagadnęła z cicha:

— A pan, panie oficerze, czy także w podróży?!

— Nie, pani, właściwie wracam z drogi... i jestem już u celu.

— Czyżbyśmy znajdowali się w jakim mieście?

— W mieście nie, lecz na przedmieściu, a raczej w osadzie pod Częstochową!

— Pan należy do garnizonu Częstochowy?..— zagadnął żywo hrabia.

— Tak panie.

— Ach, to wybornie się składa, bo my właśnie jedziemy tam z moją siostrzenicą.

— Z całą gotowością mogę służyć objaśnieniami, ale, niestety, są państwo zmuszeni czekać tutaj do białego dnia. Częstochowa jest postawiona na stopie wojennej, i tak dalece, że nawet mnie, wracającego z ordynansu, nie wpuszczonoby teraz.

— Aż tak!—zauważył hrabia,—w czasie pokoju godna... pochwały ostrożność! Mają panowie prawdopodobnie za komendanta jakiegoś starego żołnierza rygorzystę.

— Na ostatnie zgoda, ale co do pierwszego, nasz podpułkownik choć ma za sobą dziesiątki

przebytych bitew, alé co ledwie, że trzydziestkę przeszedł.

— Doprawdy, was, panowie, można podziwiać! Pamiętam doskonale wasze legiony u nas, w Wenecyi. Można było spotykać dzieci prawie w szeregach, a jacy to byli żołnierze!

— Pan hrabia pochodzi z Italii?

— Tak, panie, stamtąd jedziemy prosto. Fantazyja mojej siostrzenicy. Zapadłszy ciężko na zdrowiu, ślubowała sobie pielgrzymkę do jednego z najodleglejszych miejsc, wslawionych cudami Maryi Panny... niefortunna nieco wybraliśmy porę roku, ale co robić, stało się; byle tylko teraz znaleźć w Częstochowie choć kilkotygodniowy spoczynek, żeby przeczekać nienawistną pogodę. Mówiono nam, że maj bywa już ciepłym zupełnie.

— Przecież tu, panie kawalerze — wtrąciła hrabianka — będzie można znaleźć dogodniejsze pomieszczenie niż obecne...

— Kto wie! Na przedmieściach i w miasteczku wątpię, w klasztorze zapewne... ale tam znów nie wolno, podpułkownik jest nieubłagany!

— Ależ chyba dla nas...

— Nie wiem... dziwak.—Odrzekł z westchnieniem Raczyński, jakby chcąc dać do zrozumienia, że byłoby inaczej, gdyby on był komendantem.

— Lecz, panie oficerze — przerwał z powagą hrabia,—mam polecające listy od francuskiego rezydenta w Wenecyi.

— Czy poskutkuje?! Nie byłby to pierwszy wypadek! U nas rygor jest posunięty do tego stopnia, że nikomu z okolicznej szlachty, od wieków osiadłej a znanej powszechnie, nie wolno w murach klasztornych ani jednego noclegu spędzić.

— Panie, to jakiś okrutny człowiek — prze-
rwała ze śmiechem hrabianka — i nawet dla ko-
biet nie ma względu...

— Jest jeszcze surowszym.

— Jakże się nazywa?

— Kajetan Stuart!

Hrabianka spojrzała znacząco na hrabiego i spuściła oczy. Wzrok porucznika padł równocześnie na twarz hrabiego, o czole wysokiem, nosie wydatnym, kształtnie zarysowanych ustach, krótko przystrzyżonych, wąskich bokobrodach i oto naraz uderzyło Raczyńskiego niezwykle podobieństwo hrabiego do podpułkownika Stuarta. To samo czoło wysokie a wypukłe, to samo spojrzenie bystrych, szarych oczu, ten sam uśmiech zarysowujący się około ust i taż sama postawa wdrażająca uszanowanie.

Natarczywy wzrok porucznika jak gdyby zmieształ hrabiego, lecz hrabianka nie pozwoliła dłużej zastanawiać się porucznikowi. Główkę przechyliła i zagadnęła z grymasem:

— Stuart? Dziwne nazwisko, jakby Niemiec!
Hrabia zaciął usta gniewnie.

— Nie pani, Polak. Wprawdzie rodem ze Szkocyi, ale to dawne czasy, jeszcze rodzic podpułkownika przyjechał z Francyi i tu osiadł.

— Z Francyi? Mówiłeś, kawalerze, że Szkot.

— I nie cofam! Komendant pochodzi ze starego, królewskiego rodu, wyzutego z korony. Stuartowie szukali przytułku na dworze francuskim, a ojca właśnie pana Kajetana poznał był sam król Stanisław i do Polski namówił.

— No, no,—dziwiła się hrabianka — jeżeli to jest potomek tak pięknej rodziny, to chyba w nim pozostały rycerskie przymioty i, mam nadzieję, wyjdą nam one na korzyść.

— Trudno mi coś o tem powiedzieć, jednakże o ile ja będę mógł być pomocnym, znajdzie mnie pani zawsze do swoich usług.

Hrabianka z wdzięcznym uśmiechem podała rękę porucznikowi.

Raczyński, pod dotknięciem małej, wypieszczonej rączki Beatryczy, uczuł się jakby w niebo wziętym! Twarz rozgorzała mu żywym rumieńcem.

— Rozkazuj pani... będę szczęśliwym, mogąc czemkolwiek się przysłużyć.

— Trzymam pana za słowo; zadanie może i nie łatwe... mogą mieć kaprysy.

— Byle jak najprędzej i jak najwięcej.

Hrabia z dobrotliwym półuśmiechem przyglądał się droczeniu swej siostrzenicy. Beatrycza nie dała ochłonąć porucznikowi.

— Więc, panie kawalerze, proszę, opowiedz mi przedewszystkiem o tym srogim komendancie, przed którego majestatem będziemy jutro pewno musieli się stawić... ale, Paulo... nie pamiętasz o winie...

Jegomość w opiętym surducie jał winem z kryształowych naczyń wypełniać szklance biesiadujących. Porucznik sprzeciwiał się jeszcze.

— Słowem, mam zacząć od obmawiania mego komendanta?

— Przecież i to służba! Już na samym wstępie odmawia pan posłuszeństwa.

— Niekarność jest mi obcą... chcę zacząć, chociaż nie wiem właściwie, od czego?

— Ja panu dopomogę. Komendant, jak pan zapewniał, starym nie jest, ale prawdopodobnie twarz ogorzała, wzrok surowy, brwi krzaczaste, usta zacięte, nos wielki i czerwony, bo może subordynacya nie przeszkadza panu komendantowi do znajomości z kielichem! No cóż, pomyliłam się bardzo?

— Bardzo, gdyż portret przez panią nakreślony nie a nie nie przypomina naszego komendanta.

— Więc jakież on jest, jaki? — nalegała hrabianka — umieram z ciekawości.

— Jakby tu powiedzieć — rzekł z namysłem Raczyński — niech pani wyobrazi sobie... pana hrabiego... o... dwadzieścia kilka lat młodszym.

Hrabia poruszył się niespokojnie.

— Ależ pan żartuje! — przerwała żywo hrabianka.

— Ręcę słowem za podobieństwo, zresztą sama pani będzie miała sposobność przekonać się.

— To zabawne! Zaśmiała się nieszczerze hrabianka.

W tejże chwili hrabia rzucił swej siostrzenicy kilka niezrozumiałych dla porucznika wyrazów. Porucznik spojrział nieco zdziwiony na Beatrycę. Ta ostatnia w lot pochwyciła znaczenie spojżenia.

— Widzi pan, panie kawalerze, wuj czyni mi wyrzuty, że nie pamiętam o gościu. Może nasze wino panu nie smakuje?

— Czy pani mogłaby w to uwierzyć — odparł porucznik, tonąc w spojżeniu Beatryczy i wychylając pośpiesznie nalaną szklanicę.

— Tak mi się zdawało.

— Otóż — zaczął teraz śmieiej Raczyński, ile że mu jakoś w głowie rozwidniało — podobieństwo uderzające! Im więcej się przyglądam twarzy hrabiego, tem mocniej się dziwię!

— No tak, zdarza się! — Ucieła hrabianka, chcąc widocznie zmienić przedmiot rozmowy, lecz porucznik odezwane się jej poczytał za powątpiewanie.

— Wspomni pani moje słowa jutro. Chciałbym widzieć obok siebie pana hrabiego z naszym komendantem! Ba, kto wie, tyńfa bym nie dał za

to, czy tu dziś jeszcze nie spadnie na nas, jak wichura.

— Tu, o tej porze? — zagadnęła żywo hrabianka.

— U niego nie kupić! Klasztor zamknięty na zawory, straż na wałach ani oka nie zmruża, a mimo to nasz komendant potrafi niepostrzeżenie jakimś ukrytem wyjściem z klasztoru się wydostać, zlustrować wszystkie patrole okoliczne i powrócić tak, że własny jego famulus nie uwierzyłby, iż komendant wychodził w nocy ze swojej sypialni.

— Ależ to niezwykle jakiś człowiek.

— I wielce, lecz co podobny do pana hrabiego, to nie do uwierzenia!

— Pij że, kawalerze, pij! — zachęcał znów hrabia.

— Nie rozumiem tylko, bo z opowiadania pańskiego, to tutaj rygor taki, jakby w czasie obłęzenia?

— Gorzej jeszcze!

— Zapewne—wtrącił się hrabia—bo nie tylko, że warownia tak silnie strzeżona, jeszcze i patrole w okolicy.

— I to silne! Ja, na przykład, wracam z podjazdu aż pod granicę austriacką, a w drodze minąłem się już z plutonem porucznika Rudowskiego, który dążył znów tam, skąd ja wracałem. A nadto, na trzy mile wokół, stoją rozrzucone

widety, mające obowiązek badać każdego spotkanego na drodze.

— My dopiero pierwszego pana spotykamy.

— I gdyby to był ktoś inny... musiałbym zażądać odeń papierów...

— A więc, dlaczego pan zaniedbuje swoje obowiązki — zagadnęła z filuternym uśmieszkiem hrabianka.

Raczyński zajrzał w jej oczy palące i szepnął cicho:

— Bo tu, nie tylko obowiązki, lecz i życie zaprzepaścić można!

— Mnie to dziwi—wmieszał się hrabia—czasy spokojne, jak nigdy. W Hiszpanii podobno jest jeszcze ruchawka, lecz i ta zapewne niebawem ustanie... a tu ostrożności bądź co bądź przykre, męczące zarówno wojsko, jak i obywatele, tem gorsze, że daremne!..

— Zapewne... zapewne!..—potakiwał Raczyński, szukając czarnych oczu hrabianki.— Co robić?... Taki ład!..

— Dostyc dziwny — podchwycił hrabia.— Sam niegdyś w wieku twoim, kawalerze, służyłem wojskowo! Żołnierz potrzebuje ciągłych ćwiczeń... przyzwyczajenia do karności, zahartowania... ale przesada każda męczy go, zniechęca!.. W czasie wojny nigdy ostrożność nie zawadzi... ale teraz...

— Hm! Panie hrabio! Żeby Austriak mógł tylko! Dałby się we znaki. Strach go zdejmuj!..

— Czyżby tak?!—zagadnęła Beatrycza.

— Nima wątpliwości!.. Wiedniowi wiele rzeczy nie po myśli!.. Boi się Napoleona, a gorzej pewno jeszcze naszego Księstwa, które mu pod bokiem wyrasta!..

— Tak... tak... rozumiem!—roześmiał się do brodusznie hrabia.—Jemu się to niepodoba... No, ale wy, panowie Polacy, nie macie potrzeby się niczego obawiać!..

Raczyński podkreślił z fantazją wąsa i odpowiedział:

— U nas też o lęku się nie mówi!... Z nami rozprawa ciężka! Bonaparte lada komu rozpierać się nie pozwoli!..

— Bo sam ma do tego ochotę!—wtrącił z przekąsem Venosta.

— Cesarz, Napoleon!..

— Chyba nie widzisz tego, panie kawalerze, co się dzieje!.. Hiszpania pławi się we krwi... wszystkie księstwa niemieckie ledwie podolać mogą haraczom... Dziś nawet Rzymu nie uszanował... a jutro może mu przyjść ochota podarować was... zaprzyjaźnionej z nim Turcyi!.. Teraz głaszcze, bo jesteście mu potrzebni!..

Raczyński, mimo uśmiechu, jakim darzyła go równocześnie hrabianka, zmarszczył się i rzekł porywczo:

— Bonaparte?!.. Nigdy!.. Niemożliwe!.. On z nami!.. A i my zostaniemy z nim!..

— Jesteś, panie oficerze, gorącym jego zwolennikiem...

— Innych tu panie hrabio nie znajdziesz! Venosta skrzywił się nieznacznie.

Beatrycza uśmiechała się z rozpieszczonem rozkapryszaniem na swej delikatnej twarzy.

— Mówcie panowie o czem innem... to takie nudne!.. Niechże mi pan powie coś jeszcze o Częstochowie!.. Więc jakże będzie?.. Nie wstawi się pan za nami do tego srogiego komendanta?!... Każe nas pan może wyprowadzić pod strażą za mury?!..

— Ja?!.. Za nie!.. Prędzej-bym się dał w szutki porać!... Jeszcze słowo moje coś znaczy!..

— A gdyby ten nieznosny komendant się uparł... jakże on się nazywa? Takie ma nazwisko, że go nie mogę zapamiętać!—ozwała się hrabianka i przy ostatnich słowach spojrzała filuternie na hrabiego.

— Stuart!—dopomógł Raczyński.

— Prawda!.. Więc cóż będzie, gdy się twój Stuart zawieźmie... po prostu dlatego, że mu się nie będzie podobała moja powierzchowność?!..

— To... to... przedewszystkiem jest niemożliwe... tam gdzie jedno pani spojrzenie padnie... tam musi być zwycięstwo!..

— A jeżeliby pański komendant nie podzielał tego zdania!..

— W takim razie ze mną najpierw będzie miał do czynienia!—zawołał Raczyński i pochylił się ku hrabiance z kielichem w rękę.

Naraz, tuż za plecami Raczyńskiego, rozległ się donośny głos:

— Nie tak gorąco, nie tak gorąco, mości poruczniku...

Raczyński odwrócił się. Tuż za nim stał podpułkownik Stuart. Raczyński porwał się z za stołu i powitał swego zwierzchnika wojskowym ukłonem. Hrabia i hrabianka zdawali się nie mniej być wzruszeni. Stuart tymczasem, nie zwracając uwagi na cudzoziemców, odezwał się do Raczyńskiego:

— Dawnoś acan z ordynansu?...

— Ze dwie godziny!..

— Dlaczego nie zdążyłeś na apel?..

— Plucha... błoto... konie nam ustawały, panie komendancie!...

— A tu zapomniałeś o ustanowionym porządku!... Warty niema. Moznaby acana podejść i związać jak barana!..

— Panie komendancie, warta jest!..

— I ładnie się spisuje... jeżeli cię nie uwiadomiła o mojem zbliżaniu się!..

— Tu komendancie... jesteśmy...

— Wszystko jedno! Niema tłumaczenia!.. Rozkaz zawsze jeden... Powtarzałem nieraz... Stawisz się waćpan jutro u kapitana i złożysz mu raport...

— Według rozkazu!..

— A nie zapomnij mu powiedzieć, że cię tu znalazłem zabawiającego się wygrażaniem...

— *Gaetano!* — odezwała się nagle hrabianka. Stuart podniósł oczy na Beatrycę, zbladł, i zatrzęsł się.

— Ty... tutaj?! — szepnął z jakimś pełnym podziwu rozradowaniem, a postrzegłszy hrabiego witającego go ruchem ręki, dodał pośpiesznie. — I pan... z nią!?

— Dziwi cię... mogłam tak żyć!.. — odparła po włosku Beatrycza.

— Czy ja śnię!.. Ty... ty!.. — powtarzał Stuart, nie mogąc jeszcze przyjść do równowagi.

Hrabia a za nim hrabianka powstali z miejsc.

— Paulo! — rzuciła szybko ta ostatnia. — Jest druga izba?..

— Gotowa!

— Więc prowadź!.. *Gaetano...* chodź z nami!.. Mamy tyle do mówienia!.. Żegnaj mi, panie kawalerze! Widzisz, komendant Stuart... nie taki straszny!..

Raczyński, do którego były zwrócone ostatnie słowa hrabianki, ledwie zdążył odpowiedzieć na jej ukłon, gdy ta znikła już we drzwiach, uprzątniętego przez strzelców, alkierza. Za hrabianką poszedł Stuart, a za nim hrabia.

Porucznikowi serce się ścisnęło.

Więc komendant ich znał dawniej!.. Mówiła mu... *Gaetano!*.. Raczyński nie rozumiał słów, lecz odezwał drżenie w głosie Stuarta...

Dziwna przygoda.

Porucznik mierzył wielkimi krokami izbę i poglądał co chwila z jakąś głuchą złością na drzwi, poza któremi zniknęła Beatrycza.

Próbował samego siebie uspokoić. Nie znał, ani na oczy nie widział tej hrabianki... Komentanta musiała pamiętać z czasów przebywania jego w Itali!.. Spotkali się!.. Pewno mu tam przedstawienia czynią... Zresztą ładna jest... piękna jak sen, lecz cóż mu do niej?!

Raczyński po kilkakroć razy powtórzył sobie, że cała ta przelotna znajomość była dlań tylko miłą dystrakcyą... przerwana przez nieznośnego podpułkownika, że pewnie pierwszy i ostatni raz oglądał hrabiankę, że ani on ją, ani ona jego nie obchodzi i że stokroć ważniejszym jest dla niego czekający go jutro odwach—a mimo rozsądne te wywody—skronie porucznika pulsowały, oblicze gorzało, a w uszach grały mu słowa—jakaż ona piękna!..

Rozdrażniony własnymi myślami, porucznik rzucił okiem, kędy rysowały się wyprostowane postacie starego wachmistrza Barcikowskiego i ochotnika Cybińskiego.

— A wy tu co?! — zapytał gwałtownie porucznik.

— Według rozkazu, panie poruczniku!

— Nie słyszeliście?! Warty niema na miejscu...

— Przy stajni, panie poruczniku!..

— Tu powinna być... przy drzwiach! Marsz stąd... do Bułkowskiego... jutro mi przy rapor-

cie o tem przypomnisz!.. Ja acana nauczę porządku!..

Wachmistrz przyjął z pokorą wyrok i wyniósł się cichaczem z izby. Raczyński padł ociężale na ławę, na której przedtem był siedział i spoglądał apatycznie w przeciwległy kąt izby, jak służba hrabiowska uprzątała pod dozorem Paula resztki uczy, składała serwisy i zwijała dywany.

Podnieconemu Raczyńskiemu przysła ochota dowiedzenia się czegoś więcej o hrabiance—skinął więc na Paula i zapytał go po francusku:

— Może-byście się czego napili?!

Paulo wzruszył ramionami i, zmierzyszy zimno porucznika, odszedł do strzelców. Zamiast niego przysunął się natomiast Berko.

— Wielmożny pan oficer, może co rozkaże?.. Może co podać?!

— Nie—nie trzeba!..

— Ja rozumiem!.. Wielmożny pan już się najadł i napił!.. Jakie to państwo, jakie wielkie państwo!.. Cały dwór!.. Wszystko ze sobą wiozą!.. Ja nie przeszkadzam... ja mam też dobry masłacz!.. Nie szkodzi, faki hrabia, on za wszystko płaci!..

— A nie powiadał wam czego ten wasz szwagier?..

— Bardzo ładne rzeczy. Hrabia nie nie mówi, tylko się pyta czasem—ile—i zaraz każe płacić... temu... temu chudemu... Oni jadą do klasztoru...

a o pana komendanta się pytali... Pan komendant zaraz wiedział, że tu można znaleźć taką rarytną pannę!.. A jaki był z początku zły a potem jak wosk!.. Śliczna niewiasta i musi być bogata!.. Czy ja panu komendantowi źle życzę?... Niech mu będzie najlepiej, żeby tylko dał i człowiekowi czasem zarobić!.. Niech się żeni—o jej, może być para na całą okolicę!..

— Głupiś, żydzie! — oburknał gniewnie poręcznik, a uczuwszy nagłą duszność, podniósł się, otulił płaszczem i wybiegł przed karczmę.

W alkierzu tymczasem ożywiona toczyła się rozmowa.

Beatrycza siedziała obok Stuarta, tuląc jasną swą główkę do jego piersi. Hrabia przechadzał się po alkierzu, ćmiąc małą, krótką fajeczkę.

Komendant mienił się kolorami, spoglądał z rozmiłowaniem na Beatryczę.

— Poglądam na ciebie, dotykam się i uwierzyć nie mogę!.. Ty Beatryczo... tutaj?..

— Widzisz! Widzisz!.. Czyś zasłużył na to?!.. Uciekłeś prawie, porzuciłeś...

— Nie mów tak!—odrzekł z uczuciem Stuart.— Wiesz dobrze, co było przyczyną mego powrotu do kraju!.. Obowiązki, ziemia ojczysta wołała...

Hrabia skrzywił się, Beatrycza zasłoniła rękami usta komendantowi.

— Dosyć. Nie wymawiaj się!.. Ziemia ojczysta!... Brr!.. Przyznam ci się, że nie, mogę zrozu-

mieć, jak do niej można wzdychać... Mrozem przejmuję!.. Wilgoć, słońce!..

— Beatryczo, nie mów tak!—upomniął łagodnie Stuart.

— O... to dopiero początek! Za dezercję musimy dobrze odpokutować!..

— Czy tak dalece na pokutę zasłużyłem?!.. Czy nie usprawiedliwia mnie przyczyna?!..

— Nie, nie! — kręciła główką hrabianka. — W pierwszej chwili wyjazd twój nagły zupełnie inaczej sobie tłumaczyłam!.. *Sire* Jakób świadkiem!..

— Tak, prawda, przyznaję! — ozwał się hrabia.—*Signora* Beatrycza odczuła bardzo...

— Więc list cię mój nie doszedł?!..

— Poczytałam go za wymówkę!..

— No i przyznaj, kuzynie! — dopomógł hrabia.— Nie możesz się dziwić!.. Broń Boże, nie uchylam twym rycerskim przymiotom, ale do prawdy, czy nie przesadzasz w miłości dla twej przybranej ojczyzny... a czy nie lekceważysz tej, która bądź co bądź jest kolebką twego rodu...

— Nie mówmy o tem! — przerwał żywo Stuart.— Znamą wam jest...

— Nie mówmy! — wmieszała się Beatrycza, spoglądając znacząco na hrabiego.— Jesteśmy razem i niema teraz... dość wielkiej mocy, któraby nas rozdzieliła!.. Nieprawdaż, Kajetanie?!..

— Tak, droga, jedyna! — szepnął wzruszony do głębi komendant.

Hrabia zakręcił się i wyszedł z alkierza. Beatrycza padła w ramiona Stuarta.

— Widzisz, niedobry—szeptała tkliwie—porzuciłeś mnie, odjechałeś, a ja... mimo to... podążałam za tobą!.. Z początku broniłam się, opierałam... chciałam stłumić w sobie ogień, który we mnie rozgorzał... chciałam zapomnieć! Daremnie!... Tęsknota trawiła mnie, szarpała, darła... myślałam, że oszaleję...

— Jakże się stało, że *sir* Jakób?!..

— Pozwól!.. Pamiętasz, już wówczas, kiedyś był w niewoli angielskiej po bitwie pod Santa Eufemia, *sire* Jakób, powziawszy wiadomość o twem pochodzeniu i nazwisku, wyjednał, za mojem wstawiennictwem, u admirała Sidney-Smitha... pierwsze ulgi, a potem uwolnienie!.. Pamiętasz, ile ci dobrego świadczył, jak szczerze a serdecznie zajął się tobą...

— I namawiał do przejścia na stronę Anglii! - dodał ponuro Stuart.

— Ty się temu dziwisz?.. Jest bezdzietny... pokochał cię... Uważa cię za blizkiego krewnego, chciałby cię mieć przy sobie pod jednym sztandarem...

— Tym samym, który jeszcze dziada mego prześladował...

— Kajetanie! Pozwól, niech dokończy!.. Po twoim wyjeździe, kiedy w rozpacz beznadziejnej... broniłam się najstraszniejszym myśłem... odwiódł mnie *sire* Jakób... a wzruszony moim smut-

kiem, wspomniał, że możnaby ciebie odszukać!.. Słów tych uchwyciłam się jak ostatniej deski zbawienia! *Sire* Jakób atoli nie mógł od razu jechać! Rozumiesz! Była wojna z Prusami. Sidney Smith miał ruszać na morze Niemieckie... Mowy być nie mogło, by puścił od siebie *sire* Jakóba... Dalej znów wojna nie pozwalała marzyć o przedostaniu się do ciebie!... Musiałam czekać! *Sire* Jakób dał słowo szlacheckie i, jak widzisz, święcie go dotrzymał. Wyruszyliśmy z Kalabrii po Bożem Narodzeniu, kierując się na Warszawę... Im bliższą byłam twojej obecnej ojczyzny, tem większy ogarniał mnie niepokój!.. O bitwach pod Friedlandem i Gdańskiem opowiadano nam przerażające historie... drżałam, czy znajdę cię przy życiu!.. W drodze jakiś Polak, którego spotkaliśmy wlokącym się z Italii do kraju swego, opowiadając nam o Polsce, wspominał o miejscu wslawionem cudami Madonny. Wówczas powzięłam postanowienie, ażeby zanim rozpocznę poszukiwania, najpierw u stóp Jej prosić błogosławieństwa... Snać... wysłuchała mnie, bo oto dziś... stajemy tu, pod murami klasztoru... i niemal pierwszym słowem... była wiadomość... że komendantem tutaj jest Stuart! *Gaetano*... ledwie uszom wierzyć mogłam!.. Mów do mnie, drogi!.. Niech słyszę twój głos...

Stuart pochylił się do rąk Beatryczy i obsypał je gorącymi pocałunkami. Twarz mu pałała, oczy rozgorzały szczęściem.

— Beatryczo moja!... Czyś śnił kiedy o takiej radości?!... Mamże ci mówić, ile noce bezsennych spędziłem, ile razy serce rwało się do ciebie...

— A jednak porzuciłeś!...

— Musiałem! Obowiązek żołnierza, to zakłęcie, którem wezwał mnie generał Dąbrowski... A zresztą. Beatryczo, daruj, jam wątpił o tobie... W ostatnich czasach byłaś dla mnie chłodniejszą... zimniejszą!... Wiesz, jam cię podejrywał, że ołśniona bogactwem *Sire* Jakóba... skłaniasz się ku niemu!...

— Niewdzięczniku!—przerwała z ogniem Włoszka—Tyś mnie śmiał podejrywać... a wiesz, co było tego powodem?! Chciałam cię tem mocniej przykuć do siebie, chciałam, abyś był moim, moim tylko na wieki!...

— I będę nim, Beatryczo!... Patrz, oto jestem u twych stóp!... I nie... nie mnie od nich nie oderwie!...

— Nawet żołnierskie ambieye!

— Ambieye! Beatryczo, te w mojem sercu nigdy nie powstały!

— A jednak, gdyby ci przyszło rozstać się z tym mundurem...

— Uczynię to chętnie dla ciebie... Dzisiaj, dzięki Bogu, dla ojczyzny mojej lepsze nastały czasy!... Dzisiaj ta jedna ręka nie zaważy na szali... Będziemy żyli szczęśliwi, spokojni... nie nas nie rozdzieli, nie nie rozłączy!...

Beatrycza zarzuciła ręce na szyję Stuartowi i zawisła, składając usta do pocałunku. Komentant drżał jak liść, pił z ust Beatryczy nieznany mu czar, a szeptał słowa dozgonnej wierności.

Ostry głos hrabiego przerwał chwilę upojenia.

— Kuzynie!—rzekł *sire* Jakób.—Pozwól, że cię sprowadzę na ziemię i to w dodatku w swojej własnej sprawie!...

— Rozkazuj. Wiesz, żem dla ciebie gotów!...

— Idzie tu o drobiazgi!.. Do świtu daleko!.. a ta karczma jest niemożliwa!.. Ratujże nas czem prędzej! Powiadali mi, iż u was, w klasztorze, można znaleźć wygodne pomieszczenie! Rozumiesz, ani ja, a tem mniej *signora* Beatrycza!..

— Ależ, naturalnie—podtrzymała hrabianka.—*Gaetano*, ja tu ani minuty dłużej nie pozostanę!.. Stuart zasepił się.

— Chciałbym bardzo—lecz noc późna!..

— Ale przecież masz, kuzynie, kwaterę odpowiednią swemu stanowisku, no i chyba lepszą od tych brudnych i nędznych izb!..

— Bez wątpienia!—odrzekł komentant, tracząc zmarszczone czoło.—Ale w tej chwili jest to niepodobiestwem!.. Najsurowszy rozkaz zabrania wpuszczać kogokolwiek po zamknięciu bram!.. Nawet, gdybym ja sam...

— Kuzynie!.. Rozkaz wydany przez ciebie!...

— Musi być przedewszystkiem przeze mnie przestrzegany!..

Beatrycza zagryzła wargi.

— Więc nawet dla mnie nie może być zmieniony!..

— Nawet dla ciebie!—odrzekł głucho Stuart. Hrabianka zbladła.

— *Sire* Jakóbie!—ozwała się głosem podrażnionym.— Ponieważ... tu dla nas miejsca niema... Każ zaprzęgać... ruszamy stąd natychmiast...

Stuart zadrżał.

— Beatryczo! Co mówisz!.. Dokąd zamysłasz?!

— Jak najdalej stąd!.. Przeczucia mnie nie omyliły... dla lada słowa, lada ustępstwa...

— Pozwól mi się wytłomaczyć!..

— Nie! Nie żądam od pana... nie... nie... nie chcę wiedzieć, dlaczego... bronisź się, abyśmy znienacka mieszkania twego nie naszli!.. Boże... dodaj mi sił!..

Hrabianka zakryła oczy chustką.

— *Sire* Jakóbie!.. Przedstaw jej!.. Sam służysz wojskowo... rozumiesz, co znaczy warownia, postawiona w stanie zdwojonej czujności!.. Rozkaz marszałka!..

— Zapominasz, że przed chwilą... oświadczałeś się z gotowością porzucenia służby?

— Tak, Beatryczo!.. i nie cofam! Lecz dopóki nie nastąpi zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska,—dopóki władza w mojem spoczywa ręku, — muszę...

Hrabia uśmiechnął się pobłażliwie.

— Przesadzasz, kuzynie! No tak... rygor... służba... przykład... ale przecież... niema nieprzyjaciela w okolicy... nie obawiasz się napadu!! *Si-gnorze* trudno odmówić słuszności... czeka rok... nareszcie udaje się w podróż... a gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności... znajduje cię... ty, zamiast pierwszy zatroszczyć się... znajdujesz skrupuły!.. Bardzo piękne, gdyby cię tu mógł usłyszeć twój generał, czy marszałek, ale dla *si-gnory* Beatryczy przygębajające!..

— *Sire* Jakóbie!.. Słowem się kłnę, że się mylisz!.. Nie znasz położenia... Uchybienie z mojej strony, przy surowości, z jaką odnoszę się do wszystkich bezwzględnie!..

— Dosyć tego!—przerwała ostro Beatrycza— Wiem, co o tem sądzić!.. Powinnam była przewidzieć z góry... Tem gorzej dla mnie!.. Jestem boleśnie ukarana!! Daruj pan... że ośmieliłam się ludzi!..

— Beatryczo! — ozwał się gorąco Stuart. — Więc czego żadasz ode mnie?!

— Przyjęcia, na jakie sobie zasłużyłam!..

— Ależ!..

— Chcę dzisiaj... natychmiast być w Częstochowie!..

— Zastanów się, pomyśl... twój upór...

— Nazwij go czem chcesz... lecz zmusiłeś mnie do niego!.. Nareszcie i ja mam miłość własną...

— Więc dobrze!—odrzekł głucho komendant.

Beatrycza rzuciła mu się na szyję.

— Widzisz, *Gaetano*, tyś dobry, szlachetny... ja wiedziałam...

— Jeden tylko warunek!..

— Nie chcę słyszeć...

— Pozwól droga!.. Przeprowadzę ciebie i *sire* Jakóba... lecz służba tu zostanie...

— Lecz cóż ja pocznę bez panny służącej?!..

— Zgoda i na służącą... atoli prócz niej—nikt!.. Tamtych będziesz miała jutro!..

Beatrycza chciała się jeszcze upierać, lecz hrabia ujął się za komendanta.

— Nie nalegaj pani!.. Ustępstwo za ustępstwo!..

— Niech i tak będzie! Oj ty dziwaku, dla tej swojej służbistości gotów jesteś i mnie poświęcić!.. Trzeba zatem na Paula zawołać, niech konie szykują... chwili jednej nie chcę dłużej siedzieć w tej cuchnącej karczmie!

Hrabia skierował się ku drzwiom, aby zadość uczynić żądaniu Beatryczy, lecz Stuart zastąpił mu drogę.

— Pozwól, *sire* Jakóbie! Jeszcze nie koniec moich warunków... O koniach nawet marzyć nie można, bo chociaż ja sam podjechałbym pod bramę, niktby jej nie otworzył... Rozkaz jest tam bezwzględny!..

— Jakże się dostaniemy?!..

— Pozwól, *sire* Jakóbie... Udacie się za mną pieszo... zaprowadzę was!.. Wydadz rozkazy służ-

bie, aby tu spokojnie pozostała... przywołaj pokojową!.. Trzeba, aby nikt na nas uwagi nie zwrócił...

Hrabia spełnił pośpiesznie polecenie komendanta. Beatrycza żartowała ze Stuarta.

— Jakie środki ostrożności! Co za przezorność!.. Skazujesz nas na fantastyczną podróż... a mnie co najmniej na zniszczenie sukien!.. Mniejsza o to... prowadź! Tajemniczość twoja zaczyna mnie bawić! Ależ nie róbże takiej poważnej miny!..

Stuart próbował się uśmiechnąć.

— Czynię więcej, niż mogę! — Łamię dane słowo!.. *Sire* Jakóbie, przysiądz musisz, że przed nikim nie zdradzisz drogi...

Beatrycza parsknęła śmiechem.

— *Gaetano*! Ty śnisz! *Sire* Jakóbie!.. ha!.. ha!.. Wyborne!.. A cóż jemu z tej wiadomości.

— Masz słuszność Beatryczo. Daruj *sire*!.. Istotnie!.. Cóż wy macie do tego klasztoru!.. Ruszajmy napród... ruszajmy!..

Stuart ujął pod ramię otuloną futrem Beatryczę i powiódł bocznem przejściem z alkierza do tylnej sieni, a stąd na opustoszałe ulice przedmieścia. Hrabia z pokojową szli tuż za Stuartem.

Komendant rozglądał się niepewnie dokoła, jakby chcąc przekonać się, czy nie zwrócił kto uwagi na tę niezwykłą wycieczkę. W pierwszej chwili zdawało mu się, że około stajen mignął

się wysmukły cień—lecz, wpatrzywszy się uważniej, nie podejrzanego nie dostrzegł. W oddali tylko słyszał miarowe kroki postawionego z drugiej strony stajen sztyldwacha.

— Lekkoduch Raczyński!—mruknął do siebie komendant—jemu powierzyć stanowisko!..

— Mówisz co?!—zagadnęła Beatrycza.

— Nie! Trzymaj się mnie i ani słowa!..

Hrabianka mocniej przytuliła się do komendanta.

Przejmujący wiatr z deszczem ciał po twarzach idących, przejmował wskrós, nieprzeniknioną ciemną rozścielał dokoła. Mimo nateżonej uwagi, komendant nie mógł ani kałuż błotnistych ominąć, ani tu i owdzie czyhających wyboi i kamieni okrążyć. Beatrycza brnęła w wodzie, a porywała się z początku żartując sobie z tej wyprawy, lecz w końcu dąsając się i dokuczając Stuartowi. Komendant spokojnie przyjmował wymówki i łagodnie strofował żywotę hrabianki. *Sire* Jakób szedł w głuchym milczeniu, ledwie czasem zachęcając Beatryczę do wytrwania lub nawołując piszczącą pannę pokojową.

Po kilkunastu minutach męczącej drogi, Stuart wszedł między opłotki opuszczonego domu i skręcił do napół rozwalonej szopy. Tam wprowadziwszy Beatryczę, skrzesał ognia, zapalił kaganek i prowadził dalej aż do schodów, wiodących do niskiego, kwadratowego loszku. Zeszedł pierwszy, a gdy już wszyscy na dole się znale-

źli, odsunął przystawione do ściany stare odrzwia. Oczom zdumionej hrabianki ukazał się niski, sklepiony mocno otwór.

— No, jesteśmy na miejscu!—ozwał się rażno Stuart.—Wejście nie bardzo wygodne, bo trzeba się schylać... ale dalej chodnik się rozszerzał.. Proszę naprzód! Muszę otwór zamknąć!.. A teraz za mną!..

Komendant pewnym krokiem wszedł naprzód. Przez pewien czas szli wszyscy w milczeniu, jakby wsłuchując się w odgłos własnych kroków. *Sire* Jakób pierwszy przerwał milczenie.

— Wiesz, kuzynie, nabieram szacunku dla waszej fortecy! Zapewniano mnie, że jest to sobie słabo, po staroświecku, ufortyfikowany klasztor... a tymczasem ten korytarz!..

— Ho! ho!—przerwał z zadowoleniem Stuart.—Nie koniec na tem! Zobaczysz jutro!.. Nie-lada oblężenie tu przetrwano szczęśliwie!..

— Ile pracy kosztowało to podziemie!..

Komendant uniósł do góry kaganek, jakby chcąc *sire* Jakóbowi jak najkorzystniej sprezentować korytarz. Hrabia z widocznym zajęciem rozglądał się w podziemiu, badał prawie każdy jego załamek, pilnie zwracał uwagę na podnoszenie się chodnika ku górze i z miną znawcy wina winał Stuartowi ukrytego połączenia z przedmieściem.

— Jakie to usługi może oddać w razie potrzeby!..

— Nieobliczone! Bo trzeba ci nadto wiedzieć, że prócz mnie i przeora, bodaj nikt nie przypuszcza nawet!.. Tak dalece, iż moi podkomendni przekonani są, iż ja nocami wydostaję się furtką, lub tak potrafię omylić czujność straży, że mnie upilnować nie mogą!..

— Ależ ten korytarz nie ma końca! — wnieszała się Beatrycza.

— Jeszcze kwadrans drogi!

— No no! — dziwił się hrabia. — Chciałbym bronić fortecy, mając taki chodnik!.. Chociaż, rozmaicie bywa... Jest w tem złe i dobre!.. Chodnikiem można przecież wyjść, ale i wejść!.. Nieprzyjacieli, którzyby się do niego dostał!.. byłby panem fortecy!..

Stuart roześmiał się szczerze.

— *Sire* Jakóbie! Przecież to niemożliwe prawie! Tajemnica najgłębsza! Ci, co nad tym chodnikiem pracowali, pomarli dawno! Powiem ci więcej—przed laty w Częstochowie byli konfederaci barscy i, czy uwierzysz, nie znali tego chodnika wcale!.. Przeor ówczesny nie rad był, że sobie klasztor obrali za stanowisko, obawiał się, aby dla cudami słynącego miejsca nie wynikły cięższe jeszcze przejścia i, choć sprzyjał konfederatom, choć wiele dobrego im świadczył, dzięki temu właśnie korytarzowi — jednak słówkiem o nim nie wspomniał, mając sobie zalecone przez swego poprzednika, tylko wówczas rzecz wyjaśnić, gdyby klasztorowi groziła zagłada!..

— Więc dzisiejszy przeor...

— Jest równie surowym... ale przypadek zrządził, że natrafiłem na wejście... od strony klasztoru... Wobec tego...

— Jest możliwym, że toż samo odkrycie może zrobić nieprzyjacieli!.. A wtedy...

— Kuchnię niepodobna!.. W ostateczności można się bronić... Patrz, w tym korytarzu trzech ludzi jest w stanie stawić opór całemu oddziałowi!.. Lecz do tego nie przyjdzie!.. Nie tak łatwo trafić tu, jak się zdaje!.. Zresztą, widzisz w głębi te schody?!.. Prowadzą one wprost do mojej kwatery!..

— Pewno, pewno, masz rację!..

Stuart rad, że nareszcie udało mu się przekonać nieufnego *sire* Jakóba—przyśpieszył kroku. Wspiął się szybko po schodach i odsunął u szczytu ich wąską, podługowąta taflę... Strumień światła wpadł do lochu. Beatrycza była zmęczoną. Troskliwy komendant zbiegł na dół, żeby jej podać ramię.

— Duszo tu! — ozwała się cicho hrabianka.

— Wesprzej się na mnie! Jeszcze odrobinę wytrzymał!..

— Ach! Mieć taką ciemnicę pod mieszkaniem, to musi być bardzo nieprzyjemne!..

— Dziecko! Nawet mi to przez myśl nie przejdzie! A cóż to szkodzi?... Owszem, rad jestem z tego!..

— Ja się boję!.. Ta pustka ponura, te oślizgłe ściany... te zreby bezkształtne... A przytem, *Gaetano*... śmieć się ze mnie!.. Mam wrażenie, że za nami ktoś idzie...

— Przywidzenie!.. Echo stapań...

— Być może... Jednak nie chciałabym drugi raz takiej podróży odbywać!..

Komendant ujął silnie ramię Beatryczy i pomógł jej wydostać się przez otwór do izby. A gdy za Beatryczą wszedł hrabia z pokojową i Stuart pochylił się, aby płytę w podłodze zasunąć, zdawało mu się, że u podnóża schodów rozległ się jakiś szmer. Wrażenie było tak silne, że komendant bez wahania ujął za kaganek i zeszedł do chodnika. Rozejrzał się uważnie, lecz nie podejrzanego nie dostrzegł. Dla upewnienia się lepszego postąpił parę kroków naprzód, lecz naraz, tuż przed sobą, usłyszał przyspieszone kroki człowieka, dążącego po omacku.

Stuart bez namysłu jął biedz w kierunku kroków. Niespodziewany gość w lochu przeraził komendanta. Za wszelką cenę chciał poznać go bliżej. Podciągnął temblak pałasza, osłonił ręką płomień kaganka i następował coraz szybciej. Kroki stawały się wyraźniejszymi. Snać uciekający nieświadomy był miejsca, komendant bowiem słyszał już teraz wyraźnie, jak potykał się co chwila a dyszał ciężko. Dwa razy w głębi chodnika dojrzał prawie cień uchodzącego. Stuart jął biedz, ile mu sił starczyło, a kiedy tuż przed

sobą miał już nieznanego mu gościa, zawołał ostro:

— Stój—bo będę strzelał!..

Uciekający nie uląkł się tej groźby—bo jeszcze szybciej uciekał. Jeszcze jeden załam dzielił go od wyjścia, komendant zrozumiał, że jeżeli tu, w chodniku, rozprawić się nie zdoła z nieznajomym—ten dopadnie do szopy, a tam pierwszym kłosem drzewa zatarasuje mu drogę, a przynajmniej udaremni dalszy pościg.

Komendant wyciągnął krucicę...

— Jeszcze krok a trupem położę!.. Słyszysz... odwodzę kurki!..

Na zawołanie to—kroki nagle ucichły. Stuart postąpił naprzód i zdumiał się. O dwa kroki przed nim stał przytulony do muru porucznik Raczyński.

Komendant na widok bladej, ponuro skrzywionej twarzy Raczyńskiego, nie wiedział sam co powiedzieć. Tego się najmniej spodziewał.

— Co tu acan robisz?!—zagadnął po namyśle Stuart.

— Nie, komendancie! — odrzekł głucho porucznik. — Przed dwoma godzinami uczyniłeś mi uwagę, że możnaby mnie podejść...

— Hola! Zapominasz, poruczniku, że zadaleko posuwasz gorliwość!.. Jeszcześ nie dorósł, aby śledzić własnego naczelnika...

— Ja też pana, panie komendancie, nie śledziłem!.. Tylko, zobaczywszy z daleka czworo lu-

dzi sunących pustkowiem... poszedłem za nimi! Ani mi w głowie nie było, że w ten sposób do-
wiem się o ukrytem przejściu, otwartem dla osób
wybranych!..

Stuart zagryzł do krwi wargi.

— Dosyć!.. Wywody zachowaj dla siebie.
Nie acanowi mam zdawać sprawę!.. Wracaj do
komendy! A pamiętaj, żeby z ust twoich nikt się
o przejściu tem nie dowiedział!.. Posiadłeś tajem-
nicę! Zapomnij o niej, mości poruczniku, abyś
gorzko potem nie żałował!..

Raczyński skłonił się i powlókł ku wyjściu.
Stuart poszedł za nim, zasłonił otwór i wracał
wzburzony.

Zachowanie się porucznika dziwnem mu się
wydało; tłumaczenie, że nie poznał go, podejrze-
nem. Stuart był zły. Żałował prawie, że nie miał
dość siły, aby znieść wymówki Beatryczy, że
ustąpił... Dzięki tej nieopatrzności, pięć osób po-
znało chodnik... o tamte cztery mniejsza! Najgo-
rzej z Raczyńskim. Nie to, że wiedział o prze-
jściu—gorsze, że stał się świadkiem pogwałcenia
rozkazów, zabraniających wprowadzania i wpu-
szczania kogokolwiek bądź do klasztoru poza go-
dzinami, wyznaczonemi przez marszałka!.. Raczyń-
ski jest młodym oficerem, niedoświadczonym a za-
palczywym, co będzie, jeżeli kiedykolwiek wytknie
mu wprost w oczy złamanie regulaminu!.. On,
komendant, surowy, dbający a dobry przykład...
dzisiaj jest w śmiesznem położeniu zakochanego

młodzieniaszka, ryzykującego się dla gładkiego
liczka na Bóg wie jakie przygody!..

Atoli liezko Beatryczy było istotnie gładkie,
tak gładkie, że zanim Stuart do schodów do-
tarł—alteracya go odstąpiła.

W izbie powitały go niecierpliwe okrzyki
Beatryczy i *sir* Jakóba.

— Jesteś wreszcie, nudziarzu!..

— Wybaczcie... zdawało mi się, że ktoś śle-
dzi nas!..

— Oj-ty-ty!.. Ciagle dziwactwa jakieś cię
prześladują!..

— Masz, kuzynie, wcale nienajgorszą kwate-
rę!—zauważył hrabia, rozglądając się po wyso-
kiej, sklepionej izbie.

— I nawet obszerną!.. Jednakże muszę was
tutaj przetrzymać do rana!.. Nie chciałbym zwracać
niczyjej uwagi!..

— Zawsze to lepsze od karczmy!—wtrąciła
z grymasem Beatrycza.

— Jutro pomyślimy o dogodniejszym pomie-
szczeniu!..

— *Gaetano!*..—zagadnęła znienacka hrabian-
ka—A ten oficer, który nam towarzyszył... czy
należy do twojej załogi?!

— Zależy ci na tej wiadomości?!..

— Ach—nie wolno zapytać?!..

— Należy!..

Beatrycza zamyśliła się. Stuart szarpał ner-
wowo taśmę srebrnego temblaka.

— Wiesz, kuzynie!— zagaił pojednawczo *sire* Jakób.—Jabym sądził, że należałoby pomyśleć o spoczynku!.. *Signora* jest zmęczoną!.. Bodaj niech na tym tapczanie się zdrzemnie!.. Po tak uciążliwej drodze!..

Komendant przyznał rację *sire* Jakóbowi. Po krótkiej naradzie, Beatrycę z pokojową pozostawiono w izbie. Stuart zaś z *sire* Jakóbem udali się do sąsiedniej komnaty, zachowując się jak można najciszej, byle nie zbudzić, śpiącego tuż za drzwiami, ordynansa.

II

Raczyński wrócił wzburzony do karczmy. Spotkanie z komendantem w podziemiach rozstroiło go. Czuł, że nie dobrego dlań z tego nie wyniknie, że swoją ciekawością naraził się, że utracił bezpowrotnie niedawne względy. Równocześnie jednak porucznik doznawał dzikiego zadowolenia. On a nie kto inny wyszedł podpułkownika—ba! i nietylko wykrył przejście, lecz i kontrabandę uprawianą przez komendanta!.. i jaką kontrabandę!

Stuart wydał się Raczyńskiemu wstrętnym świętoszkiem. Nie sztuka udawać przed załogą rygorzystę, świecić przykładem surowości obyczajów, kiedy na zawołanie ma się taką drogę!..

— A hrabianka?!.. Poszła, poszła bez wahania...

Raczyński zacisnął pięście.

Przed nim udawała oczywiście, że nie zna nikogo... pytała się o Stuarta!..

W karczmie panowała cisza. W rogu chrapali strzelcy hrabiego. Karczmarz drzemał za szynkwasem. Porucznik rzucił się na ławę i próbował usnąć. Sen nie przychodził. Myśli jedne i też same wirowały mu w głowie, dręczyły go.

Podpułkownik — ten szanowany przez niego podpułkownik, urastał w jego oczach na poczwagę przewrotną a obłudną!.. Rygor, subordynacja, zalecane i przestrzegane w Częstochowie — wykrętnym pozorem... Dość było gładkiego licza, aby je sam komendant łamał...

Porucznikowi służba pod takim dowódcą wydawała się upokarzającą. Na jego nieszczęście odkomenderowano go tutaj — lepiejby mu było z pułkiem nad granicą szlazzką stać!.. Pierwsza okazała się zdarza, złoży raport pułkownikowi Łączyńskiemu, niech go zabierze! Ułanem jest nie na to, aby w murach pokutować i słuchać zarządzeń piechura i takiego jeszczel!..

Światło leniwie szarżującego poranku orzeźwiło porucznika. Zwlókł się z ławy, zarzucił płaszcz i poszedł alarmować pluton.

Ułani porwali się na równe nogi. Raczyński fukał i strofował, nagłąc do pośpiechu.

Pluton w trzy pacierze ogarnął się i, sformowawszy się w czwórki, czekał przed karczmą na znak do wymarszu. Porucznik dosiadł był już konia i chciał ruszać, gdy w tem, na drodze, ujrzał pędzącego galopem oficera ułanów. Raczyński przyłożył rękę do kaszketu, chcąc lepiej się

przyjrzeć nadjeżdżającemu, lecz błoto, okrywające jeźdźca i konia, nawet barwy pułku nie pozwalało rozpoznać.

— Ordynans z rozkazem! — mruknął do siebie Raczyński. — Ułan!.. Lecz kto to może być?.. Pewno z pułku Tyszkiewicz!..

Niepewność porucznika nie trwała długo. Jeździec niebawem tuż około plutonu osadził konia. Raczyński spojrzał bystro na poczerwieniałą twarz ułana i zawołał zdumiony:

— Szablowski! W imię Ojca i Syna!..

— Witaj panie Stanisławie!.. Co tu? karczma?!.. Kubek wina na miły Bóg... bo już kości nie czuje...

Raczyński skinął na wachmistrza. Barcikowski skoczył do karczmy.

— Z czem przybywacie?!..

— Rozkaz!..

— Skąd?!..

— Jadę z Warszawy!..

— Co słychać?!..

— Ha!.. Jak wam powiedzieć... nie wiadomo, źle, a może dobrze!..

Tu Szablowski przechylił się na kulbace ku Raczyńskiemu i rzucił szeptem:

— Wojna!..

Porucznik spojrzał niedowierzająco na oficera ordynansowego.

— Wojna powiadacie... z kim?!..

— Austriacy przechodzą granicę pod Nowem-Miastem!!!

— No-no!.. Niespodzianka!..

— A w Warszawie?!..

— Wre kipil!.. Wojska ściągają!.. Będziemy się bronili!..

— Ba! Aż miło!.. Cóż, wasz pułk miał zawsze szczęście... a ja!?!.. Przyjdzie pewno całą kampanię przesiedzieć na tem kretowisku!..

— Kto wiel!.. Kto wiel!—odparł Szablowski.— Austriacy ruszają całą linią... mogą i do was zawitać!.. Jest wino!.. Uf!.. Ledwie żyję!.. A tu wracać trzeba z powrotem!.. Byle mi konia dali!.. Patrz, mój zmarnowany!..

— Bądź, panie Janie, spokojny!.. Konie są!.. Jeszcze zyskasz na zamianie!.. Więc, jakże przyszło do wypowiedzenia?.. Jakież powody!?!..

Szablowski wzruszył ramionami.

— Żadne!.. Idą na nas i konie!..

— Macie wiadomości od cesarza?..

— Nie! Nie wiadomo!.. Naturalnie, ruszy także!.. No, bywajcie mi!.. Wy w drogę?..

— Wracam do Częstochowy!..

— Więc... do widzenia się!.. Na mnie czas!..

Raczyński chciał jeszcze o coś zagadnąć, lecz Szablowski spiął konia ostrogami i ruszył ku Jasnej-Górze.

Przybycie ordynansa służbowego wzbudziło zaciekawienie załogi. Koń i jeździec świadczyli aż nadto o dalekiej drodze i o gwałtowności roz-

kazu. Kapitanowie Godlewski i Celński, czyniacy właśnie musztwę swych kompanii na podwórzu klasztornej, dopadli do Szablowskiego, aby się czegoś dowiedzieć. Szablowski atoli do komendanta się rwał i zbywał pytających.

Stuart ze zdziwieniem powitał ordynansa w swojej kancelaryi.

— Z czem acan przybywasz?!..

— Rozkaz ze sztabu!..

Stuart rozerwał zapieczętowaną kopertę, rzucił okiem na treść pisaną i pobladł zlekka.

— Acan... wracasz natychmiast!..

— Tak jest... komendancie!.. Mam polecenie przyniesienia odpowiedzi!.. Śpieszyć muszę... trzeba zdążyć zanim Austriacy linię rozwiną, aby mnie nie zagarnęli!..

— Czy znana ci jest treść rozkazu!?!..

— Tak jest... komendancie! Naczelnik sztabu, generał Fiszer, dał mi polecenie, abym w razie niebezpieczeństwa... zniszczył pisanie i ustnie powtórzył komendantowi treść rozkazu!..

Stuart zamyslił się. Na jasnym jego czole zarysowały się pionowe bruzdy. Rozkaz był dla niego niespodzianką, krzyżował jego plany, niweczył zamiary. Przed godziną jeszcze wygotował był papier, prosząc o uwolnienie ze służby... Chciał być, wedle życzenia Beatryczy... wystąpić z wojska i zaznać, po tylu latach walki i tułactwa, szczęścia przy boku ukochanej!.. Zdawało mu się, że usunięcie się jego zaważyć nie może,

że są inni, którzy go zastapia, że zasłużył był sobie na spoczynek. Tymczasem ten ordynans, przynoszący mu wieść o wojnie... burzył wszystko!... Czyż mógł w takiej chwili myśleć o ustąpieniu?!... Czyż mógł na wezwanie księcia i wodza odpowiedzieć prośbą o dymisyę?!... Czyż godziło mu się ustępować w chwili, gdy pobudki nie na musztrę, lecz do boju wzywają. A przecież... i jemu się coś więcej należy od życia, krom trudów wojennych... a przecież i jemu wolno na koniec myśleć o rodzinie, o szczęściu!... Jest tylu innych... Ba! Czy o niego dbają?!... Wysłano go tutaj, do Częstochowy, a stanowiska w Warszawie zajęli młodszy, układniejsi!... Niechże ci panicykowie i teraz przodują!... Taki jak on zapomniany, jeden mniej czy więcej... wszystko jedno!... Beatrycza?!... Gotowa odjechać... zostawić go, porzucić!... znów nadejdą bezsenne noce i ta tęsknica, i rozterka. której ani życie obozowe, ani zgiełk bitew nigdy w sereu jego przytłumić nie zdołał.

Stuart łamał się w sobie. Twarz jego mieniła się kolorami, bruzdy na czole w krwawe przeistaczały się pęgi.

Po raz trzeci brak przyniesiony mu papier do ręki, po raz trzeci dały mu się do oczu słowa rozkazu... „zasługi podpułkownika Stuarta, jego odwaga i pojęcie wysokie obowiązku są rękojmią dla mnie... że... w każdej okoliczności postąpi tak, jak mu jego nieskazitelnny honor i miłość ziemi

nakazywać będą“... Stuart się jeszcze wahał. Po długiej chwili, wyprostowany przed nim, porucznik ułanów zagadnął nagle:

— Panie komendancie... mam czekać?...

Stuart spojrział na Szablowskiego wzrokiem dziwnym, jak gdyby teraz dopiero go spostrzegł.

— Czy masz czekać?!—powtórzył.— Na co?!

— Na odpowiedź, komendancie! Kazano wracać natychmiast!...

Stuart zbladł, usta zacisnął, a potem, podniósłszy hardo głowę, wyrzucił ze siebie:

— Mości poruczniku!... Wracaj więc i powiedz... jego książęcej mości, że Stuart jest żołnierzem legii włoskiej!... To wszystko, co mam do zaraportowania!... Na odwachu upomnij się o konia!...

Szablowski wyszedł z kancelaryi. Stuart klasnął na ordynansa i polecił wezwać natychmiast do siebie kapitana służbowego.

Kapitan Han stanął przed Stuartem w pełnym rynsztunku.

— Wzywałeś mnie, panie komendancie?...

— Tak, kapitanie! — odrzekł ponuro Stuart, a potem zaczerpnawszy pełną piersią powietrza, zaczął nerwowo: — Bramy natychmiast zamknąć... Bez mego zezwolenia żywa dusza wejść, ani wyjść nie może!... Straże na wałach zdwoić, ładunki rozdać... Działa wyrzycować!... Druga kompania natychmiast pod broń!... Pluton ułanów pod siódło w pełnym rynsztunku!... Drugi pluton...

wyprawić natychmiast na widety w okolice... trzeci pluton niech ściągnie z przedmieść ile się da jeszcze żywności... Dziś na wieczór wygotujesz mi listę wszystkich osób, nienależących do załogi a przebywających w murach Częstochowy!...

Kapitan ze wzrastającym zdumieniem słuchał rozkazów Stuarta. Gdy ten zamilkł i osunął się ciężko na ławę, kapitan odważył się zagadnąć:

— Komendancie... czy rozkazy twoje?!...

— Nie moje... nie! — odrzekł porywczo Stuart. — A potem zmógł się i wyrzucił gwałtownie:

— Wojna!...

— Wojna, komendancie?!...

— Tak!... Zebrać załogę... U ojca przeora sam będę!... To wszystko na teraz!...

Gdy Stuart sam został, gdy zmierzył myślą przepaść obowiązków, która go rozdzielić znów miała z serdecznym jego kochaniem, gdy jał ważyć, gdzie ukryje Beatrycę przed grozącymi zalewem kraju wojskami nieprzyjacielskimi, w oczach mu pociemniało, ponure obrazy wirowały dokoła niego, bunt zrywał mu się w piersi i szarpał, i żale a skargi na los złowrogi budził.

Na toż szczęście uśmiechnęło się doń, wyciągnęło ręce, aby mu jeno ból sroższy zadać, aby może w nieuchwytnych rozwiać się marach?! Aby olśniewszy go blaskiem, szczeznąć i jeszcze głębszą okryć go ciemnią?!...

Bo czyż podobieństwem jest, aby Beatrycza tu pozostała przy nim?! Czyż podobieństwem jest, aby miała znosić trudy możliwego obłężenia?!... Gdybyż obłężenia!... Częstochowa jest broniona słabo! Dwadzieścia ośm armat lichych, starych, niedalekonośnych i garść żołnierzy!... A jeżeli przyjdzie armia i rozpocznie bombardowanie?! Ha! On, Stuart, zna swój obowiązek!... Wie, co wówczas czynić należy!... Ale niechby był pewien, że Beatrycza tu w grę nie wchodzi!... że ona bezpieczna, że jej nie grozi upokorzenie, niewola, a może i hańba!...

A jeżeli zechce pozostać?!... Jeżeli będzie chciała dzielić z nim niebezpieczeństwa?... Wówczas on musi się temu oprzeć, już nie tylko jako duszą oddany... lecz jako komendant!... Davoust własnoręcznie pismami ustanowił regulaminy na wypadek wojny!... Regulaminy te on sam obwieszczał wielokrotnie załodze, żądał bezwzględności dla nich posłuszeństwa... Kapitanowi Godlewskiemu nie pozwolił, aby matkę staruszkę miał przy sobie... Celiński musiał żonę i dzieci w Warszawie zostawić!... Rozkaz marszałka nieodwołalnie zakazywał garnizonowi mieć przy sobie kogokolwiek z rodziny i zalecał utrzymywać bezwzględnie porządek pochodowy...

Teraz więc, coby powiedziano na to, gdyby on sam, komendant, dał zły przykład?!... I to nie w czasie pokoju! Czem usprawiedliwi uchybienie?! Tej nocy dopuścił się już był przestępstwa,

którego nikomu innemu nie byłby przebaczył... Wiesz o Beatryczy rozejdzie się, rozejść się musi, bo... ukrywanie jej pobytu nie na wieleby się przydało, a stałoby się powodem gorszych jeszcze, bo złośliwych domysłów.

Im dłużej Stuart zastanawiał się nad swoim położeniem, im bardziej dociekał, aby znaleźć jakiś środek dla wybrnięcia, im silniej chciał w samego siebie wmawiać potrzebę ofiary, tem pod czaszką jego gwałtowniejszy powstawał chaos.

Komendant targał bokobrody, szarpał srebrny temblak pałasza, rwał mundur, jakby go zedrzeć chciał, a wraz z nim nieublaganą zmore.

W takim usposobieniu znalazła go Beatrycza, która wyszedłszy rano dla rozejrzenia się po klasztorze i odwiedzenia cudami słynącego obrazu Bogarodzicy—przyszła była wraz z *sire* Jakóbem czegoś niezwykle wzburzona.

Stuart milczącemi uściśnieniami rąk powitał przybyłych. Beatrycza uraziła się.

— Widzę... że przybywamy nie w porę!

— Et!... Skąd takie przypuszczenie!

— Jesteś zajęty!... Twój ordynans ledwie nas wpuścił!...

— Zajęty? Tak, w istocie... godziny służbowe! — bąknął komendant, unikając bliższych wyjaśnień. — Ale... siadaj!... kuchynie!

Beatrycza zaśmiała się nerwowo.

— Masz dziwny sposób tłumaczenia się!...

— Ach!... *Signoro!* — upomniął łagodnie *sire* Jakób. — Wy, piękne panie, tego pojąć nie możecie!... Służbowe godziny! Raporty... rozkazy!... Ba—ba! Jeszcze u takiego rygorzysty komendanta!.. Przecież tu wszystko na jego głowie...

— Jest znów o czem myśleć!...

— *Signoro!*—bronił dalej podpułkownika *sire* Jakób. — Forteca, bodaj najmniejsza, ma zawsze jeden i ten sam mechanizm... W wielkiej idą wielkie warty, w małej małe — lecz ten sam zachód, ten sam kłopot!... Zawsze ten sam!... Szczególniej dla komendanta!... Bo czy napisać rozkaz dzienny dla stu ludzi, czy dla tysiąca, prawie jedna praca!... My, wojskowi, mamy wyrozumienie... ty zaś, *signoro*, powinnabyś odrobi-nieczkę...

— Dobrze, dobrze!... Niechże tak będzie! Nie wątpię, że zawsze gotów jesteś ujmować się za Gaetanem!... Pan komendant jest niewidzialnym! Pan komendant pracuje!... Cha cha! Pan komendant załatwia w tej chwili sprawy urzędowe!...

— Przestań, Beatryczo! — wtrącił Stuart.

— A nie — nie! — trzepotała się hrabianka, wprowadzona niezrozumiałą przyczyną w dobry humor. — Proszę ani na chwilę nie wychodzić ze swej wysokiej rangi i wysłuchać pokornego raportu!...

Beatrycza wdzięcznym grymasem ustroiła swą figlarną twarzyczkę i, przyłożywszy rękę do kołpaczka, naśladując tem salutowanie, zaczęła:

— Melduję pokornie panu komendantowi, że dla niewiadomych przyczyn kufry pani komendantowej i jej służba zostały zatrzymane u wrót!... Rozkaż, srogi komendancie, aby nie czyniono przeszkód puzderkom, fularom, batystom i jedwabiom bo pani komendantowa chciałaby się nareszcie przebrać!!

Stuart próbował się uśmiechnąć, lecz nie mógł. Beatrycza nadała się. *Sire* Jakób pośpieszył znów z pośrednictwem.

— Kuzynie—rzekł.— W żarcie bywa połowa prawdy!... Przykro mi, że cię trudzić muszę, ale warta zatrzymała moich strzelców i pojazdy!... Tłómaczyłem im! Odesłano mnie do dyżurnego dowódcy warty—lecz ten zbyt mnie opryskliwie!... Dostyc dziwny mają sposób obejścia twoi podwładni!... Nie koniec tego!... Wyobraź sobie, że nam samym czyniono propozycję usunięcia się... A gdy ustąpić nie chciałem, dodano mi szyldwachę i niemal przyeskortowano tutaj!... Zgodzisz się, kuzynie, że to bardzo zabawny... bardzo zabawny... zwyczaj!...

Stuart milczał ponuro... Beatrycza zmierzyła z niepokojem przygnębioną postać komendanta i ozwała się podrażnionym tonem:

— *Gaetano!* Zdajesz się być zmienionym?!... Jak mam sobie wytłómaczyć?!

— Beatryczo!—ozwał się z wysiłkiem Stuart. Nie bierz mi za złe!... Kłopoty!...

— Nie poznaję cię! Od wczoraj... widzieliśmy się zaledwie... a tyle...

— Przestań, przestań!... Daj mi, pozwól, niech odzyskam równowagę!...

— Jeżeli chcesz tego!... Ustępuję!... Wyjaśnienia odłożmy na później!... Tylko każ służbę moją wpuścić, bo to śmieszne!... Jakiś oficer pozwala sobie na samowolę taką!...

Głowa Stuarta opadła bezwładnie na piersi.

— *Gaetano!* Ty milczysz?!... Dlaczego?! Słyszalesz, o co cię proszę?!...

— Słyszałem!

— Wydaj rozkaz!

— Nie... mogę!...

Hrabianka drgnęła.

— *Gaetano...* ty chyba...

— Nie, Beatryczo! Nie! — rzekł cicho Stuart.

— Niepodobna!... Bóg mi świadkiem, że chcę... a nie mogę...

— Co?! Więc ty tu czem jesteś?!... Więc nie ty rozkazujesz?!

— Nie—Beatryczo, nie ja!...

— Kuzynie, co się stało?! — zapytał z niepokojem *sire* Jakób.—Zmiana dowództwa, taka raportowna??! Któż zatem tu rządzi?!...

— Wojna! — odparł głucho komendant.

Beatrycza na słowo to uspokoila się.

— Ach, więc to cię tak zaniepokoiło!... To?!...

— Ależ kuzynie!... Z kim?!... Jak?...

— Z Austrią!

— Hm!... Niespodziewana nowina!... Czy to tylko nie plotka?! W tych czasach? Skądże?!... O zatargu żadnym mowy nie było!...

— Niema czego ukrywać!... Godziny niema, jak tę wiadomość przywiózł mi kuryer księcia ministra wojny!... Jest wojna! Rozumiesz, *sire* Jakóbie? A ty, Beatryczo... możesz teraz dziwić się mojemu przygnębieniu?! O kogoż mi idzie? Czy o życie, które już tylekroć razy stawiałem na kartę?!... Czy ulekłem się rozprawy, jaka czekać mnie może?! Ale... poco ukrywać, idzie mi narreszcie o życie, bobym je tobie chciał zachować, idzie o moją gnuśność, bo wraz z nią czeka mnie nowa rozłaka!... Patrz, co ze mną się dzieje — bunt, rozprężenie!... A tu prawo wojny zimne, nieubłagane! Jedno zboczenie z drogi obowiązku, a za niem hańba, niesława... a w końcu, nawet nie ocalenie!...

— Kuzynie! Przecież, o ile wiem, miałeś podać się do uwolnienia!... Sam powiadałeś... dla szczęścia Beatryczy!...

— I chciałem tego! Widzisz ten papier?... To rozpoczęty raport!... Przekleństwo nade mną zawisło! Nie zdołałem go dokończyć... Rozkaz z Warszawy spadł na mnie, jak grom i jednym wyrazem zburzył wszystkie moje zamysły! A tak byłem ich blisko!...

Beatrycza zbliżyła się do komendanta i położyła rękę na jego ramieniu.

— *Gaetano!* Nie mów tak!... Nie mów! Jam przecież przy tobie!...

— Zimnej krwi, kuzynie, rozważy! — perswadował ze swej strony *sire* Jakób. — Położenie fatalne... jednakże możnaby coś jeszcze poradzić, coś przedsięwziąć!... Wojna, mówisz, wypowiedziana... ale możesz wysłać od siebie gońca i prosić o uwolnienie...

— *Sire* Jakóbie! I ty to mówisz? Ty, jak ja oficer!... Zapominasz, co znaczy, gdy żołnierz usuwa się z placu wówczas, kiedy go najbardziej, najgoręcej potrzebują?!...

Hrabia zmieszał się.

— Naturalnie!... Temu trzebaby nadać pozory... Wprostby nie wypadało! Ja sam nie wiem. Nie bierz dosłownie mojej rady! Trzeba obmyśleć... powoli, zastanowić się!...

— Być może!... Ja jednakże zastanawiać się nie mogłem!... Żądano ode mnie natychmiastowej odpowiedzi!

— I odpowiedziałeś!...

— Tak, jak odpowiada Stuart!...

Sire Jakób bębnił nerwowo po stole, chwiał głową, jakby na znak powątpiewania... Komendant, dotknięty flegmą *sire* Jakóba, dodał porywczo:

— Więc pan sądzisz, że Stuart miałby dwie odpowiedzi?!...

Sire Jakób pobladł zlekka.

— Odrzec ci trudno! Stuart u siebie, na swojej ziemi ojczystej, miałby jedną drogę!...

— Przyznajesz?!...

— Tak, że Stuartowie są Szkotami! Mogą walczyć pod innymi sztandarami—ale z pod tych sztandarów, jako z pod obcych, w każdej chwili usunąć się mogą....

— Zgoda, *sire* Jakóbie... ty jesteś Szkotem!...

— I nim zostanę!...

— W służbie angielskiej!...

— Dynastye się zmieniają!

— Nie dla Stuartów!... Zresztą, gdyby mnie odzew bojowy powołał do kolebki dziadów — nie zawahałbym się pójść pierwszy!... U was słych o tem zaginał! Gronostaje zamieniliście na płaszcze lordowskie, za dziedzictwo wzięliście ochłap z niego! A jam tu wyrósł, na wygnaniu, i dumny jestem i hardy z tego, bom z tułaczkiej ojezyny rodzica mego wziął hart sarmacki, co mi się nie da ugiać... nie pozwoli schylić w kabłak, ani unieżyć!... Tu jestem obywatelem kraju i nim chcę pozostać! O Szkocyi jednak, *sire*, Jakóbie mi nie wspominaj, bo tam mógłby mi tylko Stuart rozkazywać! Nie mość wielkobrańską!...

Sire Jakób do krwi zagryzł wargi. Beatrycza zarzuciła Stuartowi ręce na szyję.

— *Gaetano!* Jakiś ty szlachetny! Jaki piękny, gdy mówisz z takim zapalem!... Lecz *sire* Jakóba nie wiń! Każda jego myśl jest skierowana ku temu, aby ci świadczyć dobrze!... Nie unos się!... Wyobrażenia mogą was różnić, lecz więzy rodowe jednoczą!...

Stuart, poruszony słowami Beatryczy, uściśnął rękę *sire* Jakóba.

— Darujcie! Uniosłem się! Zważcie na moje położenie... to dręczy!...

— Bez wątpienia! Dlatego też uchylam się od dania wam odpowiedzi!... Jak się uspokoisz, pomówimy obszerniej... a teraz powiedz, co chcesz uczynić?!...

— Ja?!... Was-bym zapytać o to powinien!... Trzeba, żebyście, ile sił starczy, uchodzili do Warszawy! Tam wyjednam wam opiekę!... Tam będziecie bezpieczniejsi!...

— A ty?

— Beatryczo, cóż ci mam rzec!... Tu pozostać muszę!...

Hrabianka chwyciła gorączkowo rękę Stuarta.

— Ja z tobą się rozdzielić?... Nigdy!... Słyszysz! Niema takiej siły, któraby mnie oderwać od ciebie mogła!... niema takiej mocy... Na krok cię nie odstąpię! Z tobą chcę na wszystkie niebezpieczeństwa!...

— Najdroższa ty moja! Jedyna... Bóg cię natchnął!... Słowa twoje dodają mi siły, krzepią!...

— Niedobry!.. Niepoczciwy!.. A ty wątpieś?!... Więc na tom taką wielką podróż odbyła, na to dniem i nocą goniłam cię każdą myślą, każdym serca drgnieniem, aby teraz uleknąć się, aby ciebie odstąpić?!.. Niewdzięczny! Stokroć niewdzięczny!..

Stuart tulił drobne rączki Beatryczy, a w płomiennem jej spojrzeniu topniał, rozpływał się. Wyrzuty hrabianki były mu balsamem, koily i kołysały. Komendant samemu sobie wyrzucał słabość, brak ufności do tej, która mu przecież tyle okazuje miłości. Beatrycza nie ustawała w natarciach.

— *Gaetano!*—szeptała, zniżając głos do szmeru zefirów. — *Gaetano!*... Jak pomyśleć mogłeś o rozstaniu?!.. Nie trwóż się o mnie! Byłabym niegodną ciebie, gdybym lękom dała się opanować?.. A zresztą, cóż mi grozić może przy twoim boku! Śmierć?! Ale śmierć z tobą!.. Czyż śmierć mogłaby być piękniejszą!.. Lecz co tam śmierć!.. Ho-ho! Niełatwą mieć będzie sprawę! Wojna!.. Niewiadomo, przy kim zwycięstwo!.. Do stu furbeczek, i ja także coś znaczę!.. Prawda *Gaetano?* My dwoje zwyciężymy! Musimy zwyciężyć!...

Stuart był tak wzruszony, że ledwie skinieniem głowy zdołał odpowiedzieć na słowa Beatryczy.

. *Sire Jakób*, przysłuchujący się tej scenie ze zwykłym mu niedbałym półśmiechem, wtrącił z pobłażliwą wymówką.

— Dzieciaki—dzieciaki!.. Dasy, kaprysy, a potem znów wynurzenia, zachwyty; a końca sprawy ani rusz dojrzeć!... A tu trzeba działać, trzeba pomyśleć o prozie, a co najmniej o tym biednym naszym Paulu, który wraz ze strzelcami i tulaletą *signory* pokutują pod zamkniętą bramą!..

— Masz słuszość, kuzynie! — przytwierdził Stuart, tracę zaczynające się już w fałdy układać czoło. — Należy... zabrać się do pracy... Tylko... że, niestety... punktu wyjścia nie widzę!..

— *Gaetano!*..

— Wysłuchaj mnie, Beatryczo i ty, *sire Jakób*!.. Klnąć się chyba nie potrzebuję, że najlepszego dla was pragnę!.. Pomóście mi!.. Sam nie wiem!..

— Ależ kuzynie! Tłómacz się jaśniej!..

— Rozważcie sami! Wojna!.. Tu, niewiadomo, co wypadnie!.. Jesteśmy na wulkanie!.. Mogą najść!..

— Lecz niema ich jeszcze!..

— Klasztor wytrzyma czas pewien, oprze się... ale przed siłą będzie musiał ustąpić!.. Dalej, przypuśmy, iż Austriacy nie będą się kusili, ominą nas... wtedy czeka mnie gorsza chwila!.. Gorsza, bo rozkaz sztabu może zażądać, abym wyszedł w pole!.. Słyszycie to warczenie bębnow na odwachu?!.. Załoga wystąpi... Ja mam jej zwiastować najsurowsze obowiązki... które ją czekają, ja mam ostatni uczynić przegląd... a krom zakonników usunąć stąd wszystkich!.. Tu nie może nikt pozostać!.. Beatryczo, nie patrz tak na mnie. Nigdy obowiązek nie był mi tak ciężkim!.. Ja wiem... tyś dobra, szlachetna, ty sama...

— Innemi słowy, mój kuzynie — rzekł ostro *sire Jakób* — odwdzięczając się nam za podjęte trudy... wypraszasz nas za drzwi i to w chwili,

gdy poza temi drzwiami grozi nam nietyle może ten zalew austriacki, co rozprawa z bezładem, poprzędzającym każdą zawieruchę...

— Ależ, *sire* Jakóbie...

— Pozwól, że dokończę... Jeżeli tu muszę takie czynić ci uwagi, to nie ze względu na siebie!.. Wolałbym iść na armię całą, niż dwa razy z ust twoich taką odpowiedź usłyszeć! Lecz nie o mnie tu idzie, tylko o *signorę* Beatrycę... no a także i o ciebie!.. Twój katonizm jest niewczesny...

— Nie mów tak do mnie, kuzynie!.. Raczej wesprzej radą, pomóż!.. Ja chcę, jam gotów na wszystko, bo... i mam prawo... bronić swego szczęścia!.. Mówcie! Stanówcie sami, co począć!..

— Przecież mógłbyś nas przechować tak... że nawet własna twoja załoga o tem-by nie wiedziała?!..—ozwała się gorączkowo hrabianka.

— *Signoro* Beatryczo! Dziecinna myśl!.. Niefortunna! Ktoś wpadłby na ślad, wykrył!.. Jemu nie przystoi!.. Ale pozwól, kuzynie! Zapomnij o hrabiance, o mnie, a wystaw sobie, że dzisiaj, w chwili, kiedy masz zawrzeć bramy a mosty zwiesić, staje przed tobą zablakany cudzoziemiec i prosi o opiekę!.. Języka miejscowego nie zna, w obcym kraju wzburzonym traci grunt pod nogami, losy rzuciły go między dwa ognie, idących ku sobie, armii... Powiedz, czy i tu zasłoniłbyś się ogólnikowym, a nie mogącym nawet przewidywać takich wypadków, zakazem marszałka?!

— Nie wiem sam... może!..

— Aha!.. Teraz masz wątpliwość!..

— Nie—nie mam żadnej! Nie szarpcie mnie!.. Nie dziwiecie się!.. Żołnierzem jestem prostym!.. Ślepo szedłem za rozkazem i ślepego sam wymagam posłuszeństwa!.. Dziś!.. Rozstać się z nią... Tak!.. To niepodobna!.. Płaczę się, łamię, proponuję to, czego sam-bym nie przetrwał!.. Przebaczenie!.. Gdyby ktoś ośmielił się czynić złośliwe uwagi, że mimo własne słowa, daję gościń *sire* Jakóbowi Stuartowi i hrabiance Venosta... ten będzie musiał zamilknąć, kiedy mu powiem, że nie chciałem wydać na niebezpieczeństwo żony i krewnego!

— To się nazywa rozumnie powiedziane!—przytwierdził z lekką ironią *sire* Jakób.

Komendant atoli nie zwrócił uwagi na sarkazm. Raz wyrzuciwszy z siebie to postanowienie, odurzył się niem, upił tem, że Beatrycza przy nim i z nim zostanie. Nowa siła, nowa energia wstąpiła w Stuarta. Jak przed chwilą z samym sobą toczył walkę, tak teraz gotów był stawić czoło każdemu, co-by mu Beatrycę chciał od jego boku wziąć!..

Bez ociągania się dłuższego, Stuart ponownie kazał wezwać do siebie kapitana Hana.

Kapitan stawiał się bezzwłocznie.

— Czy zarządzenia moje poczynione?—zaczął Stuart.

— Tak jest, komendancie! Za godzinę wszystko będzie gotowe!.. Spisu jeszcze, którego żądałeś, niema... lecz wnet go wygotuję... Kapitan Celiński obchodzi cały klasztor... Noga żadnego intruza nie postanie.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!.. Tak trzeba!—bąkał komendant, nie wiedząc, jak przystąpić do sprawy, jaką Hanowi chciał powierzyć.— A... a... oficer ordynansowy... już odjechał!?

— Od godziny, komendancie...

— Zuch chłopak!..—Zuch!!..

— Ze starej Częstochowy nadciągają gromadami ludzie... prosząc, aby ich do klasztoru wziąć... Wiadomość o wojnie doszła już i tam!..

— Tem lepiej!.. Niema czego ukrywać, niema!.. Niech się przygotowują na najgorsze!..

— Warta odmawia wszystkim!..

— Tak trzeba!..

— Ale, panie komendancie, podoficer pełniący służbę przy bramie użył broni... strzelał... Skończyło się na postrachu... lecz istotnie nie mógł dać sobie rady!.. Szczęście, że nie miał ostrego ładunku—krew-by się polała!..

— Co się stało?!.. Strzelał? Dziś? Do kogo?!..

— Jest to cała historia! Jeszcze śledztwa nie ukończyłem!.. Z tego, o czem dotąd się dowiedziałem poszło o upór służby jakiegoś pana!.. Mówią, że wczoraj zjechał do Częstochowy jakiś hrabia z córką... i jakoby był w klasztorze!... Służba jego... chciała dostać się za panem—pod-

oficer bronił im wstępu!.. Porozumieć się nie mogli, bo to włosi, a bodaj w przeważnej liczbie anglicy... doszło do zatargu... podoficer wobec oporu strzelił...

Stuart zblił. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Han mówił dalej:

— Opowieść ta wydaje mi się fałszywą!.. Nikt w całym klasztorze nie widział żadnego hrabiego!.. Braciszek klasztorny zapewnia, że był obcy pan jakiś w kaplicy z damą!.. Lecz to zakrawa na bajkę!.. Swoją drogą zarządziłem najsurowsze dochodzenie, a tych dobijających się strzelców i famulusów wziąłem pod klucz!..

Han skończył, a podniósłszy pytający wzrok na twarz Stuarta, zdumiał się, widząc ją zmienioną. W komendancie duma walczyła z przyrzeczeniami, danymi Beatryczy. On, nieugięty dla siebie i drugih, surowy zwierzchnik,—miał się poniżyć, miał swemu podkomendnemu przyznać się do słabości, jeżeli nie do winy...

Komendant wahał się jeszcze, nie śmiać spojrzeć w marsowo patrzące z pod krzaczastych brwi oczy kapitana, wahał się, aby nie wyczytać w nich potępienia.

Han, zmęczony oczekiwaniem na odpowiedź, poruszył się niespokojnie i zapytał:

— Czy masz mi co do rozkazania, komendancie?!..

Stuart oprzytomniał, a zebrawszy siły, rzekł ponuro:

— Do rozkazania—nie!.. Kapitanie!.. odwołać się muszę do twojej duszy żołnierskiej i prosić, abyś w mojej sprawie przyszedł mi z pomocą!..

— Komendancie! Rozkazuj!..

— Nie — przekładam tylko!.. Losy niewola mnie do uchybienia rozkazom!.. Nazwać je można mniejszem lub większem, lecz ono jest!.. Gdyby go się dopuścił, który z podwładnych mi oficerów—ja był-bym sędzią!.. Ponieważ ja je popełniłem, więc ty rozstrzygaj, jako tu po mnie najstarszy!.. Powiem ci krótko.. Hrabia, który cię takiego niepokoju nabawił—jest tutaj, u mnie. Ja go wprowadziłem i chcę go pozostawić... i tę dać taką!..

— Twoja wola, komendancie! — odparł zimno Han.

— Z niej chcę się wytłómaczyć!..

— Mnie wystarczy, że tak stanowisz...

Stuart zacisnął zęby.

— Mówisz, jakbyś nie stał nigdy w jednym szeregu ze mną pod Novi!.. Hrabia jest szkotem, moim krewnym... dama, która z nim przybyła, moją narzeczoną!.. Wojna zaskoczyła ich!.. Boję się ich od siebie puścić!.. Czuję się winnym złego przykładu... Osądź!..

— Więc ta służba? ci strzelcy?!

— Należą do *sire* Jakóba Stuarta, co w imię najzacieńszych porywów przebieżał pół Europy i szczęśliwym wypadkiem tu mnie odnalazł!.. Pojmiesz?!

— *Sire* Jakób... komendancie, jest anglikiem?!.. Stuartowi krew nabiegła do oczu.

— Mości kapitanie... nie z komendantem mówisz, ale zawsze ze Stuartem! *Sire* Jakób ma swoje wyobrażenia o rzeczach, lecz tu przybył w zamiarach uczciwych!.. Zresztą, za niego głowę moją-bym ważył!..

Czoło Hana się rozchmurzyło.

— Daruj komendancie! Wybacz, Bogiem się świadcę, że się uląkł pierwszego odezwania się twego, a uląłem się go nie dla siebie!.. A teraz, kiedy cheesz, abym ci odpowiedział po żołniersku, to ja się na takich skrupułach nie znam! Subordynacja wielka rzecz. Słuszna sprawa od zawalidrogów się bronić. Zakaz, aby się nikt obcy nie znajdował, dlatego się stanowi, że nie sposób odgadnąć, w jaką skórę zdrada się przedzierzgnie? Skoro takiej supozycji być nawet, oczywiście, nie może—to chleba starczy, a co łada ciura cieszyć się będzie, jako jego komendantowi będzie miał kto troskę spędzić z czoła!..

Stuart wyciągnął ramiona do kapitana.

— Bóg ci zapłać, towarzyszu!.. Ciężar zdejmujesz mi z piersi!.. Wielki ciężar!.. No, więc ułóż, jak chcesz!.. Lecz niechże wszyscy o tem wiedzą!.. Tajemnica zbyt cenna!.. A już tych tam pacholków, wypuść z pod klucza!.. Ba! Ja im próżnować nie dam!.. Pod karabin zapędzę!.. Muszą i oni zapracować na siebie!..

— I mogą! Chłop w chłopu pod miarę!..

— Takich nam potrzeba właśnie!—zakonkludował wesoło Stuart.— Wracaj tymczasem, kapitanie, żeby mi nie zalegali! Bo to powitanie, gdyby do nas austriacy zajrzeli, musi być sute!..

— I będzie, komendancie!.. Ale, zapomniatłem... ojciec przeor pytał mnie przez braciszka, kiedy mógłby się widzieć z komendantem?.. Chciałby coś o obronie...

— Te—te!.. Chyba o zapowiedziach moich!.. Nudny staruszek!.. Piękne ma swoje racje a głęboką wiarę—no, ja mu nie przymawiam, ale wolalibyśmy mieć na nieprzyjaciela drugie tyle armat, niż jego najpoczeiwsze modlitwy!.. Heretykiem nie byłem—tylko gdzie Stwórcy do naszych praw ludzkich!.. Rzymu dobywaliśmy, gdzie przecież jest komu gromy z jasnego nieba sprowadzać, a i to się uporaliśmy!.. No—no!.. Uspokój kapitanie staruszka, niech nie fuka! Znajdę chwilę czasu, to do niego zajrzę!.. Nabożeństwo pewno nakaże!.. O! Słyszysz!.. Dzwonią!.. Rozmów się!.. Weź ze dwie kompanie żołnierzy!.. Trzeba!..

Komendant w znakomity wpadł humor. Han od lat takim go nie widział. Śmiał się, żartował, przeciągał gawędę, a gdy o obronie, czekającej Częstochowę wspomniał, to skry mu szły z oczu. Aż kapitan pierwszy musiał przypomnieć komendantowi, że czas mu wracać na służbę. Stuart uściśnął raz jeszcze rękę kapitana i chciał co prędzej powrócić do Beatryczy, aby znowu

za dziwactwa swoje ją przeprosić,—gdy do izby wpadł jak wichura porucznik Rudowski.

Stuart spojrzął badawczo na przybyłego.

— Już z podjazdu!?..

— Tak, komendancie!.. Ledwie dotarłem do pogranicza... wracam!.. Pół plutonu na słabszych koniach musiałem zostawić... a sam co koń wyskoczy!..

— Wolno! Tłómacz się acan wyraźniej!..

— Austriacy nad granicą... lada godzina wkroczą do księstwa!.. Korpus od Sławkowa...

— Widziałeś go!.. Może pogłoskę wziąłeś?!!...

— Korpus generała Bronovacky'ego... pięć tysięcy piechoty, trzysta kawalerii, dziesięć armat! Prowadzi generał Bronovacky! Nie spodziewając się obecności nieprzyjaciela, wpadłem na pikiety... Doszło do starcia!.. Jeden ułan ranny, dwóch huzarów nieprzyjacielskich zwaliliśmy z koni... Wówczas szwadron ukryty wystąpił i oskrzydlił nas... Zaczęliśmy się bronić! Tymczasem nadjechał ordynans Bronovacky'ego i wezwał mnie na rozmowę!.. Przedstawił mi, jako generał Bronovacky dopiero za dwanaście godzin rozpocznie kroki wojenne, a teraz prosi o uwiadomienie o tem pana komendanta!..

— O której godzinie rozmawiałeś acan z ordynansem?!..

— Około północy!.. Rozprawa zaczęła się po omacku, inaczej nie dalibyśmy się podejść!..

— Więc on już następuje!.. I słyszałeś wyraźnie, że tu, tu, pod Częstochową idzie?!..

— Tak jest komendancie! Snać muszą mieć dobre wiadomości, bo ordynans wymieniał pana komendanta z imienia i z nazwiska, a nadto nazywał dowódcą placu Pilicy... a nadto...

— Cóż więcej?!..

— Odzywał się tak, że... niema co powtarzać!..

— Chcę wiedzieć wszystko!..

— Komendancie...

— Mów śmiało!..

— Dawał do zrozumienia, że generał Bronovacki tylko z tem wojskiem postąpi sobie po nieprzyjacielsku, które mu będzie stawiało opór... ale, że co do pana komendanta, to ma nadzieję... dojść do porozumienia!..

— Bezczelny!.. A tyś co mu odrzekł!..

— Ja... porwałem się do pałasza!.. Austriacy jeli przekładać, iż w tem niema nie obraźliwe-go... bo to porozumienie raczej zaszczytem będzie, a nigdy poniżeniem!.. To mi poruczyli powiedzieć!..

Stuart wzruszył ramionami.

— Poszaleli! Śni im się!.. Ja z Bronovackym?!.. A no, pogadamy, zapewne, ale... z armat... Możesz odejść, poruczniku!.. Zamelduj dyżurnemu kapitanowi o żołnierzach, którzy nie powrócili!..

— Według rozkazu!..

Rudowski wyszedł. Stuart nie namyslał się dłużej. Teraz, gdy po rozmowie z Hanem tłoczący go ciężar spadł mu z serca—odetchnął pełną piersią. Cała energia, zimna krew i przytomność mu powróciła. Zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł na mury. Wraz z jego ukazaniem się praca zawrzała gorączkowa, gwałtowna. Han w myśl rozkazów porwał był już całą załogę na nogi, zebrał wszystkich oficerów. Na placu, przed Jasnogórskim kościołem, otrąbiono chrapliwy apel. Han, imieniem Stuarta, przemówił kilka słów, poczem ojciec Euzebiusz odczytał krótka modlitwę, krople wody święconej padły na czapy i kaszkiety, zawisły na ostrzach karabinów—i załoga rozeszła się, rozpadła na części.

Kapitanowie Godlewski, Celiński, Szymanowski i Han podzielili się pracą. Ostatni jako doświadczony oficer saperów, przy pomocy ściągniętej z przedmieść gwardyi narodowej, pod dowództwem zapamiętałego wolontarza, imię pana Czerno, umacniał mury, poprawiał przedklasztorne fosy, podsypywał wały, gotował zapas belek i kamieni dla podpierania i zakładania wyłomów, rozstawiał strażę, któreby nie dopuściły pożaru, a pomagał porucznikowi artyleryi, Wiśniewskiemu, rychtować działa i osadzać je na murach. Godlewski wziął w opiekę amunicyę, Celiński forpocztę zewnętrzną, Szymanowski strażę i dowództwo stojących pod bronią dwóch pierwszych kompanii piechoty.

Za kapitanami dopiero stanął Stuart, baczny na każde uchybienie, napozór pozostawiający podkomendnym swobodę działania, lecz zjawiający się zawsze tam, kędy ta swoboda czegoś nie dopatrzyla, nie dojrzała, o czemś zapomniiała.

Lecz nie wiele było do zganienia. Załoga Częstochowy nawykła do wzorowego porządku, zaprawiona wcześniej do pogotowia wojennego—każdy rozkaz chwytala w lot, uprzedzała. Wojna nikomu straszną nie była,—spodziewano się jej,—oczekiwano jak chwili wyzwolenia, a z pełnem zadowolenia uśmiechem wymawiano imię Napoleona. On tu ożywiał każdego żołnierza i kazał mu spokojnie spoglądać w przyszłość! Wojna z księstwem—więc wojna z Bonapartym, a któż jemu się ostanie?!.. Skinie i potęgę austryacką skruszy, zmiażdży, pod stopy sobie podściele!.. Zaslepiony tylko może występować do boju—tylko zaslepiony!!.. A nadobitek, jeżeli i przyjdzie gdzie do jakiej rozprawy, to pewno nie pod Częstochową!!.. Nieprzyjaciel nawet czasu nie będzie chciał tracić i coby mu przyszło kusić się... i na co?!..

Tak rozumował żołnierz, tak w duchu myśleli oficerowie, tak samo mniemał Stuart. Robota wrzała, lecz może więcej w niej było junackiej fantazyi, więcej swawoli, niż rozumienia grozy niebezpieczeństwa. Do uciążliwej, jednostajnej służby fortecznej dla niektórych przybyła rozmaitość, nadzwyczajność, dla innych nowy szereg

dziwaństw komendanta, strofowań i zrządzenia. Prawda, wiadomość przywieziona przez Rudowskiego zwiastowała zgola inną przyszłość! Ale, mimo zakłęk porucznika, nawet tak doświadczony żołnierz, jak kapitan Godlewski, brał całe oświadczenie Bronovacky'ego za zwyczajną przechwałkę zarozumialca. Przechwałek takich na modłę orlich odezwań Bonapartego nie brakło ani przed Arcôle, ani przed Austerlitzem, Jeną i Iławą... Z tą tylko różnicą, że armia rozpanoszonego „generała“, wbrew zapowiedziom, rozbitą nie została, a przyrzeczenia dawane żołnierzom przez Napoleona się sprawdzały!!..

Zresztą wszyscy byli zadowoleni—bo choćby nawet... to forteca klasztorna wcale marsową przybierała postać. Nie lada-by trzeba było oddziału, żeby się odważył pod nią podejść, a gdzież dopiero dobywać.

Stuart wracał z przeglądu w świetnym humorze. Gdyby tu sam Davoust z Berthièrem na inspekcję przyszli, nie-by mu zarzucić nie mogli. Żaden szczegół obrony nie został pominięty!.. Jedna niesubordynacya... to Beatrycza!.. No... ale to dla komendanta i jedna zachęta, jedno prawo więcej do tem zaciętszej obrony!

Komendant uśmiechnął się sam do siebie. Naraz machinalnie oczy podniósł i jakby doznał przykrego uczucia—o dwa kroki mijał go, salutując, porucznik Raczynski.

Komendant przystanął i, jakby chcąc zatrzyć niemiłe spotkanie ubiegłej nocy — zagadnął przyjaźnie:

— Jakże, poruczniku, wypocząłeś już?!

— Wracam ze służby właśnie!..

— Dopiero teraz?..

— Kapitan Han komenderował mnie do wybierania furaju!..

— Ach—tak! Cóż, wojna, ludzi brak!.. Teraz za to wytechniesz sobie! Należy ci się!.. Każe cię w kolei opuścić!..

— Według rozkazu! — odrzekł z oschłą służbistością Raczyński.

Brak podziękowania ze strony porucznika dotknął komendanta.

— Wolałbyś już może teraz wypoczywać?!

— Mnie wszystko jedno, jak pan komendant rozkaże!

Stuart zmierzył ostro Raczyńskiego, odwrócił się i poszedł ku swojej kancelarii.

— Krnąbrny młokos! — mruczał do siebie Stuart. — Ale ja mu uszów przytrę! Niepodoba mu się może, iż mu przerwałem nadskakiwanie Beatryczy?!.. To-by się wybrał ładnie!.. Trzeba było surowiej się z nim obejść tam, w lochu! Smyk taki, ledwie pod szlify go wyciągnięto z szeregu!.. A jak mi to ostrogami dzwoni!.. Niech okiem mrugnie!.. Na chleb i wodę bez pardonu zasadzę!..

Komendant wszedł nieco podirytowany do kancelarii, a potem skierował się do izb, zajmo-

wanych przez *sire* Jakóba i Beatrycę. W pierwszej izbie zastał zebranych już strzelców hrabię, którzy pod przewodem Paula i panien pokojowych rozpakowywali rzeczy,—w drugiej *sire* Jakób śmiał krótką fajeczkę i z miną znudzoną przechadzał się z kąta w kąt.

— No i co tam słysząc?!..—zagadnął od niechcienia, zobaczywszy komendanta.

— Dobrze wszystko! General Bronovacký ze swoim korpusem wybiera się podobno w trzy tysiące złożyć nam wizytę!..

— Ejże?! A ty, kuzynie!..

— Nastawiliśmy wiwatówki, no i czekamy. Chociaż mocno mi się zdaje, że nic z tego nie będzie!.. Ale, a gdzie Beatrycza?!..

— W twoim pokoju!.. Poszła spocząć... nie przerywaj jej!..

— Ach! Anibym śmiał! Właśnie dobrze się składa, bo mam jeszcze radę wojenną!..

— Bój się Boga, kuzynie, a onaż ci na co?

— Formalność! Regulamin żąda! Musi być!..

— Oj ty służbisto nieznośny. Przecież i tak ty rozkazujesz!..

— Oczywiście! Ale trzeba! Wreszcie niejedno się omówi! Czasem myśl dobra powstanie!.. Więc jeszcze jako gospodarz muszę podać się na urlop!..

— Nie zatrzymuję, idź!.. Pozwól jeszcze chwilkę! Nie masz za złe Beatryczy, że wydała polecenie, by pokojowe przygotowały jej twój pokój na stałą kwaterę!..

— Mój pokój?.. Skoro sobie tego życzy!

— Cha — cha! I podobno nie na dziś! Do licha, zresztą, pewno niedługo ją tam samą zostawisz!.. Przeczekać, a potem kościół pod bokiem!..

— Nie dam sobie, kuzynie, po kilkakroć tego przypominać! — odrzekł ze szczerem rozradowaniem komendant. — No, a co do pokoju, to jedna tylko niedogodność, że jak wiesz, jest w nim owo zejście do podziemi!.. Chociaż, może to i dobrze! Pani komendantowa będzie dawała baczenie!..

Stuart uściśnął gorąco rękę *sire* Jakóba, a powróciwszy do kancelaryi, wysłuchiwał obojętnie raportu ordynansa o tem, że przeor paulinów znów po dwakroć do niego przysyłał. Komendant zalecił wezwać wszystkich kapitanów i starszych poruczników do siebie, a przeora zamówił na dzień następny.

Gdy się to działo, Raczyński po spotkaniu ze Stuartem, krążył dalej bez celu wśród zabudowań klasztornych. Mimo spóźnionej pory, mimo całego zmęczenia dwudniową służbą, o śnie zdawał się nie myśleć nawet, a raczej szukał go w utrudzeniu, któreby odeń wzięło te pałace obrazy, co mu się snuły przed oczyma, któreby ukoilo bunt, kołające w piersi.

Po kilkakroć Raczyński samemu sobie wyrzucał dziecinństwo, po kilkakroć próbował wyśmiać samego siebie, w gryzącej ironii znaleźć wytrzeźwienie z czarów, rzuconych nań przez hrabiankę!..

Przekładał i powtarzał sobie, iż dla awanturnicy pospolitej, dla damy, ku której schylić się nie było warto, zaprzętał sobie głowę! Nie w tem wydarzeniu nie było osobliwego, nie nadzwyczajnego, chyba to jedno, że i ten sum-komendant dla spódniczki gotów wszystkie regulaminy swoje podeptać, czemu istotnie dziwić się nie można! Sam młody jeszcze, a ten dyablik włoski potrafi wabić!.. Ale co znaczyła ta odegrana z nim komedya, co te spojrzenia powłóczyście a pałace?!.. wszak jeszcze odchodząc, rzuciła mu pożegnanie!?!.. I cóż z tego!.. Taka rodzi się, aby oczyma strzydzi!.. Komendant!.. Ba! Jaką to minę pewną miał przed chwilą!.. Siedzi teraz może z nią razem i napawa się jej widokiem!..

Zawiść głucha, drętwa, szarpnęła piersią Raczyńskiego.

— Ona jest u niego!.. Jest tuż, po za temi murami.. a jego dzielą od niej przepaście całe! Tamten komendant, podpułkownik!..

Raczyński mimowoli skierował się ku mieszkaniu Stuarta, wpatrując się pilnie w napóły oświetlone, wąskie okno kwatery komendanta, iżali bodaj cienia jej nie dojrzy! Okna, śród zapadającej nocy, poglądały ku niemu coraz silniej, coraz jaśniej... Były światłem czerwonym, nieruchomem.

Porucznik zatrzymał się dla otarcia spoczonego czoła, powiódł po rozścielającej się dookoła pustce zgorzkniałem, ponurem spojrzeniem i już

chciał zawrócić do swej kwatery, gdy naraz uwagę jego zwrócił cichy szelest, dobywający się z poza węgła klasztorного budynku, w którym mieszkał komendant. Z bezmyślną ciekawością jął się wpatrywać w ciemność wieczorną i oto dostrzegł najpierw cień kobiety, a tuż za nim wyniosłą postać mężczyzny...

Ona szła naprzód, przystając od czasu do czasu i oglądając się ostrożnie — on, postępując za nią ciągle w tem samym oddaleniu, zdawał się naśladować jej każdy ruch.

Raczyński stanął pod murem, wzroku nie spuszczać z idących. W pierwszej chwili sądził, że to musiała być jedna z pokojowych hrabianki, bo cóżby ona sama o tej porze robić mogła... zwłaszcza ze strzelcem!.. A tego ostatniego poznał od razu, był to ten sam wysoki dragał, o szero-kich, nastrzępionych bokobrodach, co go był widział już w karczmie!.. Atoli posuwisty a lekki chód kobiety obudził w Raczyńskim wątpliwości, zaparł w nim oddech. Przeczucie mówiło mu, że to Beatrycza.

W pierwszej chwili porucznik chciał wyjść z ukrycia i bodaj słów kilka zamienić z hrabianką, bodaj raz jeden spojrzeć w jej oczy — lecz nowy szczegół zatrzymał go na miejscu. Oto teraz dopiero zauważył był, co znaczył szelest, który najpierw uszu jego doszedł. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna, mieli w naręczach zwo-

je szarawo-białe... rozwijali je i co kilka kroków rzucali na ziemię szeleszczące płachty...

Płachty, porywane przez wiatr, tarzały się po ziemi, przewracały, zawisały na krzaczach, tuliły do murów, chroniły pod wałami, snując rozwichrzone pasmo. Biel taka szła krok za krokiem z rąk kobiety i mężczyzny.

Raczyński stał wpatrzony w tajemnicze postacie, zdumiony widokiem, którego zrozumieć nie mógł, a wreszcie, gdy cienie zaczęły mu niknąć z oczu, podążył za nimi. I oto widział, jak cienie dalej rzucały białe płachty, słyszał jak krążące placówki wołały ku nim donośnie — kto idzie?!.. — i słyszał jak kobieta spokojnie odpowiadała hasłem!..

Porucznik napróżno dociekał, co znaczyć miała ta spóźniona wędrówka i to z hasłem na ustach. Jeżeli kobietą była Beatrycza... może komendant dał jej zlecenie, może ta przechadzka niepozbowiona jest znaczenia!.. Śmieszna historia, gdyby istotnie Stuart!.. Phil!.. U takiego i o to nie trudno.

Raczyński oka nie spuszczał z idących w dali postaci — w końcu wzięła go ochota przyjrzeć się z bliska, rzucanym tak hojnie płachtom. Skręcił więc w bok i zanim wiatr zdołał unieść jedną z nich — pochwycił ją.

Płachta była zwyczajnym kawałem zadrukowanego papieru!..

Raczyński wzruszył ramionami. Osobliwa siejba! Podniósł papier machinalnie do oczu, lecz wskutek mroku nie zeń dojść nie mógł, porzucił go więc na ziemię — a tem mocniej zaintrygowany, zebrał się na odwagę i postanowił sobie dojść prawdy. W tym celu, nie kryjąc się już wcale, jął pośpieszać. Lecz wówczas cienie, jakby dostrzegłszy, że je ktoś śledzi, również zdwoiły kroku.

— Uciekają! Cóż do licha!.. Przecież je muszę zobaczyć! — mruknął do siebie porucznik i już nie iść, ale biec zaczął. Cienie ze swej strony uchodziły coraz prędzej.

Gonitwa trwała przez chwilę. Raczyński nie ustępował, rozumiejąc, iż wpadł na ślad jakiejś nowej sprawy. Po kilkakroć brała go ochota zaniechać pogoni, a to z uwagi na wspomnienie spotkania się z komendantem, tam w lochu... A może i tu tym drugim cieniem był Stuart!..

Zawziętość w Raczyńskim przemogła. Mniejsza nawet o takie spotkanie! Będzie nareszcie wiedział Stuart, że nie każdemu tu można imponować lada sztuczką!

Cienie atoli znów hyżej biec zaczęły, a nadmiar, zakręciwszy pod murami w lewo, uciekały, kierując się najwyraźniej ku tej części zabudowań klasztornych, kędy było mieszkanie komendanta.

Raczyńskiemu zbrakło cierpliwości, chwycił za pistolet i zawołał ostro:

— Stój, bo będę strzelał!..

Na to zawołanie cień kobiety zachwiał się, ważył się przez chwilę, odwrócił się ku porucznikowi i stanął. Raczyński w kilku susach dobiegł do niego, spojrzał... była to ona, Beatrycza. Przecucie go nie zawiodło.

— Pani, pani tu o tej porze?.. — szepnął stropiony porucznik, sam nie wiedząc, co rzec, czem usprawiedliwić swoją poprzednią groźbę. — A ja... wziąłem panią za kogo innego, bo widząc cienie rozrzucające...

Hrabianka zadrżała. Z pod okrywającej ją chusty wypadł ostatni zwój papieru. Raczyński posunął się bliżej, a postrzegłszy niezwykłą błądź i przerażenie nieomal, malujące się na twarzy hrabianki — ozwał się ze współczuciem.

— I pani... pani tu!.. Taka zmieniona...

Beatrycza nie dała mu dokończyć — schwyciła go za rękę i jęknęła błagalnie.

— Poruczniku, ty mnie nie zgubisz?!.. Prawda!.. O tak, czytam to z twoich oczu!..

— Ja panią?!.. Gubić?!.. Dlaczego zadajesz mi takie pytanie?!..

— Nie!.. nie pytaj mnie!.. Na tobie się nie zawiodę, na tobie mogę polegać?!.. Prawda?!.. Powiedz!.. Słuchaj, od wczoraj z myśli nie schodzisz!.. Poczytaj to za dzieciństwo, ale tak jest w istocie... nie wiem, co się ze mną dzieje!..

Raczyński z zapartym oddechem słuchał gorących słów hrabianki. Ona tak do niego przemawia, czy to nie sen, nie złuda, nie mara?..

— Jeżeli serce twoje pozostało bez echa — szeptała dalej hrabianka — daruj... pamiętaj na uczucie, które obudziłeś... a które może mnie złać... Obrazem twoim żyję od wczorajszej nocy... a dziś...

— Beatryczo! — wybuchnął Raczyński. — Nie mów tak, nie uniażaj siebie, boś ty... panią moją... tyś królową!.. A patrz, co mnie tu przywiodło!.. Niepokój, żalność... ból... zazdrość!.. Wszak miałem do niej powód... miałem prawo sądzić, żeś ty czemś dla mnie niedoścignionem... że inny zdawna posiadł...

— Nie! nie! — zaprzeczyła energicznie Włoszka. — Przywiodło mnie tu co innego!.. Zresztą on wydawał mi się innym, dopóki nie poznałam ciebie, dopóki... nie zabrałeś mi duszy!.. Słuchaj!.. Mógł ci zaufać?!..

— Beatryczo, czy może być we mnie granica poświęcenia dla ciebie?!.. Wszystko... wszystko...

— Wierzę ci!.. Więc na Boga nie zdradź się przedewszystkiem z tem, że mnie widziałeś dzisiaj!..

— Ależ... najdroższa moja, nikt, nikt wiecieć nie będzie o tem szczęściu mojem!..

— Przysięgasz?!..

— Stokroć przysięgam na honor, na życie, na wszystko co mam najdroższego!..

— Tak—dobrze! — szepnęła spokojniej hrabianka. — A teraz muszę z tobą pomówić... muszę

cię widzieć!.. Czekaj jutro o tej porze... Ale gdzie?..

— Tu, w tem samem miejscu!..

— Nie, niepodobna! Widzisz, dookoła placówki... mogliby nas dostrzedz... a trzeba kryć się, do czasu... do czasu!.. Czekaj!.. Za mieszkaniem Stuarta... tam się spotkamy!.. Od strony wałów jest niewielkie ogrodzenie — będę przy niem o tej samej porze!.. A teraz... żegnaj mi... i pamiętaj, że ty... ty musisz być moim, tylko moim!..

Raczyński chciał odpowiedzieć, lecz Beatrycza zamknęła mu usta długim pocałunkiem, skinęła na czekającego na nią strzelca i znikła z przed oczu porucznika.

Porucznik był oszołomiony, pijany szczęściem, które go spotkało, w uszach dzwięczały mu ciągle słowa pożegnania.

Odgłos kroków nadchodzącego rontu obchodowego otrzeźwił nieco Raczyńskiego. Raz jeszcze spojrzął w stronę, w której rozwiała się w ciemni nocnej postać hrabianki i zawrócił do koszar. Ledwie atoli stąpił, potknął się. Spojrzął ku ziemi — u jego nóg białł się zwój papierów, porzuconych przez Beatrycę. Porucznik uśmiechnął się sam do siebie.

— Biedna, jak była wzruszona! — rzekł do siebie i podniósł zwój, aby go przy widzeniu oddać hrabiance.

Ze serdecznem rozradowaniem wszedł Raczynski do swej izdebki, którą tuż obok koszar zajmował razem z ochotnikiem Cybińskim. Ochotnik spał snem twardym, oddawna wypoczywając po uciążliwej służbie. Raczynski spojrział z politowaniem na chrapiącego w kącie ochotnika — o ileż ten był odep uboższym! Posiąć serce takiej jak Beatrycza kobiety, posiąć od razu, zdobyć wstępnym bojem!.. A on ledwie się wazył ją wspomnieć!.. Tego burzymuchę, Stuarta, brał za upiora, za wcielenie zła, za tego, który cieszył się wzajemnością hrabianki!

Ale... miłość nie zna szarży!.. Toż mu buta komendantka dopiero dokuczy! Na nie epolety, na nie krzyże, co innego tu rozstrzyga!..

Porucznik z zadowoleniem pokręcił węża — poczem jął zwolna układać się do snu, wypominając sobie każdy szczegół spotkania z Beatryczą, każdy jej ruch, każdy wyraz... a potem już nie rozpamiętywał, lecz marzył, aż póki zmęczenie nie skleiło mu powiek.

Stuart tymczasem, odbywszy radę wojenną — podpisywał był jeszcze rozkazy dzienne na dzień następny, myślą ścigając już chwilę, gdy będzie mógł do Beatryczy podążyć. Wreszcie skończył podpisywanie, ostatnie zarządzenia wydał i zbierał się do wyjścia z kancelaryi, przyznając sobie w duchu, że po tak pracowicie spędzonym dniu należy mu się rzetelne wypocznienie. Właśnie miał być pożegnać kapitana Hana, który śleczął

jeszcze nad rysunkami potrzebnych do wzmocnienia nasypów, czego się Szymanowski gwałtownie dopominał, — kiedy do kancelaryi wszedł ordynans i rzucił kapitanowi kilka słów.

— Bywaj mi kapitanie! — ozwał się rażno Stuart. — Już tam, proszę, dopatrz czego trzeba... ja dziś chcę wziąć parogodzinny urlop!..

— Dobrze, komendancie, nie chybię... ale bo tu właśnie...

— Cóż takiego?!..

— Przeor!..

— Na miły Bóg!.. A czegoż ode mnie chce?!.. Ani ja jego nie potrzebuje, ani on mnie!.. Niech sobie czyni w klasztorze, co mu się podoba.

— Komendancie!.. Stało się!.. Przyszedł sam.. czeka tu, obok!..

Stuart zachnął się niecierpliwie. W porę mu przychodził! Zresztą, co mu było do przeora?

— Kapitanie!.. Ja tam nie potrafię z nim dojść do ładu. Zacny sobie staruszek, ale, do pioruna, czasu szkoda na próżne gadanie! Będzie nudził, morałami sypał, no, to nie dla mnie! Poważam go wielce, lecz niechże mi głowy nie suszy! Wykręć mnie jakkolwiek, zapytaj, o co mu idzie, nawet, jak będziesz uważał, daj mu zapewnienie, że stanie się po jego myśli... tylko mnie uwolnij!.. Wolę przed habitem umknąć bocznymi drzwiami!..

— Komendancie! Niepodobna — ordynans powiedzieć, że jesteś!.. Nadto, ojciec przeora ma do

ciebie, komendancie, bardzo ważną i osobistą sprawę!..

Stuart zmarszczył się. Przyszło mu na myśl, że pewno do przeora doszła wiadomość o pobycie Beatryczy! Może myśli uwagi mu czynić!..

Ale uniknąć ich nie było podobna. Lepiej od razu rzecz skończyć — niechże zapowiedzi każe ogłosić, no a zresztą... on tu jest dowódcą!..

Komendant klasnął na ordynansa i kazał prosić przeora.

Po krótkim oczekiwaniu, we drzwiach ukazała się wyniosła postać przeora paulinów, o twarzy pogodnej, jasnej, czole wysokiem i spokojnem, pełnem zadumy wejrzeniu. Wieniec białosrebrnych włosów okalał czaszkę paulina i zdawał się łączyć z fałdami białej sukni zakonnej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł przeor cichym, ale mocnym głosem.

— Na wieki wieków! — odrzekł pośpiesznie Stuart — co ojciec wielebny rozkaże?..

— Nie będę was, komendancie, długo trudił!.. Zapytywałem kilkakrotnie!.. doczekać się nie mogłem... no i przychodzę... choć nie chciałem... Czasem trzeba!..

— Miałem intencję jutro być u ojca przeora!.. Dziś doprawdy tyle miałem do czynienia!..

— Nie wątpię, nie wątpię!.. Rozumiem, służba... służba!..

— Tak, hm! właśnie!.. Więc jestem do usług...

Przeor, miast odpowiedzi, spojrział na siedzącego obok kapitana. Stuart zrozumiał intencję i ozwał się pośpiesznie.

— Ojcie przeorze... Kapitan Han... towarzyszył dawnym a mój zastępca... możesz mówić przy nim śmiało!..

— Tak! Jednak, panie komendancie, wybaczyć, wolałbym być zupełnie na osobności!..

Kapitan powstał z miejsca, skłonił się i wyszedł. Stuart ledwie mógł ukryć ogarniające go zniecierpliwienie — wszystko zdawało się zapowiadać, że przeor zabiera się do jakiejś nudnej a przedługiej rozprawy...

— Więc znów mamy wojnę! — zaczął przeor po małej pauzie.

— Cha! Można się było tego spodziewać!..

— Zapewne, takie czasy, smutne czasy!.. Wy niszczenie kraju, spustoszenie!.. Ile wdów, ile sierot, a ile nieszczęścia ludzkiego!..

— Zwykła kolej rzeczy!.. Wióry muszą być! — rzekł ośchle Stuart.

Przeor chwiał smutnie głową.

— Gorzkie dni kary Bożej!..

— Ojciec wielebny! My chyba nie możemy na tę wojnę się skarżyć!.. Gdyby nie ona, czy byłoby to księstwo! Przyszła znów... Kto wie, czy nie na dobre! Ba, wątpić nie można! Austriacy się porwali! Z Napoleonem rzecz!.. Wy, ojciec, pewno się turbujecie o klasztor!.. Nic mu się nie stanie!..

— O co ja się turbuję!.. Nie się tu, prawda, stać nie może bez dopuszczenia Boskiego, ale ludzkim obowiązkiem jest...

— Doskonale! — przerwał Stuart. — My też, ojcze, znamy te obowiązki no i mowy niema, abyśmy się tak łatwo stąd dali wypędzić... a jeżeli... do tego-by przyszło, toć austriacy szanują kościoły... My raczej kłopotać się musimy o siebie, ale ojcowie paulini mogą spać spokojnie!..

Przeor zachmurzył się.

— Komendancie! — rzekł surowo. — Mówisz tak, jakby pod tą suknią zakonną nie było polskie serce!

Stuart zmieszał się.

— Ależ tak! Żle się wyraziłem!.. Miałem na myśli poszanowanie dla miejsca... otóż najgorsze przewidując... mogą mury ucierpieć... ale zresztą nie z tatarami rozprawa!..

— Bóg jeden wie, kogo się bać należy, przed kim strzedz.

— Cesarz Napoleon tylko ruszy z armią, a ta fala, co ku nam podobno sunie, cofnie się i zgini!..

— Mnie, komendancie, o Bonapartym nie powiadaj!..

— Jakto?!..

— Cóż! Przecież nie tajemnica!.. Wyzwalać przyszedł, a policz, ilu ludzi wybrał, ile ciężarów kraj poniósł!.. A to miejsce uszanował?.. Baliśmy się prusaków, co zęby ostrzyli na skarbiec

i wyciągaliśmy ręce do Bonapartego... Imć pan Wosiński dystygował się,—prusakom Częstochowę odebrał... a potem, ile srebra, ile złota kazał sobie cesarz wypłacić... tu, z tego, na co setki lat się składały!..

— Nie będę tu bronił cesarza—bo wcale inne mam opinie...

— Prawda, prawda, mości komendancie!.. Zapamiętaj a bohaterstwa żadnemu z was nie brak, je-no nie masz tego ducha, co dawne ożywiał zastępy, nie masz tej pieśni, co ojców prowadziła do boju!..

— Inne czasy... inne wyobrażenia!..

— Nie te, nie dawne!.. Wojna!.. Słyszę, panie komendancie, nie lada czynisz przygotowania do obrony!.. Tylko żołnierze twoi nie myślą o tym najpotężniejszym puklerzu, co góry przenosi...

— Byli dziś na nabożeństwie!..

— Istotnie, musztra była nawet w świątyni Pańskiej — lecz gdzie przykładu z góry niema, tam maluczy są jako błędne owce!.. Daruj, mości komendancie, jam cię tu nie przyszedł gromić ani sądzić!.. Jenó ważę się przypomnieć imię Tej, co tu od wieków panuje, która strażniczką jest tej pustelni, która jej broniła!..

— Ojcze wielbny... więc o cóż idzie?!..

— Byś pamiętał, że aby w żołnierzy wstąpił jeden duch, aby stali się godnymi tych, co na tych samych murach ginęli... trzeba uproszenia

błogosławieństwa Orędowniczki naszej, trzeba pojednania się z Bogiem!..

— Krótko mówiąc, mam ich napędzić do spowiedzi?!.. Nie mam nic przeciwko temu! Cenię wielce pobożność, kto ją ma w sobie istotnie!.. Wydam rozkazy!.. Od jutra kompaniami będą wysyłani—niech odprawiają rekolekcyje!.. Oczywiście po porządku, boć służba od dziś podwójna...

Przeor powstał z miejsca.

— Nie, mości komendancie... tego nie chcę, temu się sprzeciwię!.. Dom Boży, to nie koszary!.. Nie ten tam jest miler widziały, kogo rozkaz wiedzie, ale ten, kogo dobra wola skłania!.. Jeżeli innego na żołnierzy świętych nie masz wpływu... to zaniechaj myśli o przymusię!..

— Cha! Jak ojcze wielbny uważacie! Sam żołnierzem jestem, nie kaznodzieją!.. Czynić mogę to, co do mnie należy!.. Zresztą, moi żołnierze nie są żarliwi ale między nimi odszczepieńców niema, a co ci ręczę, że gdy przyjdzie do rozprawy, wstydu przeszłości nie uczynią!.. Tej garści mojej jestem taki pewny, że bym się porąbać dał za nią!..

— Nie wiem!.. Tam gdzie wiary niema, tam złe się czai, czyha!.. Tam o zdradę nie trudno!..

— Tu jej niema!..

— Tak mówisz!—szepnął przeor.—A ten papier widziałeś?!..

Stuart wziął do ręki podany mu papier, przebiegł kilka wierszy i poruszył się niespokojnie.

— Co?!.. Odezwa Bronovacky'ego!.. wezwanie arcyksięcia Ferdynanda!..

— Tak! Czytaj!.. Zobacz, co przyrzeka, co obiecuje?!.. Przekonaj się, ile trucizny, ile sieci zastawionych na każdego małodusznego, ile ludzkiej przewrotności!..

— Cały manifest!.. Piekielny pomysł!.. Ale, ojcze wielbny, skąd doszedł cię?!..

— Zapytaj raczej, skąd wziął się w murach klasztornych?!.. Ty mnie pytasz! Komendancie, w tej chwili ten sam manifest jest już w koszarach!..

Stuart pobladł.

— Ojcze wielbny!.. Jabym o tem musiał wiedzieć...

— A jednak nie wiesz!.. Idź, przekonaj się... przekopy twoje zasiane są temi odezwami... nawet trafiły one pod drzwi kościoła!.. Czy więc, gdyby złośliwość panowała, mogłaby się tak łatwo, tak bezkarnie zakraść zdrada?!..

Komendant nie słuchał słów przeora, bąknął parę wyrazów bez związku, przypasał pałasz i wybiegł, jak burza, kierując się na odwach.

Stuartowi w głowie się mroczyło ze wzruszenia. Tu, pod jego okiem, zdrada, hańba, knowanie!.. Tu aż mnicha potrzeba było, żeby wykryć zbrodnię!.. Chyba niepodobieństwo, — przesada... może plotka!..

Pod odwachem dostrzegł Stuart szybko sunący cień i rzucił ku niemu.

— Kto idzie?!..

— A to ty komendanciel!—odparł Han.—Idę właśnie do ciebie!.. Gwałtowna sprawa!..

— Co... co takiego!?!..

— Proklamacye generała Bronovacky'ego porozrzuć po całym klasztorze!..

— Więc są?!..

— Pełno!.. Żołnierze, wracający z warty, przynieśli je!.. Porucznik Bieniecki, będący na służbie natychmiast udał się na miejsce... są ich setki... o!.. I tu leży jeden!.. O i tam!..

Stuart rozejrzał się po ziemi. Dokoła tarzały się, podrywane wiatrem płachty papieru.

— Natychmiast trzeba rozpocząć najostrożniejsze śledztwo!.. Obszukać cały klasztor, koszary!.. Winny musi się znaleźć!.. Należy... poodbierać je, gdyby były gdziekolwiek!! Kapitanie... spodziewałem się wszystkiego, lecz aby te przedsiębrane przez nas środki ostrożności pozwoliły zakraść się zdraździe!.. Okropne, straszne... Radź, co zrobić, co przedsięwziąć...

— Komendancie, nie nadto, co powiedziałeś!.. Śledztwo!..

— Więc weź do pomocy Szymanowskiego... albo ja pójdę z tobą... Każ zatrzeć na trwogę!.. Zbierzemy wszystkich, a potem... bodajby przyszło ziemię do góry nogami przewrócić!.. Musimy dojść, musimy osiągnąć winowajcy!.. Inaczej

wiesz, co nas tu może czekać... Nieprzyjacieli, mając między nami ukrytych szpiegów czy stronników... to klęska!..

— Komendancie! — mruknął ponuro Han. — Mnie tego nie potrzebujesz powtarzać! Wiem, co nam grozi!.. Nie czas na rozprawę!.. Do śledztwa należy przystąpić!.. Każda minuta stracona może udaremnić nasze zabiegi!..

— Masz słuszność!.. Na odwach!..

W kilka sekund później na odwachu Często-chowskim rozległy się chrapliwe dźwięki trąbki a w ślad za nimi trzykrotna salwa armatnia... Załoga porwała się na równe nogi. Kto żyw śpieszył do swego oddziału. Oficerowie przebiegali koszary, hukali, nawoływali. Zewsząd wysypywać się zaczęły gromadki żołnierzy i na plac przed odwachem dążyć, kędy na wypadek trwogi był wyznaczony zbor.

Tam już kapitanowie Han, Szymanowski, Godlewski i Celiński ustawiali przybywających, wyznaczali im miejsca, łączyli, wyciągali linie. W kilkanaście minut załoga była pod bronią. Tu i owdzie brakło jakiegoś marudera-guzdrały, tu i owdzie sunęli jeszcze spóźnieni, witani ostremi napomnieniami poruczników.

Jednym z ostatnich był także Raczynski. Gdyby nie imię pan Czerno, co biegnąc mimo jego izdebki—zbudził porucznika, może by alarm przespał!.. Z trudnością podniósł się Raczynski i oddział pośpiesznie, a widząc chrapiącego zawzięcie ochot-

nika Cybińskiego, jął go budzić, lecz daremnie. Cybiński mruczał coś przez sen, przewracał się i spał dalej... Trąbki tymczasem nawoływały coraz zajadlej. Raczyński, nie mogąc dać sobie rady z Cybińskim, przypasał pałasz i wybiegł z izdebki, obiecując sobie żołnierza którego wysłać po ochotnika. Atoli, ku wielkiemu zdziwieniu Raczyńskiego, uczynić tego nie mógł. Kapitan Han bowiem, pilnujący zbierania się oddziałów, z miejsca nikomu ruszyć się nie dał.. Cały ten alarm wydał się porucznikowi dziwnym, ba i nietylko porucznikowi. Żołnierze poglądali na siebie zdumieni—dawniej przyzwyczajeni byli, iż po zebraniu się pierwszych kompanii—komendant kazał trąbić rozejście się do koszar i dziękował tym, którzy najpierwsi przybywali..

Prawda, teraz, w czasie wojny, mogło być inaczej!.. Ale chyba nie tak!.. Zwołują i każą stać w miejscu, pochodniami znacząc narożniki każdego oddziału...

Ktoś z żołnierzy szepnął cicho—„wycieczka.“—Wyraz ten podawany z ust do ust obiegł szeregi, lecz wkrótce nowe budzić się zaczęły wątpliwości...

Komendant zebrał najpierw oficerów i długie miał z nimi rozprawy — następnie ci ostatni jęli badać kolejno żołnierzy... Wszystkie pytania skierowane były do proklamacyi nieprzyjacielskich, które znaleziono porozrzucane w fortocy. Szeregi odpowiadały przecząco. Stuart nakazał natych-

miast zmienić warty i badać tych, którzy byli na służbie. Ale i tu nie wiedziano o proklamacyach, zaledwie jeden z podoficerów obchodowych przypomniał sobie, że kilka godzin temu uwagę jego zwróciły dwa cienie snujące się pod murami, ale że te na pytanie odpowiedziały mu hasłem...

Kiedy już przedwstępne badania ukończono, komendant nakazał rewizję w klasztorze i koszarach. Kapitanowie sformowali oddziały i ruszyli na poszukiwania—załoga pozostała pod bronią.

Stuart niecierpliwił się, powtarzając sobie, że gdyby mu przyszło klasztor zburzyć — musi wykryć sprawcę, musi ukarać! W postanowieniu tem utwierdziło go odkrycie, że za murami Częstochowy ani jednej proklamacyi nie znaleziono—że więc zdrada tu, pod jego okiem, mimo zdwojonych straży się gnieździła.

Po długiem oczekiwaniu kapitanowie powracać zaczęli z rewizyi—każdy z nich przynosił wiadomość, że nigdzie śladu niema. Komendant targał faworyty, do krwi gryzł wargi, jeszcze brakło tylko raportu Szymanowskiego!.. Trzeba więc było szukać dalej!.. Stuart był zdecydowanym... pozostawał jednak jeszcze do obszukania kościoł, cele zakonne... a potem skrytki mnichów, chodniki, labirynt podziemi!..

Han pozwolił sobie zrobić uwagę, że ojców paulinów może urazić takie podejrzenie—komendant odrzekł stanowczo:

— Jest mi to obojętnem. Niema dla nikogo wyjątków!..

Han umilkł. Stuart pośpieszył złagodzić odpowiedź.

— Prawo jedno dla wszystkich!.. Ojców nie podejrzewam, swobodnie jednak mógłby sobie ktoś u nich kryjówkę upatrzyć!..

Na te słowa nadciągnął przed front stojących pod odwachem szeregów kapitan Szymanowski.

— Nic—nic?..—zagadnął pośpiesznie Stuart.

— Komendancie! — rzekł ponuro kapitan.— W izdebce, zajmowanej przez porucznika Raczynskiego... zastałem śpiącego ochotnika Cybińskiego...

— Dwanaście godzin służby bez luzowania!!..

— A... obok niego... na ziemi... znaleziono... ten zwój proklamacyi!..

— Cybiński! Cybiński! — powtarzał zdumiony Stuart.—Przy nim... znaleziono proklamacye!?..

— Tak, komendancie!.. Przy nim tuż!.. Areztowałem go!.. Czekam dalszych rozkazów!!..

— Każ odprowadzić go na odwach!.. Natychmiast trzeba rozpocząć badanie!!.. Tłumaczył się, mówił co!!..

— Nie pytałem, komendancie!.. Nie miałem odwagi!.. To syn mego starego przyjaciela i towarzysza broni!.. Nie podobna, by on rękę przyłożył do takiej zbrodni!..

Stuart nie słuchał kapitana. Jedna myśl, jedna siła nim zawładnęła — a było nią oburzenie,

gniew na tego, co shańbił mundur, płamę rzucił na załogę. Żadnych względów, żadnych sentymentów—przykład musi być, nauka dla innych!..

Żołnierzy odprowadzono do koszar. Oficerowie zbierać się zaczęli na odwachu, kędy miało nastąpić pierwsze badanie winowajcy.

Porucznik Raczynski podążył na odwach za innymi, nie rozumiejąc dobrze, jakie właściwie popełnił przestępstwo Cybiński. Sam, pozostając pod urokiem spotkania, rozmarzony, ledwie ze snu wybity, nie zdawał sobie sprawy ani z tego alarmu, ani z poszukiwań.

Na odwachu zasiadł Stuart, mając dokola siebie kapitanów. Młodszy oficerowie otoczyli kołem komendanta.

Raczynski spoglądał naiwnie na Stuarta, śmiejąc się w duchu z tego, że dla ukarania tak dzielnego skądinąd żołnierza, jak Cybiński, tyle robią gwałtu. Z tem samem uczuciem wysłuchał przemowy o zarazie, która wdarła się w mury Częstochowy—dopiero, gdy Stuart, kończąc swoje wezwanie do ukarania przestępcy, do zapomnienia o jakiegokolwiek względach osobistych—rzucił na stół trzymany w ręku zwój proklamacyi... Raczynskiemu w oczach pociemniało... W zwoju tym poznał zgubę Beatryczy!..

Tymczasem na znak dany przez Stuarta — straż wprowadziła Cybińskiego. Badał kapitan Han, pytając szczegółowo ochotnika, kiedy był udał się na spoczynek, — gdzie i pod kim pełnił ostat-

ni raz służbę. — Cybiński odpowiadał śmiało, przytomnie. Han przeszedł po wstępnych badaniach do przedmiotu głównego. Młody ochotnik z tą samą pewnością odrzekł, że żadnych proklamacyi nie miał w ręku, ani widział, i że niema wyobrażenia, skąd one wziąć się mogły około jego posłania.

Han, wobec oczywistego zapierania się winy — nacierał coraz gwałtowniej — Cybiński ciągle odpowiadał przecząco.

Stuart przerwał badanie i wezwał Raczynskiego, jako najbliższego świadka.

Porucznik stanął zmieszany i niepewny. O Cybińskim dał jak najlepsze świadectwo, nawet odważył się zapewnić, że nie byłby zdolnym do spełnienia czynu hańbiącego.

Stuart, którego zeznania porucznika zaczęły drażnić, bo osłabiały oczywistą winę — wtrącił niecierpliwie:

— Mości poruczniku! Tu nie o cnotę idzie!.. Winienesz acan rzeczy się trzymać!..

— Sprawowanie ochotnika uważałem za godne pamięci! — odrzekł głucho Raczynski.

— Być może! — podchwycił Han. — Ale to duża sprawa!.. Nas obchodzi przedewszystkiem to... że ochotnik zajmował z tobą jedną izdebkę... i że proklamacye znaleziono w tej właśnie izdebce!.. Powróciłeś, poruczniku, po Cybińskim!..

— Tak... kapitanie!..

— A czy nie zwróciłeś uwagi na zwój papierów!?

Raczynski pobladł!.. Komendant utkwiał w nim badawcze spojrzenie. Porucznikowi w oczach pociemniało, odgadywał, że jedno nierozważne słowo, a zgubi ją... pogrzebie własne szczęście...

— Poruczniku!.. Odpowiedz na pytanie! — napomniął surowo Han. — Więc może przed twoim przybyciem... zwoju tego nie było jeszcze!?

Raczynski drgnął. W oczach rozetlały mu ponure iskry.

— Tak... przypominam sobie... zwój ten leżał... nie zwróciłem był nań uwagi!..

Stuart powstał z miejsca.

— Panowie! — rzekł sucho. — Tego zeznania wystarcza! Kary służbowe tu ustają! Winny musi być stawionym przed sądem polowym. Sąd zbierze się jutro i jutro wyda wyrok!..

Oficerowie grobowem milczeniem przyjęli oświadczenie komendanta. Cybińskiego odprowadzono pod strażą do kazamaty.

Stuart chmurny powrócił do swojej kwatery. Wykrycie winowajcy nie uspokoiło go, lecz nawet silniej rozdrażniło. Mógł się spodziewać wszystkiego. Najętych szpiegów, przekupionego ciury, ale nigdy, żeby taki Cybiński ważył się na zdradę!.. Rodzina zacna, chłopak zawsze pełen zapалу szczerego... toż awans na podoficera czekał go lada dzień, a po nim już i porucznikowski instrument! Polecał go major Hor-

nowski, wstawiał się za nim sam Przebendowski!!.. A w końcu wstydy, hańba!..

Komendant zęby zacisnął.

Ten mu zapłacić musi! Przykład jest potrzebny i będzie najsurowszy... żadnych względów, żadnych ustępstw... w fosę i kulą w łeb!..

Stuart tak tę sprawę wziął do serca, że nawet rozkoszny uśmiech Beatryczy, jakim go powitała, nie zdołał spędzić troski z czoła komendanta.

— Ty... ty... nieznosiłniku!—rzekła z wymówką hrabianka—znów nasepiony, nasrożony!.. Nawet dla mnie nie masz chwili pogodnej!..

— Dziecko!..

— Nie usprawiedliwiaj się! Nie chce! Tu, na tym progu, powinny odbiegać cię wszystkie przekopy, musztry!.. Tu, mości komendancie, także służba!.. A klnę się, że każdą niesubordynację potrafię ukarać!..

Stuart próbował się roześmiać.

— Jeszcze? jeszcze?.. — nalegała Beatrycza, widząc nieustępującą z twarzy komendanta troskę.

— Co robić? Co robić? — westchnął ciężko Stuart.—Człowiek ani się spodziewa, jak na niego co spadnie!..

— Ta wojna tak cię przejmuję?!..

— Wojna? — Nie!.. Ale zdrada!..

— Zdrada, mówisz?! — zagadnęła niepewnym głosem Beatrycza.

— Tak—nikczemna zdrada, i to tu, w murach fortecy, pod moim bokiem! Mimo wszelkie ostrożności, mimo zdwojone straże!..

— Chyba się mylisz!.. Niepodobna!..

— Wczoraj toż samobym powiedział może, ale nie dzisiaj!..

— Czy nie przywidzenie?..

— Niestety, nie!.. Winowajcę pochwycono!.. Beatrycza pobladła.

— Któż to taki?!—szepnęła drżącym głosem.

— Żołnierz, po którym nigdybym się nie spodziewał tego... młody ochotnik... ułanów—Cybińsk!..

Hrabianka odetchnęła lżej.

— Wyobraź sobie—kończył Stuart—ni mniej, ni więcej, tylko rozrzucał proklamacye Bronovackiego, obiecujące złote góry tchórzom!.. Ale gorzko za to odpowie!..

— Cóż chcesz z nim uczynić?!..

— Sąd polowy! Wyrok zawsze jeden!.. Rozumiesz!.. Krwią musi zmyć splamienie mundur!..

— No! Nie przeczę... proklamacya może ci się wydawać niewłaściwą... rozrzucanie jej niestosownością... ale, żeby aż tak surowo karać...

— Inaczej być nie może. Na zdradę niema innej odpowiedzi!..

— Ależ sam mówisz... młody...

— Wszystko jedno! Niema wyjątków! W tym razie generał odpowiada na równi z żołnierzem!..

Względy nie istnieją!.. Nikomubym nie przebaczył!..

— Nawet... mnie?!..

Komendant spojrzał ze zdumieniem na Beatrycę.

— Skąd ci takie pytanie może przyjść?..

— Chcę wiedzieć...

— Nie wiem!.. Nie umiem rzec, co by było!.. Ależ... jak ci nawet w głowie może coś podobnego powstać!.. Ty?!..

— Gdyby jednak!..

— Cóż za przypuszczenia!.. No, chcesz wiedzieć?!.. Rozstrzelalibyśmy bez pardonu, ale najpierw sąd wojenny!.. Ba! A czyby się taki sąd zebrał! Któżby się ważył rzec słowo przeciwko pani komendantowej, jeszcze takiej, która jednym spojrzeniem najtwardsze serce stopić na wosk potrafi!..

Beatrycza zdawała się być bardzo zadowolona z dworskiej odpowiedzi Stuarta, lecz, mimo to, dalej zarzucała go pytaniami, wyciągając wszystkie szczegóły wykrycia przestępstwa. Komendant to zniescierpliwilo, nie okazując jednak niechęci, — zaprotestował łagodnie:

— Nie mówmy o tem! Daj choć na chwilę zapomnieć! Sprawa smutna, bolesna, dotykająca mnie... Nie dość wyroku, nie dość kary — pójdą, bo pójść muszą, raporty do sztabu... a wrócą zapytania!.. Jużci, stąd i niepoehlebne mniemanie dla dowódcy!..

— Lecz czyż cię ono dosięgnąć może! Wszak myśl porzucenia służby nie opuściła cię...

— Zapewne!.. Mimo to, zbyt krwawo pracowałem na ten mundur, aby na nim skaza powstała!..

— *Gaetano*, doprawdy, masz tak przesadzone pojęcia o honorze, że czasem zrozumieć cię trudno! Jedna w tem wszystkiem prawda, że za tyle lat służby nie masz nic, że gdybyś w innem wojsku służył, dawno miałbyś i rangę stosowną zasłudze i uposażenie odpowiednie stanowisku!..

— Być może!.. Wróciłem do kraju późno!.. Przebieglejsi, czy zabieglejsi, zdolali już co lepsze rozchwycić!.. Cesarzowi umieli się przypodobać, marszałkom pokłonić!.. Nie ja jeden!..

— Niewielka stąd pociecha!..

— Masz, generał Dąbrowski! Ile lat się tułał, ile lat pracował dla legionów, dla Rzeczypospolitej jeszcze, a teraz?!.. Z generała dowodzącego dawniej wszystkimi, którzy walczyć chcieli, awansował na generała dywizyj!..

— Więc na moje wychodzi!..

— Tak—tylko nie zapominaj o sprawie, której służymy! Bóg mi świadkiem, najpierwszem mojem życzeniem, by to nasze Księstwo awansowało, a tam o mnie mniejsza!..

— Dlaczego? Mająż inni korzystać z tego, na co ty rzetelnie zasłużył?!.. Nie, *Gaetano*! Póki nie było—zgoda! Teraz co innego! Nie oceniają cię, lekceważą. Takiego jak ty oficera trzymać na uwięzi w klasztorze, to chyba nie można na-

zwać wyróżnieniem!.. Jestem kobietą, lecz na twojem miejscu poczęłabym sobie inaczej... poszłabym tam, gdzieby umieli się poznać...

— Beatrycz! Co mówisz?!.. W służbie francuskiej jeszcze byłoby mi gorzej! Tam przydzielonoby mnie do jakiego liniowego pułku i lata zeszłyby, zanim zdołałbym się odznaczyć!.. Myślisz, że wielu jest naprawdę szczęśliwców, którzy zdołali wpaść w oko cesarzowi, a bodaj któremu z marszałków! Piechota liniowa francuska to rdzeń armii, to potęga, ale to otchłań, w której giną tysiące bez śladu, zapadają się, toną! Zanim pułk zapracuje na pochwałę w rozkazie dziennym, czasem już po czterokroć pochował wszystkich swoich oficerów, czasem już zeń zostały ledwie strzępy!..

— Ach! Czyż tylko to Księżewko jest na świecie i jeden Napoleon!..

Stuart nachmurzył się i ozwał się cierpko:

— Jeden! Chyba, że wyrzekłbym się samego siebie, że z żołnierza przedziernąłbym się w najmitę!..

— Cha! Cha! Pozwól... a teraz?.. Przecież koniec końców i tutaj jesteś przybyszem!

— Niech i tak będzie, lecz żołnierka moja nie była rzemiosłem!.. Tu na świat przyszedłem, tu ruszyłem za hasłem...

— Ja tam bez wahania zaciągnęłabym się na służbę bodaj austriacką, angielską wreszcie!

Stuart ujął Beatryczę za rękę.

— Dlaczego tak do mnie mówisz?! Na co?! Czyż mogłabyś kochać zdrajcę, czy odstępcę?!..

— Mogłabym, bo tybys nim nie był!..

— Błędne koło! Gdybym nawet miał zamiar dalej służyć—to nigdybym nie dał się skusić tym mniemanym świetnościom!..

— Choćby to było mojem życzeniem?!..

— Twojem?—odparł żywo komendant, w żart obracając odpowiedź.—Wątpisz!.. Dla ciebie, jedyna, do samego Belzebuba na adjutantkie buljony bym poszedł!

Hrabianka pokręciła główką, jakby niezadowolona z odpowiedzi.

— Uważasz mnie za dziecko! Zbywasz śmiechem!

Stuart spowaźniał.

— Mogęś inaczej ci odpowiedzieć! Tak, dzieckiem jesteś, kochanem, ale kapryśnem dzieckiem!.. Nie znasz, czym jest obowiązek, czym życie nasze, czym honor żołnierza, i mówisz!.. Śmiałe są twoje projekty, bardzo śmiałe!.. Takim jednak, jak twoje ustkom, darować je można zawsze, trzeba darować!..

— Więc to wszystko, co ci przekładam, po-błażania tylko godne?!.. Więc wątpisz, że istotnie chciałabym cię widzieć zadowolonym?..

— Czyż nim nie jestem?!..

— A ileż masz wciąż utrapień!

— Furda! Da Bóg, skończy się ta potrzeba, skończy dobrze, a wówczas biore dymisję, zgar-

niam fundusik, który od śmierci rodzica wypo-
czywa sobie w Warszawie na procentach i... wte-
dy z tobą, gdzie wola!.. Na skraj świata, byle
tylko z tobą!..

— Ale, *Gaetano* — przerwała nagle Beatry-
cza. — Nie powiedziałeś mi, jak się nazywa ten
porucznik, którego zeznanie rozstrzygnęło o wi-
nie ochotnika?!..

Ten niespodziewany zwrot uraził komendanta.

— Dziwną jest twoja ciekawość...

— Powiedz, kobieca! — roześmiała się swobod-
nie hrabianka. — Muszę... muszę wiedzieć o wszyst-
kiem!.. To, co ciebie dotyczy, obchodzi i mnie!
Więc?..

— Raczynski! — rzekł niechętnie Stuart.

— Raszyński, Raciński! — powtórzyła Beatry-
cza, przekręcając nielitościwie nazwisko — zdaje
mi się, że słyszałam już o nim...

— Masz wyborną pamięć! — zauważył z prze-
kąsem komendant. — Jest to ten sam porucznik,
który ci honory czynił... tam, w karczmie!..

— Jemu zawdzięczasz zatem wykrycie wino-
wajcy... To dzielny oficer!..

— Tak, dosyć!..

— Nie jesteś z niego kontent?!..

— Czy i to cię szczególnie obchodzi? — od-
parł komendant rozdrażnionym tonem.

— Ależ... dziwak!.. Pytam!.. Widzisz w tem
co złego?!.. Nie odpowiadasz!.. Bo naprawdę ten
twój Rasiński... może dla mnie nie istnieć!..

Wejście *sire* Jakóba przerwało chwilowy za-
targ. Rozmowa zeszła na przedmioty obojętne.
Stuart rozburmurzył się powoli. Beatrycza wpadła
w wyborny humor. Droczyła się, szczebiotała,
udawała nadąsaną — komendant ścigał ją rozpro-
mionym wzrokiem, a sobie samemu wyrzuty
czynił za opryskliwość swoją i porywczosć.

— Dziecko drogie, kochane! — powtarzał sobie
— żywe jak skra, płochliwe a dobre!.. A on do
niej wielką miarę chce przykładac, każde jej sło-
wo ważyć, każde pytanie rozpatrywać... a toć
dziecko!.. I taka jedynie szczęście mu zapewni,
taka da mu zapomnienie tych dni młodzieńczych,
które w gorzkich zapasach z losem strawił, które
przeszły mu na doli twardej, obowiązkach szczyt-
nych, lecz przerastających nieraz siły!.. A on?!..
On od tego szczęścia swego, od tej prostoty i za-
dufanej swywoli żąda rozumu statysty, wymaga
doświadczenia, chciałby, by staremu sztabowcowi
dotrzymała placu, a lada płaćninę w rzeczach
wojskowych poczytuje już za przewinienie!..

Komendant aż roześmiał się do samego siebie
ze swej zapalczywości.

Hrabianka dostrzegła pogodę, jaką zajaśniały
oczy Stuarta i odezwała się z przymileniem:

— Już się nie gniewamy na najkrnąbrniejszą
z niewolnic?!..

— Beatryczo, przebacz! Starzeję się, tetry-
czuję! Wstyd mi przed samym sobą! Ciebie po-
sądzać! To nie do darowania! W istocie zasługu-

ję na karę! Powinnaś mnie ukarać, ostro, surowo! Poddam się bez szemrania! Zasłużyłem rzetelnie!

— Dobrze — rzekła hrabianka, mrużąc filuternie oczy. — Sprawiedliwości musi stać się załość! — poczem, wyciągnawszy swą małą rączkę, zawyrokowała, strojąc poważną minę. — Proszę pocałować zaraz... bez zbytej skwapliwości lecz... powoli... z namaszczeniem... ze skrucą!..

Stuart skoczył do ręki hrabianki i okrył pocałunkami.

— Niegodny... niegodny twej dobroci! — szeptał ze wzruszeniem.

Sir Jakób spoglądał na tę scenę z dziwnym uśmiechem, a w końcu rzekł tonem znudzonym:

— Oj wy, dzieciaki! Sprzeczą się, godzą... znów dasają!... Z tego wszystkiego widzę, że ja co najmniej jestem tu niepotrzebny! Bo choć w mojej nieobecności kłótnia mogłaby być żywszą, lecz za to i zgoda... serdeczniejszą!.. Więc nie pozostaje mi nic innego, jak was pożegnać!..

— Kuzynie! Cóż znowu! Zostań!..

— Ależ, nie lubię nieszczerości!..

— Parol, że proszę bez obłudy! Proszę tem usilniej, że chcę, abys był rzecznikiem moim przed Beatryczą!..

— Jestem do twoich usług! Tylko, jeżeli znów macie zamiar stanąć na dwóch przeciwległych krańcach... wolałbym uniknąć pośrednictwa, bo wy zawsze dojdziecie w końcu do porozumienia,

a biednemu arbitrowi dostanie się od obydwóch stron.

— Nie — nie — *sire* Jakóbie. Tym razem nie sądzę!.. Idzie tu o coś... co może nie wywoła zbyt ostrego sprzeciwu! No... na wstęp mnie nie stać! Rzeczą zagaję po żołniersku! Oto chciałbym Beatryczę nazwać co prędzej moją... i wobec ludzi i wobec Boga! Nie dziwcie się mej gwałtowności... ale teraz potrzeba, aby stanowisko jej żadnych nie budziło domysłów! A zresztą, na co chwilę szczęścia odkładać, na co odwlekać to, co jest naszym wspólnym pragnieniem!..

Beatrycza zarumieniła się zlekka i jęła szarpać koronkę u rękawa swej sukni. Hrabia wzrok spuścił ku ziemi i milczał. Stuarta dotknęła ta cisza.

— Nie odpowiadacie? — rzekł z wysiłkiem. — Czyż to, co powiedziałem, wydaje się wam tak nieoczekiwanem, dziwnem? Może w nadziejach moich poszedłem za daleko...

— Ależ kuzynie! — przerwał z perswazyą *sire* Jakób. — Nie gorączkuj się! Toż chyba kwestya w zasadzie postanowiona, tu niema przecież wątpliwości. Tylko, co do mnie — nie sprzeciwiam się — ale, powiem otwarcie, wolałbym wasz ślub widzieć w innych warunkach, wolałbym oglądać go i cieszyć się nim nie w tych murach! Chociaż tu ma głos *signora*!.. Bezwątpienia stanowisko jej by zyskało! Gdyby jednak tak ważna, tak uroczysta chwila miała się obyć bez należnego

wam obojgu blasku, bez liczniejszego koła przyjaciół... tak po obozowemu, po koszarowemu... byłoby mi nadzwyczaj przykro!..

— *Sire* Jakóbie!.. Ja, mimo to, czułbym się równie szczęśliwym! Brak przyjaciół! Być może! Milej byłoby widzieć około siebie jeszcze kilku-nastu towarzyszków bronili!.. Lecz i to wszystko!..— Mylisz się, mniemając, że ja tu mam jakie znajomości, lub że wiążą mnie tu stosunki z personatami!.. obóz, koszary, są mi domem od lat kilkunastu... rodziną najbliższą!.. Ani mnie innych druhów szukać, ani gości spraszać... Żołnierzem byłem i jestem!..

— Jednakże pozostaje hrabianka!.. Potem... mam przekonanie, iż gdyby ślub dało się odłożyć... rodzina twoja miałaby możność dowiedzenia się o nim i przybycia! Czyż godziłoby się zaniechać tak dobrej sposobności do zbliżenia!..

— Nie uchylam się!.. Lecz takim jestem samolubem... że wyrzekłbym się i tego zaszczytu, a wolał go zaznać przy innej okazji.

Sire Jakób roześmiał się sucho.

— Zapalczywyś kuzynie! Ba, lecz my tu dyskutujemy... gdy właściwie hrabianka ma jedna prawo rozstrzygać!..

— Beatryczo?!..

Hrabianka podniosła oczy i zagadnęła niepewnie:

— *Gaetano!* A kiedy chciałbyś?!..

— Pytasz jeszcze!.. Dziś, jutro... zaraz!..

— Bądź rozsądnym!.. Powiedzmy, za tydzień... za dziesięć dni!..

— Jedyna moja!.. Więc zezwalasz... za dziesięć dni!..

— Trzeba do tak ważnej chwili przygotować się... nie miej mi za złe!..

— Beatryczo! Wszystko, co ty stanowisz, jest dobrem!.. *Sire* Jakóbie... Nie miej żalu!.. My inaczej musimy!.. I tak to szczęście nasze zbyt długo dało na siebie czekać!.. Co nam z uroczystościami!.. My starczymy sobie i bez niej!.. Wolałbyś inaczej!..

— Chcecie tego, anibym śmiał się opierać, nawet gdybym mógł!..

— Daj rękę!.. Póki życia nie zapomnę, coś dla mnie uczynił!..

— Niema o czem wspominać!..

Stuart pochwycił za kaszkiety.

— Odechodzisz?!.. Nawet tego wieczora nie poświęcisz?..

Komendant pochylił się do Beatryczy i rzekł gorąco:

— Życie całe dla ciebie!.. A teraz pilno mi, pilno bardzo... bo myślę, że jeszcze zdołam zobaczyć przeora... Noc! Lecz staruszek kiwa się zwykle nad pacierzami... muszę go uprzedzić... bo jużbym dnia jednego nie chciał opóźnić!..

— Ani ja!.. Idź!..

— Kuzynie, tylko słówko!.. Przeznaczeniem snąć mojem jest, abym cię ciągle z obłoków na

ziemię sprowadzał!.. Otóż moich strzelców zabrali mi do garnizonu... W zasadzie nie mam nie przeciwko temu, tylko radbym mieć ich blisko siebie. Czyby nie było można, aby oni pełnili służbę tu, przy nas... i pani komendantowej będzie zapewne przyjemniej...

— *Sire* Jakóbie, zgoda z góry na wszystko!.. Rób sobie z nimi, co ci się podoba!.. Han nawet mi wspominał o nich! Tęgie, pocziwe draby, lecz dogadać się z nimi nie można!.. Każę ich odstawić do twojej dyspozycji!!

Komendant raz jeszcze ucałował ręce hrabianki i, nie słuchając podziękowań *sire* Jakóba, wybiegł z izby.

Jedna myśl paliła teraz Stuarta, jedno pragnienie nim owładnęło — zobaczyć się co prędzej z przeorem, przedstawić mu sprawę i wyjednać jak najszybsze dopełnienie przedślubnych formalności.

Tuż przed samą furta, prowadzącą do mieszkań zakonników, jakieś uczucie wstydu ogarnęło komendanta. Wspomnił na porę nocną i zawahał się. Wszak jutro rano dość czasu mieć będzie!.. Dziś i tak przeor nie dlań nie uczynił!.. Stuart zdawał sobie sprawę ze swego zakowskiego zachowania, lecz nie umiał oprzeć się myśli, że gdy już raz ślub swój zadeklaruje, będzie go bliższym... i zastukał do furty.

Po długiej pauzie ukazała się głowa braciszka klasztornego.

— Co to, czego to?!..

— Z ojcem przeorem muszę się widzieć!..

— O tej porze!.. Noc!.. A, to pan komendant?!..

— Ojciec przeor poszedł już na spoczynek!..

— Nie wiem!... Pewnie kończy pacierze!... Lecz czy to aby coś ważnego?!..

— Nie przychodziłbym inaczej!..

Braciszek skinął w milczeniu głową na komendanta i przeprowadził go do refektarza. Tam zapalił od ręcznej latarki świecznik i zagadnął niepewnie:

— Co mam powiedzieć?!..

— Że... chcę pomówić z ojcem przeorem!..

Braciszek westchnął, skrzywił się na ten butny rozkaz i, stukając chodakami, podreptał w głąb korytarzy klasztornych.

Komendant, znalazłszy się sam w wielkim refektarzu, pełnym mroków a ciszy uroczystej, głębokiej—ochłonał nieco i jał przechadzać się. Lecz wkrótce dźwięk własnych ostróg, odbijający się w łukach i załamach sklepienia żalosnem echem—zaczął go drażnić. Osunął się więc ociężałe na krzesło przy jednym ze stołów i zamyślił się.

Odgłos zbliżających się kroków ocknął Stuarta. Podniósł głowę i obejrzał się dookoła siebie. Ze ścian refektarza poglądały nań twarze pogodne—jasne a surowe.

Komendant prawie żałował, że dał się unieść temu porywowi, który go tu przywiódł!.. Cóż

o nim przeor sobie pomyśli!.. Dowódca załogi w czasie wojny zjawia się o północy, zapowiada ważną rozmowę i występuje w końcu z prośbą o zapowiedzil..

Stuart był tak skonfudowanym i z chęcią zaniechałby widzenia się z przeorem, lecz było już zapóźno—we drzwiach refektarza ukazał się już biały habit.

— Daruj, ojeze wielebny, że tak późno!—wyjąkał niepewnie Stuart na powitanie.

— At, tem się nie frasuj, panie komendancie! — odrzekł z prostotą paulin. — Siadaj!.. Jestem! Czas taki, że na porę zważać nie można!..

— Prawda, właśnie...

— Z czem przybywasz?!

— Darować sobie nie mogę, żem was trudził ojeze!..

— Phi! Komendancie! Na cóż te usprawiedliwienia!.. Tu furta otwarta zawsze dla każdego!.. U nas niema ani audyencyi, ani godzin! Kto przyszedł ten jest!.. A tobie, panie komendancie, cieszę się!.. Cieszę, bo może dobro twego stanowiska wymaga, byś częstym był tu gościem...

— Tak... ale dziś... moje zjawienie się!..

— Cóż! Dawno ja fatygowałem ciebie! Jak wypadnie!.. Nawet nie zdołałem rozgadać się na leżycie! Porwałeś się jak szalony! Rozumiem, proklamacya ci dokuczyła!.. Gorzej pewno, zdra-

da sama!.. Gdzie ona nie czyha!.. I cóż, narobiliście, słyszałem, gwałtu okrutnego.

— Winowajca pochwycony! — objaśnił komendant, rad, że mu się udało uczepić jakiegoś wątku.

— Proszę!.. To może i szczęśliwie!..

— Jutro sąd polowy!..

— Al.. Rozumiem!.. Tylko, panie komendancie... rozważnie, spokojnie!.. Sąd, to wielka odpowiedzialność, wielkie zadanie!.. Dobrze zastanowić się należy!..

— Ojeze wielebny, tu niema zagmatwania, wina jest oczywista!.. Sąd nie będzie miał kłopotu!.. Przestępca prawie na gorącym uczynku został pochwycony!..

— Co go skłoniło do zdrady, do takiej hańby!..

— Będzie to dopiero wyjaśnionem na śledztwie... tymczasem niewiadomo... Niepoń wyparł się na razie!.. Daremnie!..

— Więc to jutro sąd?!

— I wyrok!.. Znam ci jest ojeze przeorze prawo... Wojna!.. Wyrok może być jeden tylko!..

— Stary żołnierz, młody?!

— Ochotnik!.. Symulował wielki zapał, był nawet polecany przez zacne osoby!.. Aż dziw, skąd się w takim młokosie tyle znaleźć mogło przewrotności!..

— Kąkol kąkołem się rodzi!.. Młody, mówisz, komendancie... czy nie godziwiej byłoby dać mu możność poprawy...

— Ani myśli!.. Przykład musi być!.. Prawo nasze nie zna ustępstw!..

— Nie dajcie mu przynajmniej ginąć bez pociechy religijnej!..

— Owszem... nawet ja w tym celu przyszedłem! — wyjąkał komendant. — Trzeba, żeby jutro jeden z ojców paulinów był obecnym... może zdoła nakłonić nieponia do skruchy, do szczerego wyznania!..

— Panie komendancie, wydaj proszę rozkaz... ojciec Floryan będzie już o świecie przy więźniu!.. Tylko na miły Bóg nie postępujcie sobie zbyt pośpiesznie... Młody!.. Szkoda!.. Może grunt nie zepsuty!.. Może ochota do nagrodzenia krzywdy!..

— Plamy rzuconej na mundur żał nie zgładził!.. Krwią musi ją zmyć!..

— Komendancie... ja nie rozumiem się na tych wygórowanych wyobrażeniach o mundurze! Rzeczą chrześcijanina jest przebaczać!..

— Lecz rzeczą żołnierza słuchać! To czynić będę, co mi nakazuje obowiązek i nie nadto, ale i nie mniej!..

— Piękna zasada! — przytwierdził paulin, tracąc sfaldowane zlekka czoło. — Tylko chwalić można!

— *Dura lex sed lex!* Ja go zresztą sądzić nie będę, — o winie rozstrzygną ci, którzy bodaj najszczyrczej chcieliby go ocalić... towarzysze bronili!..

— Dziej się wola Boża, — odrzekł cicho przeor i powstał z miejsca. — Dziękuję ci, panie kome-

dancie, żeś w takiej chwili pomyślał o duszy tego desperata! Dziękuję całem sercem!.. Co ma się stać, niech się stanie, lecz przynajmniej niechże mu ostatnia posługa odmówiona nie będzie! Niech mu Bóg przebaczy to, czego ludzie nie mogą!..

— Ach! Toć moją rzeczą było pamiętać — odparł niedbale Stuart. — Przyszło mi to tem łatwiej... że mam do was ojce i moją własną sprawę... dzięki Bogu, serdeczną ale nie... smutną...

— Proszę, mości komendanciel!..

— Oto... chciałbym byś raczył ogłosić moje zapowiedzi!

Paulin spojrział ze zdumieniem na komendanta.

— Zapowiedzi?.. Czy się nie przesłyszałem?!

— Nie ojcze!.. Wczoraj właśnie... szukając mnie... przybyła z Italii hrabianka Venosta... Może to pora do godów nie stosowna, ale... nie chciałbym, aby pobyt jej tutaj był źle tłumaczonym! Miłujemy się od dawna!..

Twarz przeora rozjaśnił łagodny uśmiech.

— Ba, więc to tak się sprawa przedstawia, mości komendancie, a toż radość mi sprawiasz! Co cheesz, powiem ci bez ogródek, już o tej panience słyszałem, no i nie podobał mi się ten przyjazd! Nie rozumiałem jak go uważać! Ale teraz raduję się niewymownie! Hm! Prawda!.. Czas to nie do godów! Toć pojutrze Wielkanoc, a dla kraju może miesiące całe niedoli...

Chociaż, dalipan, wolę widzieć młodą imć panią komendantową, niż hrabiankę na załodze! Zgoda, zgoda... Jużci nie zaraz, bo w wielkim tygodniu nawet z dyspensą byś nie dał rady.

— Za dziesięć dni!..

— Już termin, już dzień!.. No—no! Pomyślimy! Zapowiedź pierwsza wyjdzie, a potem się zobaczy!.. Trzeba żebyście rano przed sumą, byli u ojca zakrystyana a opowiedzieli się należycie... Nadto, pomyśleć należy o pojednaniu się z Panem Bogiem!.. Niespodzianka, siurpryz! Patrzcie, a ja miałem cię, mości komendancie, za zakamieniałego! A tymczasem Italika cię ustrzeliła sobie! Mnie powiadali, że to Angliczka?!..

— Gdzie zaś! Napletli! Ten, co z nią przybył, mój krewniak — Szkot! Dawniej słuował w wojsku angielskiem!

— Aha! Teraz rozumiem! A nie masz że, panie komendancie, strachu! Niechby tu nieprzyjaciel nadszedł?!..

— Ojciez wielebny, pójdzie jak zmyty! Tem mocniej będę zabiegał!.. W pierwszej chwili chciałem sam, by hrabianka wracała, albo do Warszawy się schroniła, lecz za nic nie godziła się!..

— A to zuch dziewczyna!..

— Tedy, cóż było robić? Mnie samemu trochę nijako, lecz klnę się, ani bym się ważył o za-

ślubinach myśleć, ale składa się!.. Tak, sędzę, godziwiej będzie!..

— Jużci, jużci, tylko nam, komendancie, znieściejesz, osłabiesz na wigorze! No, no—nie martw się, żartować wolno! Owszem, chwale postanowienie i życzę, abyś zaznał błogosławieństwa! He-he! Komendant figlarz—tu burezy, armaty nastawia, huka... a tam cichaczem smali cholewki!.. Nie—nie! Byle po Bożemu! Może i na dobrą wróżbę! Jutro obliguję być u ojca zakrystyana, a już się poradził!..

— Komendant z lekkim sercem powrócił do swej kwatery. Winszował sobie samemu, że mu tak gładko poszło z przeorem. Spodziewał się kwasów, moralów, napomnień a o! ani się spostrzegł, jak rzecz się sama prawie wyklarowała!..

Nazajutrz, zaledwie światło poranku rozproszyło cienie nocy—kapitan Han stanął przed komendantem.

Stuart, rozmarzony jeszcze na poły, powitał kapitana niechętnie, dziwiąc się w duchu, co mogło skłonić go do zakłócenia mu tak pięknego a smacznego snu.

— Cóż tam nowego, cóż?...

— Przychodzę po rozkazy, odnośnie mającego się zebrać sądu!..

— Aa!—Sformowałeś listę kapitanie?

— Oto jest.

— Celiński, Godlewski!.. Dobrze! Nie mam nic do nadmienienia! Niech się zbiorą, niech osądzą i niech skończą!.. Im prędzej, tem lepiej!..

— Będziesz, komendancie, przewodniczył?
— Ja?! Nie!.. Na was się zdaje!.. Zastąp mnie kapitanie.

— Według rozkazu.

— Mam tu wiele do wygotowania papierów. Chcę raport przesłać do Warszawy! Może uda się sztafetę przemycić. Sprawisz się równie dobrze jak i ja.

Kapitan zasepił się.

— Komendanciel?..

— Nie w smak ci to zastępstwo?!..

— Mam rzec prawdę—tak!..

— Rozumiem cię, kapitanie! Więc też nie marudzić, nie zwłóczyć!.. Im prędzej się stanie to, co się stać winno... tem lżej! Długich rozpraw unikać, bo te do niczego nie doprowadzą! Polowy sąd nie palestral..

— Prawda, lecz komendancie, tu nie tylko ukarać-by należało, lecz i zbadać złe, dojść rdzenia, znaleźć możliwych współników.... Wykryć gniazdo!

— Zapewne, zapewne — mruknął Stuart. — Uczynisz, jak będziesz uważał—śledztwo surowe! Badać, na spytki brać, wszystko co trzeba!

— Właśnie to, komendancie, na sercu mi cięży! Sprawa ciemna, dziwna, boję się jej, sobie samemu nie ufam!..

— Nie pojmuję cię, kapitanie!

— Badałem znów przed chwilą Cybińskiego! Zaprzecza wszystkim! Klnie się! Komendancie,

co gorsze, tyle w odpowiedziach jego prawdy, tyle szczerości, że oprzeć się trudno przekonaniu...

— Głupstwo! Szezwany lis! Gdyby nim nie był, na podobne niegodziwości by się nie ważył! Dowód winy jest!..

— Nie tak oczywisty!..

— Przecież Raczynski zeznał!..

— Tak, lecz przy powtórnej indagacji oświadczył, że nie potrafiłby zaprzysiądz, czy istotnie proklamaeye te widział porzucone przy posłaniu Cybińskiego!.. A przecież zwój ten mógł być przez kogoś innego umyślnie podłożonym! Ten, co się waży na zdradę, bywa ostrożniejszy!..

Stuart zachnął się.

— Na dalekie wywody ci się zebrało, mości kapitanie! Ja ich nie podzielam! Pochwycono go, niech gada, co wie, a potem pod sąd i skończonę! Tak, czy owak, Cybiński jest nicją. Rzeczą śledztwa jest dobyć zeń prawdę!.. Procesy nie do nas należą!.. Tu nie może być mniej ani więcej winnego!.. Czyn kapitanie swoją powinność — to moje ostatnie słowo!..

Han skłonił się w milezeniu i wyszedł wydać rozkazy.

Sąd polowy zebrał się bezzwłocznie. Prócz Hana, należeli doń kapitanowie Celiński i Godlewski, porucznicy Lewicki i Bogdanowicz, wachmistrz Barcikowski, Bulkowski kapral i Szafrąński szeregowiec. Raczynskiego wezwano do świadczenia.

Przedwstępne rozprawy trwały krótko. Cybiński uporczywie obstawał przy swej niewinności. Wszelkie wezwania do powiedzenia prawdy, zakłęcia, jakich kapitan Han użył dla skuszenia winowajcy, nie osiągnęły skutku.

Kapitan tracił cierpliwość. Raz jeszcze spróbował krzyżowymi pytaniami zachwiać Cybińskiego, lecz ochotnik ani razu się nie zająknął, ani razu nie pomylił się, gdzie i z kim w ostatnim tygodniu był, a z kim i kiedy przestawał. Słowa Cybińskiego jednogłośnie potwierdzili stawieni przed sądem towarzysze z plutonu. Żaden z nich nie dostrzegł był u Cybińskiego nie podejrzanego, coby pozwalało dorozumiewać się skrytości, Cybiński na krok z plutonu się nie oddalał... chyba na spoczynek do izdebki, zajmowanej wspólnie z porucznikiem Raczyńskim za wstawieniem kapitała Szymanowskiego.

Raczyński, który był przysłuchiwał się tym wywodom, przechodził przez wszystkie ognie uczuć. Waleczył z samym sobą, a chwilami, szarpany buntem, który się zrywał w jego piersi, całą siłę woli wyteżał, by opanować wzruszenie.

Od aresztowania Cybińskiego i od owych fatalnych słów, które był wyrzekł tam, na odwachu, a które utwierdziły podejrzenie, padłe na Cybińskiego—Raczyński samym sobą nie władał.

Rozumiał i zdawał sobie sprawę z haniebnego oskarżenia, rzuconego na głowę niewinnego żołnierza, gotów byłby samwa żyć się na wszyst-

ko, byle go ocalić, uchronić od kary, a jednak, kiedy pomyślał, że równocześnie zgubić-by musiał Beatrycę, zgubić ją i dla siebie... niemoc go ogarnęła.

On przecież jej zaprzysiągł! Danego słowa złamać nie może., i nie złamie.. Niech się co chce dzieje!.. Jej imię wymówione tu nie będzie!..

Sprawa samych proklamacyi nie wydawała się Raczyńskiemu wcale tak groźną ani zasługującą na tyle surowe dochodzenie! Beatrycza, a zapewne jej krewniak, musiał być w związkach z Austryakami.. Łudził się, że odezwaniami skusi żołnierzy do dezercyi, że ich zdemoralizuje!.. Ale na dobrą sprawę, daleko jeszcze do zdrady. Ani ów hrabia ani hrabianka wierności nikomu tutaj nie przysięgali!.. Trzeba dopiero na to takiego dziwaka, jak Stuart, inny-by może uwagi nie zwrócił! Lichy żołnierz, którego trzeba strzedz przed świstkiem papieru; lichy wódz co się świstków boi!..

Podczas zeznań żołnierzy, Raczyński odetchnął swobodniej. Sympatye wszystkich były po stronie Cybińskiego, — sąd może go więc najwyżej pod dozór oddać, do kazamaty zasadzić i oskarżenie samo przez się upadnie. Uwolnić będą musieli. Szkoda go na poniewierkę, ale inaczej być nie może!..

Raczyński nabrał znów pewności siebie a nawet humoru. Namarszczona twarz Hana wydawała mu się śmieszna.

— Dociekaj, morduj się, męcz!—mówił sobie w duchu porucznik, spoglądając ku Hanowi.—Stuart cię tu nasadził! Obydwaś niczego nie dojdziecie! Ja jeden znam tajemnicę!.. Dziś jeszcze Beatrycę przestrzegę, by zaniechała nie tylko proklamacyi ale i Częstochowy!.. Nie dla niej tu miejsce, ani dla mnie!.. Ostrzysz sobie zęby, ale nie ugryziesz nikogo!..

— Poruczniku Raczyński! — ozwał się nagle kapitan.—Zbierz myśli, przypomnij sobie dokładnie swój powrót do koszar!.. Pamiętaj, że twoje słowa są pierwszym i ostatecznym potępieniem!.. Wczoraj twierdziłeś stanowczo, że ten zwój proklamacyi widziałeś leżącym przy posłaniu Cybińskiego, dziś mówiłeś, że nie jesteś pewny!..

— Tak jest, kapitanie! — odparł gorączkowo Raczyński, tracąc znów równowagę.—Nie przeczę, mówiłem!..

— Trzeba, żebyś dał odpowiedź stanowczą!..

— Chciałbym... lecz... nie mogę dokładnie... byłem zmęczonym... wróciłem był z podjazdu, a potem jeździłem za furazami...

— Więc tego zwoju sobie nie przypominasz?!..

— Trudno mi odpowiedzieć!..

— A nie pamiętasz, w którym czasie wróciłeś do izdebki?..

— Mogła być... Coś na dwie godziny przed apelem...

— To dziwnie!.. Rozstawiający wartę po apelu widział cię około kwatery komendanta!..

Raczyński zmieszał się.

— Nie jestem pewny! Być może... byłem zmordowany!.. Nie wiem!

— Mości Raczyński! Rozważ dobrze! Zbyt lekko bierzesz świadectwo, na które cię wezwano! Nie zapominaj, że proklamacye znaleziono w twojej kwaterze, że wobec tego obowiązkiem twoim jest jak najusilniej starać się o wykrycie sprawy... bo nam może się wydawać osobliwą rzeczą... dlaczego odezwy generała Bronovacky'ego do ciebie trafiły, a innych oficerów ominęły!..

Porucznikowi w oczach pociemniało.

— Kapitanie!— wyjąkał.—Czego ode mnie żadasz?!.. Cybiński był zawsze przykładnym, słowa złego o jego sprawowaniu nie mogę powiedzieć!..

— O tem wiemy, słyszeliśmy. Nie w tem rzecz! Czekamy na twą stanowczą odpowiedź!..

— Nie umiem, nie potrafię zapewnić! Zdaje mi się!..

Han sięgnął między leżące na stole papiery, wyjął z nich zmiętą proklamacyę i zagadnął zimno:

— A czy nie mógłbyś nam powiedzieć, mości poruczniku, skąd wzięła się ta odezwa w kieszeniach mundura, który miałeś wczoraj na sobie?..

— Ta... ta odezwa w moim mundurze!..

— Tak! Przed chwilą zajmowaną przez ciebie kwaterę kazałem poddać powtórnej rewizyi... W twoim mundurze, dotąd nieoczyszczonym po wczorajszej wyprawie, znaleziono właśnie ten do-

wód... świadczący co najmniej, że proklamacya znaną ci była już, zanim doszła rąk naszych!!...

Raczyńskiemu pot kroplisty wystąpił na czoło. Rozumiał, że stoi nad przepaścią, że jedno słowo... a zgubi i ją i siebie.

Kapitan podniósł głos.

— Mości poruczniku, twoje zachowania zniewoli mnie do żądania porachunku... Stoisz przed sądem! Dotąd jeszcze jesteś świadkiem! Lecz bacz, że nie o zasłonięciu winnego masz myśleć, lecz i o swojej własnej obronie pamiętać! Skąd masz tę proklamacyę!?

— Znalazłem.

— Gdzie?..

— Przypadkowo... kładąc się spać, przerzuciłem odzież ochotnika... papier ten wypadł z jego mundura!..

— Dla czegoś nie zapytał od razu Cybińskiego?

— Spał, nie mogłem go się dobudzić... nie przywiązywałem zresztą wagi do tej odezwy!..

— A ten zwój?!

— Widziałem, zbierając się na alarm... miałem zraportować... nie było czasu!..

— Jesteś tego pewnym... możesz słowem oficerskiem ręczyć?..

— Mogę! — rzekł głucho Raczyński.

Han zwrócił się do Cybińskiego, który stał blady z ustami zaciśniętymi, spoglądając na porucznika z bolesnem zdumieniem.

— Słyszalesz?.. Dalsze wypieranie się do niczego cię nie doprowadzi! Mów!..

— Powiedziałem już! Jestem niewinny! Na oczy nie widziałem tych proklamacyi! Nie zdradzać tu szedłem...

— Dosyć! — przerwał kapitan. — Nie chcesz zeznawać dobrowolnie, powiesz inaczej... Barcikowski!..

— Uważam... panie kapitanie!..

— Odprowadź Cybińskiego do kazamaty pod strażą i tam czekaj!..

— Według rozkazu!..

Cybińskiego wyprowadzono. Han równocześnie rzucił po cichu kilka zapytań członkom sądu i skinął na Szafrąńskiego.

— Który z waszej kompanii umie dostawać języka?!..

Żołnierz wyprężył się, lypnął białkami i odrzekł z fantazją:

— Wszyscy, panie kapitanie!

— Więc wybrać jednego — niech żelaza rozpal!.. Śpiesz się!..

Żołnierz poczerwieniał.

— Takiego u nas nie znajdzie!..

— Czegóż pleciesz?!..

— Myślałem, że z podjazdem na nieprzyjaciela trzeba!..

Han machnął ręką i jał naradzać się z Celińskim i Godlewskim. Sprawa istotnie była ciężka. Z Cybińskiego trzeba było dobyć zeznanie za

wszelką cenę... a do tego potrzebny był człowiek... Han mógł pierwszego lepszego żołnierza przeznaczyć, lecz nie chciał.

Po namyśle, wysłano kaprała Bułkowskiego na poszukiwanie ochotnika—lecz nikt z garnizonu nie chciał być oprawcą. Kapitan tracił cierpliwość—trzeba było uciec się do przymusu. Godlewski dowodził, żeby zapytać się w Starej Częstochowie, gdzie zawsze gnieździły się tłumy rozmaitego biedactwa. Wyprawiony kapral powrócił wkrótce, wiodąc ze sobą starego, skulonego we dwoje dziada. Han huknął na Bułkowskiego.

— Oszalałeś! On sam ledwie się na nogach trzyma!.. Co on może?!..

Dziad zaśmiał się cicho.

— Utrzymaj się, wielmożny panie, utrzymaj!..

— A wiesz, w czym rzecz?

— Żeby synek powiedział! Che—che! Ja potrafię z nim! Niech wielmożny pan tylko pozwoli! Ukropu trochę, może smoły... i zagada synek... zagada! Najpierw przez zęby, a potem... che—che...

— Coś za jeden?..

— Tatar, panie, z dawnych lipków...

— Zaprowadzić go do kazamaty! Porucznik Bogdanowicz niech będzie obecnym! Pisarza ze sobą wziąć! Powtarzać pytania, dopóki się nie przyzna!..

Bogdanowicz w milezieniu poszedł za Tatarem. Izbę zaległa cisza.

Raczyński siedział w kącie, nie rozumiejąc, dlaczego sąd rozprzegł się, dlaczego przerwał obrady. Wszak oskarżył Cybińskiego, więc powinni go skazać!.. Będzie cierpiał biedak niewinnie, lecz to dla niej, dla Beatryczy!.. Dla niej!.. Zresztą on mu to nagrodzi, on powróci mu imię, lecz teraz nie podobna, teraz... inaczej być nie może.

Han tymczasem z Celińskim, Godlewskim i Lewickim przyciszoną prowadzili rozmowę. Pierwszy szarpał niespokojnie wąsy i poglądał ku drzwiom, prowadzącym na podwórze klasztorne.

— Głupia sprawa! — mruczał Godlewski. — Roboty po uszy, a tu bałamucić trzeba dla tego trutnia!

— Zawzięty!.. Ja bym tam bez pardonu się rozprawił!.. Raczyński zeznał, co tu dłużej!..

— Mógł i musiał mieć współników!—zauważył Lewicki.

— Ani chybi! — przyświadczył Godlewski. — Lepiej byłoby, mojem zdaniem, ptaszka przytrzymać i powoli iść!..

— Otóż właśnie!—wybuchnął Han.—I ja tak myślę!.. Lecz z komendantem naszym... wiecie... Od regulaminu na krok nie ustąpi, no i, do kąduka, trzeba mu sprawiedliwość oddać!.. Zdrada nie przelewki, wszystkie ustawy wojskowe do góry nogami przewrócić — sąd polowy, zawsze sąd

polowy!.. Kula, argument najuczciwszy, ale... kiedy, jak tu, słowa dobyć nie możesz!.. Tfy! Pierwszy raz zdarza mi się na sądzie polowym raka-
rzem się posługiwać!..

— W dodatku niegodziwca tego szkoda mi!—
przyznał szczerze Godlewski.—Dobrze mu patrzy
z oczu... Lekki młokos, skusił się dla lada cze-
go!.. Bąty na takiego!.. Smyk kuli nie widział,
a co prochu ledwie, że na mustrze powąchał!..

Han potrząsnął głową.

— Wszystko może i racya! Ale prawo jedno!..
Bierz dyabli!.. Do czarta skończyć z tem co pre-
dziej! Coś tam marudzą długo!.. Tatar śnać się
nie rozumie na rzeczy!..

Wstrząsający krzyk z głębi zabudowań kla-
sztornych był odpowiedzią na słowa kapitana.

Członkowie sądu spojrzeli znacząco po sobie.

Po małej pauzie krzyk powtórzył się, — był
najpierw silniejszym, rozpaczliwszym, a potem
nagle przeszedł w ponury, nieludzki prawie jęk
i skończył wśród warczących w oddali bębnow.

Han zagryzł wargi.

— Szelma, jeżeli nie sprawny... zamorduje
go na śmierć. Poruczniku, zobacz!

Lewicki skoczył ku drzwiom, lecz w tejże
chwili na progu stanął kapral Bułkowski.

— Cóż?! — zagadnął Han.

Kapral odetchnął ciężko.

— Omdlał, panie kapitanie?!

— Tataro łotra pilnować! Zadał mu pewno
za wiele!?

— Za wiele, panie kapitanie!..

— Pytać trzeba było w porę!..

— Pytali, panie kapitanie!..

— Odpowiadał?!..

— Że jest niewinny, panie kapitanie!..

— Zawołać cyrulika niech go trzeźwil!..

— Według rozkazu... pan porucznik już po-
słał!..

— Powiedz porucznikowi Bogdanowiczowi,
żeby na Tatarą baczyl!.. Miary nie ma!

— Według rozkazu! — wybełkotał kapral, nie
ruszając się z miejsca.

— Wracaj!

— Panie kapitanie, pan porucznik czeka na
rozkazy!..

— Ocucić! A potem... niech mu piętę przy-
pieką... i bierz go dyabli!..

— Ma już spalone do żywego!..

Han zęby zacisnął.

— Dać go jeszcze raz! A Tatarowi powie-
dzieć, że głową odpowiada za życie!..

Kapral oddalił się. W izbie zapanowała znów
ponura cisza. Raczynski podniósł się ociężale
i skierował się ku drzwiom, drżąc na myśl samą,
że mogą dostrzedz jego wzruszenie, które go
ogarniało coraz silniej, coraz gwałtowniej.

Lecz Han odgadł zamiar porucznika.

— Mości Raczyński, zostań, śledztwo jeszcze nie ukończono!..

— Zdawało mi się, że już...

— Słyszałeś, mają... go badać dalej!..

Raczyński zatoczył się ku ławie pod ścianą i osunął się bezwładnie. Członkowie sądu poczytali to za współczucie dla torturowanego. Celiński odezwał się nawet do Godlewskiego.

— I mnie tego łotra żal!..

— Kiedy inaczej nie można! — bąknął Godlewski.

— Nie można! — przytwierdził Han.

Po długiej, męczącej pauzie, która członkom sądu wiekiem się wydała — z oddali iść zaczęły znów jęki coraz cichsze, głębsze, aż nastąpiła głusza.

Han bębnił nerwowo palcami po stole.

Nareszcie we drzwiach mignęły adjutanckie buliony porucznika Bogdanowicza.

Raczyński zaparł oddech w piersiach.

— Co? Jak?! — pytał nerwowo Han.

Bogdanowicz otarł pot z czoła i rzekł krótko:

— Skończono!..

Han targnął się na stołku.

— Co skończone? Mów acan wyraźniej!..

— Przyznał się!..

— Żyje?!..

— Oddycha... prosi księdza!..

— Protokół jest!..

— Napisany!..

— Szelma, a wypierał się! — zawołał z odcieniem ukontentowania Han. — Wołać pisarza!.. Co zeznał!?

Żądany papier podano niebawem.

Cybiński potwierdził co do słowa cały akt oskarżenia, a nadto wyjawiał mnóstwo szczegółów, z których wynikało, że jeszcze przed podaniem się na ochotnika był przekupiony i czekał pierwszej wiadomości o wojnie, aby proklamacje rozrzucić.

Han, nie doczytawszy nawet protokołu — zwołał co prędzej sąd. Do izby wniesiono na płachcie Cybińskiego. Raz jeszcze przerzucono proklamacje, powtórzono Barcikowskiemu, Bulkowskiemu i Szafrąnskiemu treść zeznania i przystąpiono do głosowania.

Han bąknął parę wyrazów o obowiązku odpowiadania według sumienia i zwrócił się do Szafrąńskiego.

— Jako najmłodszy stopień mów pierwszy!

Szafrąński poczerwieniał, spojrział na bezwładnie leżące ciało Cybińskiego, na nogi jego, spowinięte białymi płatami, z pod których krew tu i owdzie zaczynała sączyć i rzucił gwałtownie:

— Nie winien, panie kapitanie!..

Han drgnął. Godlewski uderzył pięścią w stół.

— Oszalałeś... masz czoło powiedzieć!..

— Pozwól, kolego! — wtrącił Han. — Każdy ma tu wolne słowo!.. Tak mu się zdaje! — a zniżając

głos, dodał.—Cymbał, wart, aby mu przy okazji dać nauczkę!.. Następny! Bułkowski kapral!?

Kapral podniósł się automatycznie, przyłożył rękę do kaszkietu i wycedził przez zęby:

— Nie... winien!..

Han do krwi zagryzł wargi.

— Kapralu! Zrozumiałeś zeznanie, które tu odczytano?

— Zrozumiałem, panie kapitanie!..

— Odprawiaj tu sądy z kpami!—bąknął Han i zwrócił się do wachmistrza Barcikowskiego.

— Mów!

— Niewinny!—rzekł cicho wachmistrz.

Han porwał się z miejsca.

— Do stu par dyabłów! Zamroczyło was! Własnego munduru uszanować nie potraficie!..

— Wobec dowodów oczywistych! — dorzucił Godlewski.

— Nareszcie i dla waszego mniemania są granice! — wybuchnął Celiński. — Sprzedawczyk niewinny! Świat się kończy!..

— Tu trzeba będzie zarządzić dyscyplinarne dochodzenie!—zadecydował Han.—Ale tymczasem zapisujcie głosy!.. Niższe stopnie ogłosiły niewinność... bez mała szpiega do krzyża przedstawiły! Idźmy dalej! Porucznik Lewicki?

— Winien!..

— No, ja myślę!..—bąknął Han i zwrócił się do Bogdanowicza.—Na waćpana kolej!..

— Nie winien!—rzekł śmiało Bogdanowicz.

Han zwiesił głowę.

— Tamtym nie dziwiłem się! Między prostakami nie trudno czasem o urojenia, lecz między oficerami, zdało mi się, jedno jest pojęcie honoru!

— Panie kapitanie!—odrzekł dumnie Bogdanowicz.—Nietylko honoru, ale i sumienia! Zresztą zdawać z tego sprawy nie potrzebuję. Wolność jest prawem sądu polowego!..

— Widzę to, widzę!—rzekł z przekąsem Han i pochylił się ku kapitanom.

— Winien!—rzucił gniewnie Celiński.—Winien!—powtórzył Godlewski.—Winien! — zakonkludował Han.

Głosy były rozdwojone. Połowa skazywała Cybińskiego, a połowa uniewinniała. Han, jako przewodniczący, miał zdecydować.

Zanim atoli wyrzekł ostatnie słowo, raz jeszcze zwrócił się do oskarżonego.

— Cybiński! Przyznajesz się do zbrodni zdrady?!

Ochotnik, który leżał nawpół przytomny, poruszył się niespokojnie i dopiero, gdy Han po raz wtóry zadał pytanie, wyszeptał z trwogą:

— Powiedziałem... przyznałem się... nie męczcie! Niech się to... skończy!..

Han nie wahał się dłużej.

— Mości panowie... nie różnicy głosów się spodziewałem, ale jedności! Snać teraz inne nastały czasy. To co jedni poczytują za przestępstwo, drudzy może radzi by wziąć za zasługę.

Do mnie należy decyzya! Wobec jawnego przyznania się... wobec oczywistych dowodów... muszę powtórzyć raz jeszcze... winien! Ochotnik Cybiński skazanym zostaje na rozstrzelanie! Mości pisarzu, kończ protokół!..

Raczyński, który był siedział osłupiały na ławie, nie rozumiejąc, ani co niespodziewane przyznanie się ochotnika znaczy, ani dlaczego głosowano za jego niewinnością—powiódł błędnym wzrokiem dookoła i wybiegł z izby na podwórze klasztorne.

W głowie mu się mąciło. Daremnie starał się zdać sobie sprawę z tego, co zaszło. Cybiński przyznał się do wszystkiego! Czyżby naprawdę brał udział w rozrzucaniu proklamacyi. Lecz w takim razie tamci... nie powinni byli opowiadać się za niewinnością!.. A może... Nie—Cybiński... nie podobna! Rozstrzelają go—zaco?!..

Raczyński zatrzymał się, aby zaczerpnąć powietrza. O kilka kroków przed nim przechodził oddział żołnierzy. Podoficer, dostrzegłszy szlify porucznika, zakomenderował—„prezentuj broń“.—Twarze żołnierzy zwróciły się ku porucznikowi. Raczyńskiemu zdawało się, że wyczytał w nich dla siebie pogardę. Odwrócił więc pośpiesznie głowę w przeciwną stronę, gdy wtem stanęła przed nim skurczona postać dziada.

— Wielmożny panie oficerze! A co? Dogodziłem? Prawda?!..

— Czego chcesz?!.. — oburknął się porucznik

— He — he?! Wiadoma rzecz, wielmożny panie... dogodziłem, rzetelnie zarobiłem!.. O!.. W rękę ugryzł, lecz taki synek powiedział wszystko! W nogach był zawzięty... do krwi mu przypiekłem, a on nie! Lecz co pod podeszwami łechczywy był! Olej mu dokuczył! Oho! Olej to wielka siła! He—he!.. Nawet panowie konfederaci od oleju dostawali języka! Co nie chcieć powiedzieć, zaprzysięgali nawet!..

— Coś ty za jeden?!..

— Tatar, panie... biedny lipek! Niby to wielmożny pan nie wie... ja tego właśnie synka grzałem i rozgrzałem! — sumitował się dziad, biorąc porucznika za kapitana Hana.

Raczyński wzdrygnął się z odrazą. Zagadka teraz dopiero stawała się dlań jasną. Cybiński przyznał się na torturach, przyznał, by skrócić zadawane mu męczarnie.

Dziad poczytał milezenie porucznika za przyznanie słuszości, bo ozwał się po chwili.

— Za usługę należy się zapłata... tamtych wszystkich, jakby złe gnało... rozlecieli się, samego zostawili... a rzetelnie zarobiłem... twardy był synek, ale u mnie każdy zagada!..

— Czego chcesz? — rzucił ze wstrętem Raczyński.

— Wiadoma rzecz, zapłaty!..

— Precz mi z oczu!.. Roztrzęsę na kawały!..

Dziad, zdziwiony tym wybuchem gniewu, usunął się na bok. Raczyński ruszył naprzód, szu-

kając, gdzieby mógł być sam, sam zupełnie, gdzieby niewidziany przez nikogo, mógł zastanowić się, rozważyć zaszłe wypadki, otrząsnąć się z wrażenia, namyśleć, co mu wypada czynić.

Do koszar wracać nie chciał, bo tam musiałby się spotkać z ciekawymi spojrzeniami, a może i pytaniami, tu zaś błąkać się wśród murów i okopów było niepodobieństwem, bo zdało mu się, że każdy mijający go zdala żołnierz, każdy sztyldwach czyta w jego twarzy, zgaduje hańbę...

Porucznik chodził gorączkowo tu i owdzie, lecz nigdzie nie było mu dość zacisznie, dość samotnie.

Wtem wzrok jego padł na rozwarte szeroko drzwi kościoła. Raczyński bez namysłu skierował się ku nim. Świątynia Jasnogórska była prawie pustą. Gdzienigdzie w załamach murów widniały czamary gwardyi narodowej, niekiedy w mroku zarysował się mundur, zresztą cisza, przerywana oddalonym szmerem modlitwy zakonnika, odpowiadającego mszę w kaplicy Matki Boskiej, lub przytłumionym dźwiękiem organów.

Porucznik niepostrzeżony przez nikogo wsunął się we wgłębienie bocznego ołtarza i rozpalone czoło przycisnął do zimnego, wilgotnego muru.

Tu nareszcie był sam, tu nikt na niego nie patrzył, nikt mu w oczy nie zaglądał, tu mógł odetchnąć swobodnie i nie drzeć, aby kto w twarzy jego nie wyczytał myśli, które nim władały.

— Stała się fatalność!... Fatalność niespodziewana, okropna!.. I to z jego winy! On przecież sam te proklamacye przyniósł, on na swoje nie-szczęście jedną z nich do munduru schował!.. Beatrixa jest nieostrożną, bardzo nieostrożną!.. Co jej do spraw takich się mieszać, co jej z tych proklamacyi?!

— Zdrada, szpiegostwo, niktzemność! — zaszumiały złowrogie słowa pod czaszką porucznika. Raczyński otrząsnął się.

— Tak, ona jest nierozważna, ona dała się porwać, unieść, czy wciągnąć do tego... lecz on jej nie wyda, on ją ocali... on ją musi odwieść!.. Niech tam inni, byle nie ona!.. Dziś z nią się zobaczy i dziś zmusi ją do ucieczki stąd. Nie dla niej miejsce i nie dla niego!.. Nużby Stuart dowiedział się... Ten ważyłby się na wszystko!.. A wtedy!.. Nigdy!..

Porucznikowi ukazała się piękna twarzyczka hrabianki.

— Dla niej, dla niej tylko — szeptał do siebie—dałem słowo oficerskie, dla niej dopuściłem, aby tego nieszczęśliwego niewinnie skazano... dla niej te męki, które mnie parzą!..

Porucznik uśmiechnął się do samego siebie z rozradowaniem.

— Miłość nie w pustych słowach, nie w zakłękach, lecz w czynie, w odwadze poświęcenia jej najdroższych uczuć, poniesienia największych

ofiar!!.. Ona to oceni, ona zrozumie położenie... i dziś jeszcze odejdzie stąd daleko, z nim odejdzie!

Raczyński podniósł hardo głowę, spojrzał śmiało przed się—wzrok jego pomknął w mroki świątyni i skamieniał. O kilkanaście kroków przed nim, u stopni ołtarza klęczał Stuart, a obok niego Beatrycza. Przed nimi stał przeor paulinów i mówił coś do nich. Porucznik pochylił się ku przodowi, lecz nie mógł ani słowa zrozumieć.

Naraz przeor wyciągnął ręce nad klęczącymi, jakby do błogosławieństwa.

Raczyńskiemu oczy krwią nabiegły. Czuł, że jest świadkiem, jak tuż przed nim wali się jego szczęście, zapada w gruzy, jak ziemia z pod nóg mu się usuwa! Porucznik chciał wybiedz z załamu, chciał stanąć przed nimi z protestem, lecz sił mu zabrakło—zacisnął kureczowo ręce na zrębie filara i oczy wzniosł ku stropowi świątyni, jakby czekając, żali nie osunie się sklepienie i nie pogrzenie wiarołomnej.

— Zapowiedź pierwsza! — rozległ się donośniej głos przeora.

Raczyński zaśmiał się dziko do samego siebie:

— Więc to dopiero zapowiedź! Jest czas na porachunek!.. Właśnie pora... do wyprawienia wesela panu komendantowi... Sąd polowy w niedługo będzie kłopotliwy!..

Stuart tymczasem ruszył od ołtarza ku drzwiom. Twarz jego jaśniała pogodą. Hrabianka szła obok niego spokojna, ze swym zwykłym półśmiechem,

rozglądając się ciekawie dokoła. Gdy przechodziła obok porucznika—wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem Raczyńskiego.

Hrabianka drgnęła zlekka, puściła ramię Stuarda i osunęła się na kolana przed ołtarzem, za którym stał Raczyński. Komendant z uszanowaniem dla tego wybuchu uczucia ustąpił na bok.

Beatrycza podniosła z wolna oczy na Raczyńskiego i palec położyła na ustach. A potem wstała powoli i, chyląc się, niby to do pobożnego pokłonu, wyszeptała:

— Dziś bądź tam!..

Porucznik stał w miejscu jak wryty, słowa nie mogąc wymówić. Przetarł mimowoli oczy, jakby dla przekonania się, że to nie mara, nie sen i zwrócił się ku miejscu, gdzie stała przed chwilą hrabianka, lecz jej już tam nie było, już tylko w świetle wdzierającym się szerokimi smugami do kościoła... widać było kaszkiet Stuarda.

Raczyński zaczerpnął pełną piersią powietrza. Błysk nadziei rozproszył chmurne jego myśli.

Zobacz się z nią! rozmówi!.. Ha! Zniewoli do posłuszeństwa, zagrozi w potrzebie!.. Lecz nie ustąpi!..

Porucznik ruszył ociężale z miejsca, jak człowiek, który po daremnym wysiłku, usunawszy jedną zapórę, znajduje drugą i ręce opuszcza.

Teraz już nie wyrzuty, nie odzewy obowiązku szarpały porucznika, ale gorycz, żal do tej, która mu taką przewrotnością odpłacała.

— Co znaczyła ta zapowiedź?! Czyż nie zakłada się, że Stuarta nie kocha? A może to było potrzebne do zachowania pozorów?!.. Bądź co bądź zda z tego sprawę i musi wybrać!..

Raczyński, uspokojony nieco podążył ku wyjściu. Już miał próg świątyni przestąpić — gdy wtem ktoś ujął go zlekka za ramię.

Porucznik obrócił się—przed nim stał przeor paulinów.

— Pozwól mości poruczniku!—rzekł cicho. — Chciałbym z tobą pomówić! Zdajesz się być wzburzonym?!.. To niedobrze! Nie odchodź z przed oblicza Orędowniczki naszej chmurnym! Jeżeli tu cię pogoda nie najdzie — tam tem bardziej!..

— Zmęczonym, ojcze wielbny—nie nadto!

— Wierzę ci! Pocziwie, żeś pamiętał o dniu niedzielnym. Pusto było dzisiaj—pusto i głucho... Takie czasy! A cóż sąd? Zebrał się i cóż?!.. Czy prawda?

— Już po wyroku! — odrzekł niechętnie porucznik.

— Uwolniony?!..

— Nie — skazany!

Przeor potarł ręką czoło.

— Wy, panowie żołnierze, skorzystacie do karnia! Wszak to waszmość, mości poruczniku, świadczyłeś?.. Tak mi powiadano właśnie w zakrystyi... Ojciec Floryan poszedł udzielić mu

ostatniej pociechy! Mówią, że różnice zdań były wielkie?!..

— Były! — przytwardził Raczyński, chcąc uniknąć dalszych wywodów.

— Hm!.. Więc może i tak bardzo nie był winnym, jeżeli znaleźli się tacy, co go uwolnić chcieli! Jam nie dawał wiary! Myślałem, że wiezień skruszony, sam zapragnął pojednania się z Bogiem! Zmordowany podobno... ztorturowany... Nie dość tej męki?!.. A waszmości jak się zdaje?!.. Przecież świadczyłeś?!..

Raczyński zmieszał się.

— Mnie, ojcze—nie! Nie wiem! Poszlaki były. Przyznał się sam—więc cóż więcej! Sam się przyznał...

— Na mękach — odrzekł cierpko przeor. — Nie, nie, to mi nie po sereu! Smutna niedziela, gorzka! Mówiono mi, a nie słuchałem... Żle się poczyni! Krew własna, żelaza rozpalone i to wtedy... gdy tu!.. Waćpan wydajesz mi się być czegoś kwaśnym! Nie w smak ci perora klechy!..

— Ojcie!..

— Czytam to w waszmościnyh oczach! Was wszystkich nudza, wam wszystkim zawadzają białe habity! Dawniej bywało inaczej. Ci, co tu na murach stawali, bronili nie fortocy, nie, jak wy nazywacie, „placu Częstochowy“!.. ale Jasnej Góry!.. Lecz nie po to waszmości tu zatrzymałem! Owóż, widzi mi się, że ów biedny skazaniec

powinien mieć życie darowane! Trzebaby coś poradzić. Jak myślisz?..

— Bardzo chętnie. Tylko będzie trudno... połowy sądl..

— Komendant mógłby zmienić wyrok!

— Nie ma prawa! Chyba, żeby wstrzymał wykonanie i odniósł się do księcia ministra wojny o ulaskawienie!.. Ale to ciężka droga!..

— Ciężka, ale jest! A to przecież wystarcza!..

— Wątpię, ojcze wielobny, abys mógł coś u komendanta wskórać!

— Ja, nie — ale ty, mości poruczniku! — odrzekł spokojnie przeor!

Raczyński zdumiał się tej konkluzji.

— Ja, ja, ojcze przeorze?!.. Ależ przeciwnie, nie mam honoru szczyić się względami pana komendanta.

— Nie o względy idzie! Sprawa ochotnika jest zagmatwana! Tyś jeden tylko swoim świadectwem rzucił na nią promień światła... promień niedostateczny... bo zapomniałeś powiedzieć o tem, że wczorajszej nocy sam miałeś w ręku proklamacye... przynajmniej widziano cię, jak je z ziemi podnosiłeś...

Porucznik zbłądł jak chusta. Przeor zdawał się nie zwracać uwagi na wrażenie, które wywarł na poruczniku i zakończył spokojnie.

— Nie obwiniam cię, lecz chciałbym uniknąć przelewu krwi! Może to zeznanie właśnie będzie dla skazanego ulgą! Rozważ dobrze!.. Zastanów

się—może on nie tak bardzo winien, a może znajdziesz sposób inny ocalenia!.. Masz wolną drogę!

Przeor skinął głową porucznikowi i oddalił się spokojnie w głąb świątyni. Raczyński stał osłupiały, z trwogą mierząc przepaść, która mu się pod nogami otwierała. Przeor wiedział coś, może nawet wszystko, bo cóżby inaczej znaczyła pogrożka?

Gdy to się działo — Stuart, rozstawszy się z Beatrycą na progu jej kwatery, — wracał do swej kancelaryi, wracał jak człowiek, dla którego obowiązek staje się krótkim wypoczynkiem, przegradzającym chwile szczęścia.

Dawno komendant nie czuł się tak pogodnym, tak ufnym, tak jasno patrzącym w przyszłość. Mimo dżdżystego a wietrznego dnia, świat wydał mu się piękniejszym niż zwykle — poczerniałe mury klasztorne bielszymi, a napotykanii na drodze snujący się żołnierze sprawniejszymi.

Aż samemu sobie dziwił się komendant. — Wszak taka siedziała w nim dusza rogata, a taki zapamiętały służbista, że dość mu było okiem na linię batalionu rzucić, by na gorącym uczynku każde uchybienie przyłapać, czy to w mundurze, czy ruchu, czy w złej pozycji—a dziś coś szło mu wszystko po myśli, ani weź nie zganić.

Przed kancelaryą spotkał Stuart Hana ze zwojem papierów i tu dopiero wspomniął na sprawę Cybińskiego i zasępił się.

Han zdał krótki raport służbowy z przebiegu sądu. Komendant wysłuchał go z roztargnieniem i odrzekł:

— Już po wszystkim, to i lepiej!.. Sam zdecyduję, kapitanie, co i kiedy!.. Zdaję się na ciebie... Widzisz, przyznam ci się otwarcie do pewnej słabości!.. Dzień dzisiejszy dla mnie jest wielkim świętem, niech mi wolno będzie zostać na stronie!.. Nie chcę wiedzieć o tem... i z góry zatwierdzam wszystko, co postanowisz...

Han potrząsnął głową.

— Komendancie, pragnąłbym gorąco uwolnić cię od mieszania się... lecz niepodobna!.. Tu trzeba, abyś sam rozstrzygnął!.. Inna rzecz wyreka, a inna stanowienie!..

— Ależ! — przerwał niecierpliwie Stuart. — Skoro cię upoważniam!..

— Lecz, panie komendancie, nie wiem do czego?!..

— Do wszystkiego, co uznasz za właściwe!..

— W takim razie rozpocznę od aresztowania porucznika Bogdanowicza i trzech niższych stopni... i dziś zwołam sąd!..

Stuart spojrział z podziwieniem na kapitana.

— Co, co?! Bogdanowicza? Zaco?!..

— Bo choć prawo przyznaje każdemu z sędziów wolność zdania, lecz honor munduru wymaga, aby to zdanie było oparte na sumieniu, na uczciwości, a nie było jawnem przeczeniem prawdzi!.. Owóż mniemam, że bodaj najpilniejszą

rzeczą jest nauczyć śmiazków rozumu, niechże wiedzą na drugi raz, że sąd polowy to nie przyjaciółstwo, nie sentymenty, nie babskie tklivości — jeno trzeźwość, godność sprawiedliwość!.. Głosowali za niewinnością łotra — dobrze! Oświadczenia ich są w protokóle i mają swoją moc. Atoli teraz wypada ich wezwać do tłumaczenia! Niech się sumitują!..

Stuart machnął ręką niedbale.

— Czy warto? Niech ich tam Pan Bóg sekunduje!.. Niedowarzenie, żakostwo, ciemnota! Wyrok i tak wydany... lepiej nie wszczynać!.. Jest tyle do czynienia, gdzie nam do drobiazgowości!.. Bogdanowicz dobry oficer — dystygnował się nieraz służbistością!.. Wstawiam się za nim! Nie bierz mi za złe, pragnąłbym jak najmniej goryczy... tej jednej starczy... boć tam, w sztabie, niewątpliwie mnie buty uszyją!.. Zaniechaj kapitanie!..

Han wyprostował się i przyłożył rękę do kaszkieta.

— Według rozkazu, komendancie! Racz wydać mi polecenia, co i jak czynić!

Stuart uraził się tą odpowiedzią i rzekł krótko:

— Nie mam nic do powiedzenia! Zechej przysłać do mnie kapitana Celińskiego!..

Han do krwi zagryzł wargi. Komendant pośpieszył złagodzić odprawę.

— Sądziłem, że wolno mi czegoś więcej spodziewać się od waszmości nad spełnianie poleceń!..

— Tak, komendancie, ale nie tam, gdzie taka zachodzi różnica...

— Nie różnica — jeno dalszy widnokrąg! My tu nie dla palestrowania stoimy!.. Lada dzień, lada godzina może nas najść albo rozkaz wystąpienia w pole, albo tu nas znaleźć nieprzyjaciel. Teraz niejedno trzeba darować, na niejedno przez szpary patrzeć... boć teraz jedna kara!.. Do kazamaty, na odwach nie czas sadzać, bo ich za mało na murach — no, a za lada co nie możemy ludzi rozstrzeliwać. Tu i tak kul nie zabraknie!

— Bardzo żałuję, panie komendancie — odpowiedział zgryźliwie Han. — Ale na mnie nie przyszły jeszcze takie refleksy!.. Dotąd wojna była mi znakiem, — że czujność należy zdwoić, a surowości przestrzegać, i to bez uwagi na osobiste humory lub niehumory!..

Przemówienie z Hanem zwarzyło Stuarta. Gdyby ono miało miejsce w każdej innej chwili — natychmiast uczyniłby przedstawienie, żeby kapita na odkomenderowali gdzieindziej. Komendant znieść nie mógł opozycyi, atoli teraz nie zdawała mu się ona zasługująca na uwagę. Han, oczywiście, chciał przesadzić w surowości i sprawę przeciągnąć.

Komendant wkrótce po tej rozmowie dał laconiczną instrukcye Celińskiemu, jak i kiedy ma dokonać egzekucyi, a sam poszedł na zwykły przegląd zakamarków fortecznych.

Wszystko jednak zdawało się sprzysięgać na to, aby komendantowi zakłócić chwilę wewnętrznego zadowolenia, aby spędzić z jego czoła pogodę. Oto w ludwisiarni zastał mistrzów szepczących przy dogasającym ognisku; pod murami gwardziści, mimo obecności imię pana Czerno, nawet trzeciej części zadanych sobie robót nie dokonali, w magazynach, przy rychtowaniu i obsadzaniu bateryi, w ambulansie i prochowni wszędzie panowała ospałość, zniechęcenie, wszędzie widniały oczywiste ślady mitręgi i jakiegoś niewytlómaczonego ospalstwa.

Stuart marszczył się, fukał, oficerowie i żołnierze przyjmowali w milezeniu napomnienia, niby to zabierali się do przerwanych zajęć, lecz w ruchach ich widać było przymus, zniechęcenie.

Komendant tracił zwoła cierpliwość. Aż wreszcie dostrzegłszy siedzącego w fosie kapitana Godlewskiego, wpadł na niego z furją:

— Mości kapitanie!.. Widzę, że mi oka zmrzyć nie wolno, aby się bezład nie zakradł, aby nawet najbliżsi mi rangą nie pozwalali sobie na wywczasy!.. Waćpan śnać zapomniałeś o odebranych rozkazach?!

— Komendancie!..

— Do pioruna!.. Moja wina... bo mnie przecież nie wolno oka spuścić!.. Nieporządek, zaniebdanie!.. Żołnierz chodzi samopas!.. Coś waćpan od dnia wczorajszego robił? Nie!.. Wszystko leży

odłogiem!.. Trzy wozy zapasów wprowadzono do fortecy przez pół dnia?..

— Komendancie — odparł, blednąc Godlewski — dopilnować nie mogłem... odprowadziłem sąd!..

— Gdzie Szymanowski?!..

— Był tu niedawno... poszedł do koszar!..

— Ten przecież nie może wymawiać się sądem!..

— Tak, komendancie, lecz Cybiński wypada mu krewnym, czy powinowatym!

Stuart zaperzył się.

— Więc cóż z tego?!.. Tem bardziej powinien by się sromać, tem bardziej dbać o służbę — aby zatrzeć hańbę, która on się ociera!.. Nie dziwiłbym się młokosom! Więcej spodziewałem się znaleźć w was poczucia obowiązku! Do raportu wieczornego proszę waćpana... i wszystkich oficerów aż do porucznika! Inny trzeba ład zaprowadzić, teraz już nie starczy sama miłość dla sprawy, ani honor! Waszmościom innych trzeba racyi... do kaduka, klęć się, że będziecie je mieli!

Stuart własnymi poruszony słowami — odwrócił się od Godlewskiego i ociężałym krokiem powłókł się wałami ku swej kancelaryi.

Gniew szarpał komendantem a goryczą poił. Miał przecież tak dobre mniemanie o Godlewskim, o Szymanowskim, o Hanie! Zdawali mu się być oficerami zasłużonymi, doświadczonymi, sprężystymi... pełnymi zapału! A toż wszystko sło-

miany ogień! Jednego wypuszczenia z rąk cugli starczyło na zamęt, na rozprzężenie zupełne.

Komendant dźwignął ociężałe ramionami. Na nim, tylko na nim spoczywała cała troska o te mury, o żołnierzy, o służbę. Nikt zresztą nie dbał, szczerze nie myślał! Kilka godzin zaledwie poważił się poświęcić sobie, kilka godzin chciał żyć dla siebie — i otóż zastaje skutki!..

Stuart obejrzał się dokoła siebie, jakby upatrując miejsca, kędyby mógł otaczające go wały a fosy przeniknąć i wyrwać się z tej ciasnoty, wyrwać na wolny przestwór z nią, z Beatrycą, i osiąść zdala od tych udręczeń.

Tak — dawniej roił, marzył! Zdało mu się, że dość mu będzie Apeniny przejść, w szeregach legionów stanąć, aby zamysły najskrytsze spełnionymi zostały! Zamysły wielkie, podniosłe, piękne! Był w nich wprowadzić i mundur generalski i komandorskie krzyże, lecz szedł z nimi i ogień czysty i myśl podniosła!

Losy zwarzyły porywy: jednakże część pragnień spełniły!.. Na pierwszy odzew generała, Stuart rzucił i pułk i służbę włoską, w której mu tyle wrócono zaszczytów, nie wahał się odjechać Beatrycy — zdało mu się, że teraz dopiero otwierają się przed nim wrota do sławy, do pracowania na tej ziemi, dla której tyle lat się tułał!.. Zdało mu się, że lata służby w legionach policzne mu będą! Spóźnił się! Faworycy z pod Blachy wzięli pułki, a jemu dostał się w nagrodę

zasług—ten kojec!.. Mianowano go komendantem mnisiego kurnika, odsunięto od sztabu, skazano może na lata całe zapomnienia! Marszałek Davoust traktował go przecież jak starego inwalidę, którego na dokonanie dni osadzają w zaścianku, szumnie nazywającym się fortecą!

Taki kąt zmiele go, podetnie tylko! Czyż wszyscy jego podkomendni nie mają racyi! Na co ten wysiłek daremny, na co gwałty o subordynacyę, o porządek? Czyż Częstochowa jest jakimś punktem ważnym, zagradzającym drogę, czy mogącym przedstawiać dla nieprzyjaciela wartość?!!..

Stuart uśmiechnął się ironicznie do samego siebie.

Wojna jest, lecz nie dla Częstochowy! Tu szkoda było załogi—szkoda garści żołnierzy, skazanych na bezczynność! Nieprzyjaciel nie ma celu kusić się o opanowanie klasztorów! Ma czas przyjść tu wówczas, gdy się rozprawi z armią!

A on, stary żołnierz... dał się unieść, dał porwać i do serca bierze drobiazgi! Gdzież tu żądać zapалу, kiedy niczego innego o nie można się spodziewać, krom bezczynności! Jeżeliby i przyszła tu armia... to wówczas tylko, kiedy wzięcie Częstochowy będzie dla niej kwestyą zaprowadzenia nowego ładu!

Rozumowanie to wydało się komendantowi tak jasnym, tak trzeźwym, że w jednej chwili odbiegł go gniew, a na jego miejsce naszło go zniechęcenie do munduru, który miał na sobie, do pała-

sza, który mu się płatał bezwładnie na temblaku, do własnych zarządzeń, do rygorów, co były przecież komedią wojny!..

Komendant spojrzął ku zachodzącemu słońcu szczytowi wieży Jasnogórskiej i zadumał się.

Ta wieża w dalekiej przyszłości była świadkiem wielkich wydarzeń, ona jedna nie uległa się szwedzkiej groźby — ona okryła się legendową szatą, ona stała się i dźwignią i chwałą narodu. Inne to były czasy—ludzie twardsi — kule miększe! Istotnie, przed trzystu laty te mury mogły imponować, mogły wdrażać uszanowanie. Kamienne kule rozbiły się o nie — armaty nosiły pociski kędy chciały! Ale dziś! Dziś pięćdziesiąt dział w godzinę tę całą górę rozbije i zaorze! Dziś ona mogłaby dawać schronienie chwilowe partyzanckiej garstce, osłonić kilku konfederatów przed pościgiem kawaleryi... ale jako plac obronny i jako forteca, jest niczem. Inne czasy. Już i tej wiary gorącej a fanatycznej niema, legenda się nie powtórzy, Kordecki się nie narodzi... a nieprzyjaciel aproszów kopać tu nie będzie...

Bezczynność jest klątwą tego pustkowie, lecz i szczęściem... Tu spokojnie będzie mógł przeczekać wypadki a potem ruszyć w świat szeroki.

Komendantowi przyszły na myśl wczorajsze obawy o życie Beatryczy i zaśmiał się szczerze.

Uniósł się — wieść o wojnie obudziła w nim dawne nawyki! Zdawało mu się, że istotnie

będzie czegoś bronił, coś ważył!.. Nierozwaga! Daremny zachód — niepotrzebne zabiegi! Wobec załogi cudaczna surowość.

Stuart wmawiał w siebie, że mu w obecnem położeniu cieszyć się tylko wypada z takiego obrotu rzeczy, że niczego innego życzyłby sobie samemu nie mógł, że to odepchnięcie zapewnia mu spokój, jakiegoby nie zaznał w obozie, że bez skrupułów ma prawo oddać się własnemu szczęściu, że przecież nie z własnej woli tu szedł — a mimo to — jakaś żółć go trawiła, jakiś niepokój dokuczał.

Wolałby żeby było inaczej, żeby Beatrycza miała mu coś do zawdzięczenia, wolałby, żeby widziała jak dzielnie broniłby jej umiało.

Stuart westchnął ociężale, a dostrzegłszy zdaleka *sir* Jakóba, który odwrócony doń plecami, siedział pochylony na wewnętrznym nasypie, podążył ku niemu, nie próbując nawet odgadywać, coby hrabia robił tu o tej porze. Zbliżywszy się atoli do *sir* Jakóba, a widząc go zajętem czemś — komendantowi przysłała do głowy swywołna myśl podejść go znienacka. Jakoż, kołując między okopami komendant zdołał niepostrzeżenie stanąć za plecami *sir* Jakóba. Tu zrazu ogarnęło go zdziwienie. Hrabia na kawałku papieru rysował plan Częstochowy. Rysował z takim skupieniem, że Stuarta porwał śmiech pusty.

— Bodaj cię, kuzynie... a toć trzeba ci było do korpusu inżynierów wstąpić!..

Sir Jakób na dźwięk głosu komendanta zatrząsł się i porwał się pomieszany na równe nogi.

— Żarty ci się trzymają!..

— Cha—cha! Przestraszyłem cię!..

— Nie spodziewałem się!..

— Lecz cóż tak zawzięcie rysujesz? Pozwól!

— Et—nie! Upodobanie! Z nudów! Rozumiesz, ten klasztor jest bardzo niezwykle... przyszło mi do głowy! Chcę swój zamek przerobić... według...

— I ufundować zakon szkockich paulinów!.. Wybornie!..

— Jesteś profanem! Przecież to, bądź co bądź, zabytek historyczny! Patrz, te mury, te wały... zabudowania... Naturalnie wieżę dam inną! Ściegą płasko, zębata...

Komendant zmrucił filuternie jedno oko.

— Bardzo pochwalam ten zamiar... tylko tymczasem mamy *corpus delicti*, że zdejmujesz plany forteczne!

Sir Jakób próbował się uśmiechnąć.— Stuart żartował dalej.

— Niech cię to jednak nie frasuje—obejdziemy się bez tłumaczeń! Han dziś wstał lewą nogą... ręczę, że tak się uwinie, iż za dwie godziny zagrają ci bębny! Tak—tak, *sir* Jakóbie! Fi! Plany zdejmować — to nie przelewki! A może jeszcze wydawać je wrogiemu mocarstwu! Odpowiedzialność wielka, bardzo wielka! Dziś jeszcze będziesz przekonany o stosunkach bezpośrednich

z Wiedniem i dziś stanie się zadość sprawiedliwości!

Sir Jakób, słuchając tych słów, wygłoszonych przez komendanta z komicznym⁸ patosem, chciał odpowiedzieć na nie równym żartem — lecz ten mu nie dopisał. Komendant sam pośpieszył wydobyc go z kłopotu i rzekł już poważnie:

— No, kuzynie, nie krzyw się tak! W żarcie jest zwykle tylko szczypta prawdy! Jesteś nieostrożnym! Gdybyś znał instrukcyę, jaką wydał Davoust — może wyrzekłbyś się myśli przebudowywania swego zamku. Nie jestem ani formalistą, ani dziwakiem, ale dla porządku, każdego innego na twojem miejscu kazałbym uwięzić!..

— Ależ kuzyni!..

— Parol oficerski, żebym to zrobił! Lecz w tym razie... jedną tylko mogę ci dać radę... Miast tu siedzieć na wietrze i wilgoci — chodź do mnie, do kancelaryi, a jeżeli trzeba, dam ci plany wyśmienite. Każdy zakątek masz odrysowany! Paulińska robota!.. Tylko mi naprawdę nie siadaj tutaj — półgłówek nie brak, co z językiem latać potrafią i Bóg wie co powiadać!

Sir Jakób odzyskał zimną krew.

— Co za przesada, co za przesada! Nie miałem pojęcia o takiej wyrafinowanej drobiazgowości!..

— Być może! Lecz forma musi być zachowana! Tylko forma! Sam widzisz, że nie idzie o plan!

Bo co komu z niego? Austriacy! Czy sądzisz, że im naprawdę klasztor może zawadzać?!

— Bynajmniej!.. Komu dziś zależy na dozwoleniu fortecy. Rozprawa w otwartym polu, a potem fortece same otwierają bramy!

— Właśnie. W głębi mam toż samo przekonanie, lecz poza niem istnieją rozkazy, prawa, rygory — tych trzeba strzedz, trzeba pilnować. Co innego więc, gdy oto my się spotykamy ze sobą i rozumiemy się, a co innego byłoby, gdyby komendantowi placu przyprowadzono ciebie, kuzynie, jako pochwyczonego na zdejmowaniu planów!

Sir Jakób nie podzielał zdania Stuarta i gorąco upierał się przy twierdzeniu, że nieprzyjaciel, rozpoczynając wojnę, zawsze umie zawczasu pojąć plany. Komendant nie ustępował, a w rezultacie, chcąc przerwać nudną dysputę — oświadczył, że zdaje się w tej mierze na sąd Beatryczy.

— Ba! więc jestem z góry skazany na porażkę! Zarzucam sędziemu prywatę!

— Za pozwoleniem — przypomnij sobie, ile to razy odwoływałeś się do niego!

— Ale to dawne dzieje! Wówczas byłem w sojuszu przeciwko tobie, kuzynie... dziś zostałem sromotnie opuszczony!

Komendantowi żart przypadł do smaku.

— Nie sumituj się, nie nie pomoże! Idziemy zaraz!

— Idziemy!.. tylko, czy tam naprawdę moja obecność jest potrzebna!?..

— Chodź—chodź!.. Zobaczymy!

— Zdaje się, że od razu będę wyprawiony za drzwi!..

Stuart rozochocony dogadywaniami *sir* Jakóba, pociągnął go za sobą do kwatery hrabianki. *Sir* Jakób droczył się a niby upierał.

— Dokąd ci tak pilno! Chyba nie do sprawiedliwości!?..

— Ostrz sobie zęby, ostrz — cale mnie nie skonfudujesz!.. Ciagnie, wleczę... krew nie woda!.. Krew sarmacka... Nic mi po szkotach nie zostało krom imienia! Ciebie kuzynie dziwi taka zapalczywość—no to się dowiedz, że ja nawzajem mam cię za zimorodka, melancholika, mazgaja!..

— A to dlaczego?!..

— Pytasz się? Bodaj cię! Masz zawsze intencye dla mnie, to swoją drogą!.. Ale... żebym ja był na twojem miejscu—dalipan bym nie strzymał!..

— Mów wyraźniej!—odrzekł sucho *sir* Jakób.

— Słuchaj zatem! Żebym tak ja obok takiego marcepanu się znalazł... a takiego miał pocieszać... to zanimbym się w podróż z nią za tym kochanym wybrał, jużbym i wesele sprawił i z men-del drobiazgu bym się dochowal! A toć to war nie dziewczyna—wzrokiem parzy! A ty—nie! Jestem ci, kuzynie, wdzięczny do grobowej deski, lecz co cię mam za mazgaja to mam! Alboś oczu nie miał—albo krwi!..

— Tak sądzisz?!—rzekł ironicznie *sir* Jakób.

Stuart, dotknięty tonem odpowiedzi, spojrział przenikliwie na hrabiego i zagadnął z naciskiem:

— A czy mam myśleć inaczej!?..

Sir Jakób odwrócił głowę, unikając badawczego spojrzenia komendanta i rzekł wymijająco:

— Zapewne!.. Czasem nie wystarcza—chcieć!.. Beatrycza ma temperament niełatwy dla każdego do opanowania!.. Zresztą, wyobrażenia o tem, co piękne, są tak różne!..

— Więc dla ciebie, na przykład, ona nie zasługiwała nawet na uwagę!?..

— Ach--nie to!.. Tylko przecież niekiedy ma się zobowiązania!.. Jestem żonatym!

— Ty kuzynie?!.. Nie mi nie mówiłeś... jeszcze w Kalabrii!..

— Prawda!—Rodzina żądała tego ode mnie—wreszcie i czas był wielki. Siwe włosy się sypały! Teraz masz więc zagadkę rozwiązana!

Komendant uściśnął serdecznie rękę *sir* Jakóba.

— Uraziłem cię mimowoli, twoja wina, żeś mnie nie uprzedził! Pozwól ze mną—teraz sprawa będzie podwójna!..

Stuart miał być właśnie ująć za zasuwę u drzwi, wiodących do kwatery Beatryczy—gdy te otworzyły się raptownie—służąca zastąpiła mu drogę.

— Hrabianka jest u siebie?!—zagadnął machinalnie komendant.

— Tak... ale teraz do niej nie można! — odrzekła służąca łamana francuszczyzną.

— Jakto nie można?

— Pani teraz nie przyjmuje... czuje się zmęczoną!..

— Powiedz, że ja przyszedłem!..

— Pan komendant daruje, lecz mam przykazane nie meldować nikogo!..

— Choćbym i ja był?!.. — nacierał Stuart ze wzrastającym rozdrażnieniem.

— Tak, panie komendancie!

Stuart postąpił naprzód, chcąc odsunąć służę, lecz *sir* Jakób powstrzymał go za rękę.

— Na Boga, kuzynie, uspokój się! Gdzież tu powód do gniewu?!..

— Bo już mnie to nie pierwszy raz spotyka! Nie rozumiem tych ceremonii ze mną! Ma przecież być żoną żołnierza — a nie panka! Ja się mam opowiadać?! Odechodzić z kwitkiem odprawiony ode drzwi!?

— Ależ pozwól! Hrabianka ma pewne nawiązanie—trochę w tem niewinnej fantazyi, trochę zalotności—ot i wszystko! Dajże jej nacieszyć się wolą! Właśnie niech wie, żeś u niej już był! Przywiązujesz wagę do drobiazgów!..

— Być może!—usprawiedliwiał się uspokojony Stuart. — Lecz znieść nie mogę wszelkiej przesady i tych narowów modnych! Jesteśmy w obozie — a ja tu nie zajeżdżam czwórka przed pałac, jeno na piechotę idę do tej, której dziś prawie że ślubowałem, no i do mojej własnej kwatery!..

— Cha—cha! Komendancie! Coś mi obcesowo, widzę, się zabierasz!.. Hola tymczasem!.. Trzeba czekać cierpliwie a zasługiwać się!..

— Nie rozumiemy się—szedłem tu!..

— Utemperujecie ją, ale potem... nie teraz — a tymczasem jej wolno, jeszcze nie twoja!..

— O tem się nie mówi! Przykro mi jest prosto, że do tego zapadłego kąta zakrada się taka przesada, że wogóle między nami staje jakaś ceremonia!

— Człowieku—toć kobieta! Więc ma swoje lustro, ma suknie, trefienie włosów! I taka dopiero, co chce i powinna się podobać!..

— Słusznie, słusznie! Mogła była kazać czekać—do gotowni nie szedłem! Nie mówmy o tem—dziwactwa! Idę do siebie! A gdy nakoniec signora Beatrycza będzie mogła być widzianą, to niechże sama da mi znać o tem, bo nie chciałbym być znów odprawionym ode drzwi!..

Stuart rozdrażniony odszedł. *Sir* Jakób oglądał za nim, dopóki nie znikł w sieniach korytarza, a gdy kroki Stuarta umilkły, zapytał służącej głosem stłumionym.

— Gdzie pani?!..

— U siebie!..

— Więc czegoż, u licha odmawia przyjęcia?! Nie dość jeszcze kłopotów i przykrości! A tyś także niezdar! Jak można dawać podobną odpowiedź!..

— Pani kazała!..

— Nierozwaga! Mogłaś była znaleźć inny, zręczniejszy wykręt!

— Bałam się!.. Komendant gotów byłby, nie usłuchać... a tam nie sposób... tam jest...

— Któż taki?!

— Ten oficer, który był z nami wówczas, w karczmie!..

Sir Jakób posiniał z gniewu.

— On! A to nie do przebaczenia!.. Tu go wpuszczać, wiedząc, że komendant może nadejść...

— Pani nie chciała... ale panowie szli od strony wałów... a tamten się uparł... nie było innego sposobu!..

— W głowie mu się przewróciło!.. Z nim trzeba skończyć od razu—im później, tem gorzej! Poproś do mnie pani!..

— Kiedy mam polecenie!..

— Ze mną będziesz robiła korowody! Ruszaj w tej chwili!..

Służąca w milczeniu uchyliła drzwi, prowadzące do komnaty, zajmowanej przez hrabiankę. Na znak ten wybiegła Beatrycza zarumieniona, rozgorączkowana a postrzegłszy szydereco wykrzywioną twarz hrabiego—zapytała nerwowo:

— Czego? Cóż się stało?!

— Muszę z tobą natychmiast pomówić!..

— Ależ teraz niepodobna—potem! Wiesz kto jest?.. Nie mogę zostawić go samego!..

— Więc go odpraw!..

— Pozwól—niech skończę! Nie przypuszczasz, com przeszła z tym szaleńcem! Odprawić się nie da!

— Niech czeka zatem!

— Lecz zastanów się!..

— Ani myślę ustąpić!..

Beatrycza zacisnęła usta, a rzuciwszy przez zęby rozkaz służącej, zbliżyła się z namarszczonymi brwiami do *sir* Jakóba.

— Jestem, słucham cię!..

— Chodźmy do tej izby, obok—nie chcę mieć świadków.

Hrabianka poszła za *sir* Jakóbem, a gdy znalazła się z nim sam na sam — wybuchnęła nagle.

— Zaczynaj, proszę cię—bez długich wstępów. Ale jeżeli ma to być scena zazdrości—to pamiętaj, że nie mam ani czasu, ani ochoty!..

Sire Jakób roześmiał się ironicznie.

— Bardzo wierzę, po rozkosznem sam na sam—przejsście nazbyt silnie!..

— Do czego zmierzasz?..

— Do tego, że mam dosyć tych komedyi!.. Rozumiesz!.. Przed chwilą ukończyłem zdjęcie planów—dziś wyruszamy!..

— Chcesz mnie zostawić samą — ha, kiedy żądasz koniecznie!..

Sir Jakób schwycił Beatryczę za rękę i ozwał się groźnie:

— Radzę ci ze mną nie żartować! Dziś, słyszysz, dziś musimy się stąd wydostać! Bronovacky czeka!..

— I dobrze robi, bo jeszcze nie ma pociągu się zjawiać!..

— Beatryczo — odrzekł *sir* Jakób, starając się nadać swemu głosowi ton łagodnej perswazyi. — Łudzić ani siebie ani jego dłużej niepodobna. Sama wiesz, że ani twoje proklamacje skutku nie odniosły, ani też namowy nie pomogą! Jam go lepiej znał od ciebie — on ci może ulegać, przyświadczać, ale kiedy przyjdzie chwila stanowcza... fortecy nie wyda! Przeliczyłaś się z siłami — nie byłby Stuartem, gdyby ważył się na zdradę!..

— Nie mam wcale tak wysokiego pojęcia o honorze Stuartów!..

— Tania złośliwość! Słowem, niema tu co robić!.. Plany mam w ręku dokładne, wiadomości o stanie obrony także! Wszystko to wystarczy Bronovacky'emu do szybkiego rozprawienia się!..

— Ale tego za mało, abym dla twojej fantazyi miała się wyrzec pewnych korzyści!..

— Chyba w miłostkach z tym... tym chłystkiem!

— Przystąpmy do rzeczy! Chcesz uciekać?.. Owszem, ja zostaję!..

— Beatryczo, ostrzegam cię!.. W razie czego, Kajetan dowie się o wszystkim!..

— Próbój! Zobaczymy, kto wygra sprawę!

— Pamiętaj, że ja mu ocaliłem życie w Kalabrii!..

— Jedno słowo o twoich miłosnych zapalach ku mnie — starczy!..

— Beatryczo! Zastanów się, rozważ!.. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności... Chcę dobra twego. Narażamy się teraz bezcelowo. Darować sobie nie mogę, żem się dał skusić Bronovacky'emu, a bardziej, żem ciebie wciągnął w tę grę!.. Beatryczo, nie rozkazuję, nie zmuszam, lecz proszę cię, błagam — zastanów się!.. Wspomnij, na jak ciężkie próby wystawiasz moje do ciebie przywiązanie! Zdaje ci się, że tak łatwo przychodzi mi znosić... wynurzenia tego dragała! A potem, ty zachowujesz się tak dziwnie, tak się przejmujesz... że czasem tracę świadomość, gdzie w tobie zaczyna się prawda, a gdzie kończy udawanie...

Hrabianka wzruszyła ze znudzenia ramionami.

— Znów to samo!..

— A ten poręcznik?!.. Co on znaczy?!..

— Wiesz chyba — muszę się z nim rachować!.. On jeden posiadał tajemnicę!.. Niema innego sposobu, jak tylko użyć go za narzędzie...

Sir Jakób zmierzył przenikliwym spojrzeniem hrabiankę.

— On mi jest potrzebny! — dodała Beatrycza, unikając wzroku *sir* Jakóba. Bo... jeżeli Kajetan by się opierał — on mi dopomoże.

— Bo cię kocha, czy tak?!..

— Choćby...

— A ty?!..

Beatrycza drgnęła z lekka.

— Ja... ja... nie chcę tylko odstąpić...

— I dlatego jeszcze... wyznaczasz mu schadz-
kę!...

— Gdyby nawet. Ale mogę cię uspokoić!..
Porucznik za godzinę rusza z Częstochowy! Po-
syłam go do armii! Możesz mu powierzyć plany!..
Będą mieli dowód, że nie marnowaliśmy czasu!..

Sir Jakób odetchnął z widoczną ulgą.

— Mogę ci zaufać?!..

— Na przekonanie cię—wiedz, że porucznik
ma pewne poszlaki, że jest śledzonym a nawet
posądzanym o udział w sprawie proklamacji...
uciekać musi!.. Moja rzecz w tem, żeby to wy-
szło nam na korzyść!..

— Ha, jeżeli tak, ustępuję!.. Tego młokosa
obawiałem się — obawiałem się już nietylko dla
siebie—ale dla Kajetana! I jemu w końcu mo-
głyby się oczy otworzyć! Lepiej, że go już nie
będzie!.. Tylko jedno miej na uwadze, by twoje
rachuby nie były zbyt dalekie! Bronovacky nie
ma czasu na mitręgi, musi iść za głównym kor-
pusem... Wzięcie tego klasztoru nie ma znacze-
nia strategicznego—tu idzie o fakt zdobycia czy
dobrowolnego poddania się!.. Do tego miejsca
przywiązane są tradycje... zabobony. Wiadomość,
że Częstochowa jest w naszych rękach, wytraci
broń dziesiątkom partyzantów!.. Przeciwnie —

opór—to obudzenie dziwacznych wierzeń, przesądów — gotoweby one odżyć, gotowe rozognić chłopstwo! Sztab generalny dobrze obmyślił! Mnie samemu dziwnym się zrazu wydał ten cały manewr! A jest on znakomity! Szlachta i mieszczanństwo nie tu nie znaczy—zresztą, przeczciły ich wojny, wyniszczył Bonaparte, trawia partye—siła istotna to lud—lud surowy, ciemny, barbarzyński i znoszący wszystko bez szemrania dopóty, dopóki wojna nie dotyka jego wierzeń! Nadto, pamiętaj, iż właściwie Bronovacky'emu, jako generałowi jego apostolskiej mości cesarza—zbyt gwałtownie poczynać sobie z klasztorem nie przystoi! Pomoc nasza nabiera przeto podwójnego znaczenia!..

— Wiem, wiem o tem!—odrzekła hrabianka, poglądając niecierpliwie ku drzwiom.

— A więc... gdybyś mogła doprowadzić do skutku sprawę, że bez wystrzału...

— Jestem przekonana, o ile ty, naturalnie, zaniechasz pretensji i nie będziesz krępował i udaremniał moich zabiegów swoją podejrzliwością...

— To nie podejrzliwość, tylko obawa, abym zbyt drogo nie zapłacił za kapitulację!

Beatrycza roześmiała się nieszczerze.

— Trzeba było o tem pomyśleć wówczas, kiedyś mnie zachęcał do tego przedsięwzięcia! Teraz gra rozpoczęta — gra, w której i moja ambicya

coś znaczy! Częstochowa musi być naszą—ten twój kuzyn zrobi to, co ja mu każę! Słyszysz?!..

Sir Jakób spojrział na hrabiankę, na jej twarzyczkę drgającą wolą, na jedwabiste łuki brwi zwarte mocno, na oczy rozpalone jakąś płomienną energią i głowę schylił. Beatrycza była tak piękna w tej chwili, tyle w postaci swej miała posagowego hartu, tyle w drżących ustach energii, tyle świadomości swego uroku, swego wdzięku, swej demonicznej mocy — że—dość było na nią spojrzeć, by się ugiąć, by uwierzyć, by ledz.

Krew uderzyła do głowy *sir* Jakóbowi. Ujął znów za rękę hrabiankę i szepnął drżącym głosem:

— Tak—tak, bezwątpienia! Stanie się wszystko tak, jak będziesz chciała!.. Musi ustąpić—musi! I on... i wszyscy! Jesteś czarującą! Kocham cię, kocham coraz goręcej, kocham do szaleństwa! Daruj mi moje natręstwo, daruj wymówki—ale, kiedy słyszę tego gburę zalecającego się do ciebie, kiedy... widzę go jak topnieje w skrach twoich oczu... to mnie wściekłość porywa!.. Zazdroszczę mu każdej twej kokieterii, wydarłbym mu każde spojrzenie twoje, każdy uścisk dłoni! Piekło całe noszę w sobie... ale, widzisz, łamię się, panuję ile sił... i wmawiam w siebie, że twój tryumf będzie i moim — że ty mnie jednego miłujesz, że ze mną jednym jesteś sobą! Powiedz Beatryczo! Tego zapewnienia potrzeba mi bardzo!..

Hrabianka odtrąciła nagle *sir* Jakóba i wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Cha—cha! ależ... gdybyś mógł widzieć siebie, jak pociesznie wyglądasz z tym sentymentalnym grymasem na twarzy! Cha—cha!.. Jakie tkliwości, jakie wynurzenia! Milordzie!.. Cha—cha! „Powiedz Beatryczo!..“ Niezrównane!..

Sir Jakób zbladł.

— Ciebie to bawi!?—rzekł głucho.

— Bo dotąd nie widziałam cię w skórze rozmazanego kochanka!.. Ja mam ci powiedzieć?!.. Co?!.. Chyba raz jeszcze, że ci z tem nie do twarzy?!.. A nadto, iż na przyszłość zaniechasz podobnych wybuchów!..

— I to wszystko?!..

— Chciałeś więcej?!..

— Nawet nie pamiętasz o tem, co masz mi do zawdzięczenia!

— Wymawiasz mi?!..

— Nie, tylko chcę ci przypomnieć...

— Dobrodziejstwa?—przerwała podrażnionym głosem hrabianka. — No, zatem miej na uwadze, iż dobrodziejstw twoich mam dosyć! Jeszcze jedna taka scena i z nami skończone! Odejdź! Stajesz się nudnym i natrętnym!.. Marzą ci się czułości!..

Sir Jakób wyprostował się i ozwał się stanowczo:

— Stosuję się do rozkazu—idę! Masz jeszcze dwa dni czasu—możesz nimi rozporządzać. Jeżeli

plany cię zawiodą... wracamy!.. A teraz daruj... chwilę natręćwa!..

— Więc daj plany... dam je temu...

— Dziękuję! każdy niech działa na własną rękę! Żegnam!

Sir Jakób wyszedł. Beatrycza po chwili namysłu zawróciła szybko do izby, w której pozostawiła Raczyńskiego.

Porucznik powitał ją spojrzeniem pełnem wymówki.

— Kazałaś mi czekać tak długo!

— Musiałam, nie pytaj mnie o powody!.. Mówmy o tobie! Trzeba, abyś się stąd oddalił natychmiast! Obaw nie wolno ci lekceważyć! Uchodź zaraz—za godzinę może być zapóźno!

— A ty?!

— Ja?!.. Ja teraz jeszcze zostanę!..

— Więc i ja także!..

— Chcesz zgubić siebie i mnie?!..

— Ciebie—nigdy! Ty pójdziesz ze mną! Ja cię tu nie zostawię samej za skarby!

— A jeżeli tego żądać będę?!..

— Beatryczo, to ponad moje siły! Odejść od ciebie, myśleć o tem, że tamten!.. Za nie! Rozkazuj—ale mnie nie odprawiaj, nie oddalaj! Raczej zginać mi...

— Dzieciaku!—ozwała się pieszczotliwie hrabianka. — Przecież rozstaniemy się na kilka dni zaledwie—toć nie wieki!..

Porucznik szarpnął gwałtownie temblakiem.

— Powiadasz — nie wieki! A wiesz ty, ilem lat przeżył tu, w tej krótkiej chwili, gdyś odeszła!..

Hrabianka zmrużyła zalotnie oczy i, obrzucawszy twarz porucznika wzrokiem pełnym zaciekawienia,—zagadnęła cicho:

— Tak więc bardzo mnie kochasz?!..

To pytanie, jakby kosą podcięło wyniosłą postać Raczyńskiego i do nóg hrabianki pochyliło. Porucznik chciał rzec, chciał wyrzucić z siebie uczucia, które nim targnęły w odpowiedzi na słowa Beatryczy, lecz głosu dobyć nie mógł. Rozpaloną głowę przytulił do jej rąk i poruszał spieczonemi wargami. Hrabianka zanurzyła swe drobne paluszki w pierścienie czupryny Raczyńskiego i szeptała, drocząc się:

— Więc kochasz, kochasz?!..

— Beatryczo, czemu mnie pytasz?!—wybuchnął porucznik. — Chcesz zakłębć, chcesz przysiąc? Nie dość ci, że mnie widzisz korzącego się przed tobą? Czy ty nie słyszysz tej burzy... jaka w mej piersi gra?!.. Nie wierzysz temu urokowi, który skrada się tu, do izby, i ściela swoje całuny?!.. Dobrze mi — tak dobrze!.. Ty mówisz, bym szedł! Byłbym się odalił! Możnaż duszę połowić? Przecież niczego nie pragnę — daj mi tak u stóp twych zostać i czasem poglądać jeno!..

Hrabianka pokręciła smutnie głową.

— Trzeba być rozważnym, trzeba pamiętać, jeżeli nie o sobie, to o tej, która cię kocha!.. Trzeba ją ratować, trzeba jej nie dać zginać!

— Uciekajmy stąd! Uciekajmy natychmiast.

— Posłuchaj mnie! A gdybym ja zażądała od ciebie ofiary pewnej, gdybym była zniewolona prosić cię o pomoc?..

— Czyż nie jestem przy tobie, czyż nie dlatego chcę być i pozostać?..

— Nie—nie! Chcę, abys opuścił służbę!

— Z tem przychodzę!

— Tak — lecz, abys przyjął jednocześnie drugą!..

— Jaką?!

— U mnie!..

Szczęście rozbłyszczyło oczy Raczyńskiego.

— Beatryczo... śnię chyba?!

— Nie, to rzeczywistość, ale nie taka z początku łatwa ta służba! Ale tylko z początku!.. A potem—potem awans wielki, raptowny!..

Raczyński kołysany głosem hrabianki—gorzał. Kłął się iść na przebój, deklarował się na wszystko. Beatrycza jeszcze jakby wahała się, jeszcze wątpiła, a w końcu ozwała się raptownie:

— A wieszże ty — kim jestem?!

— Beatryczo! — odrzekł z wyrzutem porucznik—dla mnie zawsze jedną będziesz!..

— Jestem Włoszką!

— Twoja ojczyzna będzie drugą moją!..

— Jestem na usługach austriackiego sztabu!..

Raczyński drgnął lekko.

— Spodziewałem się tego! — rzekł cicho.

— Chcę, abys mi pomógł!..

— Cóż mam uczynić? — zagadnął cicho Raczyński.

— Odwieszysz raport mój generałowi Bronovacky'emu i udzielisz mu wiadomości o stanie Częstochowy!..

Porucznikowi pot kroplisty wystąpił na czoło—spojrzał na hrabiankę pomieszany wzrokiem i wybełkotał z trudem:

— Mam iść tam — do obozu nieprzyjacielskiego?!.. Zdradzić... wydać... zaprzedać!..

— Mówiłeś, że mnie kochasz?!

Raczyński porwał się na równe nogi.

— Beatryczo!.. Zaco mnie dręczysz — zaco na takie skazujesz katusze!.. Zdradzić?.. Nie! Nigdy!

Hrabianka uśmiechnęła się gorzko.

— Ty nazywasz to zdradą?!

— Innego pojęcia nie widzę!..

— Powiedz raczej jedynym waszym ratunkiem!.. Zastanów się—pomyśl spokojnie—któż to chce się porwać na armię cesarską?.. Wy?! Z czym?!.. Z kilku tysiącami ochotnika! A wiesz, co się dzieje?..

— No, przecież Napoleon...

— Zaatakowany ze wszystkich stron—wojska austriackie są już w Bawarii, armia włoska odcięta i zdziesiątkowana! Anglia tysiące posiłków

wiezie do portów hanzeatyckich!.. Daremne są wasze rachuby — jedyny ratunek, przyjąć sercem podawaną wam przez Austryę rękę, zaufać zaręczeniu arcyksięcia i iść z nim. W sojuszu tym nie znajdziesz może złudzeń, lecz zato trwałą rękojmię bytu, ładu! Za jednym zamachem chronicie się od klęsk grożącej wam wojny i jednacie sobie przychylność, wdzięczność nawet dworu wiedeńskiego!..

— Beatryczo, nie mów tak do mnie! Jam nie polityk żaden! Moje mniemanie nie tu nie znaczy!

— Mylisz się! Ty właśnie możesz bardzo wiele... bylebyś chciał!

Raczyńskiemu zimny pot wystąpił na czoło — hrabianka ciągnęła dalej ze wzrastającym zapalem:

— Masz sposobność wzbicia się ponad tłum, masz okazję wyróżnienia, pozyskania stopnia! Kocham cię! Dziwi cię, że mam dla ciebie ambicję?..

— Nie rozumiem jej! Widzę tylko zdradę — zdradę na zgubę fortecy, która, do czarta, nie stanowi jeszcze o całej ziemi!..

— Rozdrażnienie nie pozwala ci myśleć trzeźwo! O cóż tu idzie?.. Czy sądzisz, że gdybym zażądała... twój komendantby się zawahał, że miałby tak wygórowane skrupuły?

— Nie mów mi o nim!..

— Onby się nie namyślał! Jeżeli ja udaję się do ciebie—to dlatego jedynie, żeby poddanie Cze-

stochowy twoją, a nie jego było zasługą... żeby sztab austriacki ocenił twoje zdolności, żeby cię inni nie ubiegli!..

— Tak, tak, może! Ale niech lepiej inni! Ja chcę rzucić ten mundur i pójść za tobą... lecz wracać tutaj...

— Po mnie! — dodała z naciskiem hrabianka.

— Wracać z piętnem hańby na czole... wracać jako sprzedawczyk... Beatryczo, miej litość!..

— Ty jej nie masz raczej nade mną! Przesa-dzasz w skrupułach, wahasz się przyczynić do tego, co inni robią jutro bez ociągania... bez zakłęb... Sądziłam, że one coś dla ciebie znaczą!..

Porucznik łamał się, a palce kurezowo zaci-skał, hrabianka dokończyła z goryczą:

— Zawiodłam się!.. Zbyt bliską granicę znalazłam dla twych przysiąg...

— Nie potępiaj mnie, wysłuchaj! Nie znasz, nie rozumiesz mego położenia—nie pojmujesz gro-zy, która na moją głowę spaść może!.. Słuchaj — osądź!..

Raczyński odetchnął ciężko i jął mówić ury-wanym głosem:

— Moje nazwisko jest ci obcem... nie wiesz więc, iż doń zdołano już przyczepić piętno zdra-dy! Ród mój stary... możny, nawet bardzo... W ubiegłym stuleciu brat mego dziada do wiel-kich doszedł zaszczytów... a syn jego był jednym z najpierwszych dygnitarzy dawnej Rzeczypospo-litej. Ziemia nasza przechodziła ciężkie chwile

rozprężenia. Ścierały się partye, walczyły między sobą, szukały sprzymierzeńców, każda innego chwytając się oparcia, a wszystkie jedna podobno nurtowała ambicją. Nie mnie sądzić, czy ów krewniak mój blizki błdził, nie potrafię powiedzieć, co pchnęło go do zajęcia tego właśnie stanowiska. Mimo bogaćstwa, mimo tłumy służalców a pochlebców — hańba zrosła się z naszym nazwiskiem.....

Po trzykroć zbierałem się w drogę, chcąc wywędrować w obce kraje i tam osiąść, po trzykroć budziła się we mnie zapamiętałość, aby tu zostać i tu zasługami kłam zadać oszczercom, którzy, nie bacząc, że za winy niepopelnione odpowiadać nie mogę — ścigali mnie szyderstwem... W końcu przemożem się i zaciągnąłem się do pułku... ilem zniósł, nie będę ci opisywał. Widzisz tę szramę nad okiem — a ślad ten cięcia na policzku — to ślady pojedynków, ślady protestów. Szedłem na przebój — a chcąc zejść z oczu Warszawy, przystałem chętnie do szwadronu, który przeznaczony był na garnizon do Częstochowy, nie spodziewając się, że na takiego trafię Stuarta... Leczyć to snąć mojem było przeznaczeniem! Wiesz teraz — rozstrzygaj!..

— Serdecznie boleję! Podobne tragedye w każdym zdarzają się kraju! Tem gorzej, gdy kto tak gorąco bierze je do serca, jak ty!.. Ale, nie rozumie, skąd w tej chwili wszystko to staje ci przed oczyma!..

— Bo chcę cię przekonać, że co dla innego byłoby błahostką — dla mnie jest niemożliwością — że najlepszych intencji, najgodziwszych zamiarów moich nikt nie będzie rozpatrywał, że cię wystarczy, aby mnie za łotrą ogłoszono, aby na mnie spadły wszystkie błędy przeszłości!.. Myślisz... że oni tam już nie szepcą, myślisz, że ten klecha nie posadza mnie, myślisz, że nie posadza dlatego, iż się nazywam Racyński?!..

Beatrycza wyprostowała się dumnie.

— Więc na tem skończymy naszą rozmowę!.. Dłużej nalegać nie śmiem!..

— Beatryczo, co znaczy ten ton zimny...

— Nie! Czas na mnie!.. Zobaczymy się kiedy indziej!..

— Nie pójdę stąd! — rzucił z wybuchem porucznik.

— Jak ci się podoba! — odparła obojętnie hrabianka. — Mogę ja ustąpić!..

— Nie odejdiesz!

— Ha, więc zostanmy!

Racyńskiemu krew uderzyła do głowy.

— Pójdziemy, ale razem!.. Słyszałaś?!.. Ty i ja musimy uciekać natychmiast!..

— Co do mnie, jesteś w błędzie — masz złe wyobrażenie o rycerskości swego komendanta!..

Porucznik osunął się na ławę i ukrył twarz w dłoniach.

— Okrutna, stokroć okrutna! — jęknął z wyrzutem. — Nie masz serca, nie masz pomiarkowania, takąż twoja miłość, takież kochanie!..

Hrabianka rzuciła się, jak raniona lwica. Oczy jej rozgorzały piekielnym ogniem.

— Ty... ty... ważysz się do mnie w podobny sposób przemawiać — ty mi śmiesz mówić o kochaniu? Chyba siebie! Ja mam ci ufać, mam wierzyć... Kiedy ty dobrowolnie odpychasz szczęście. Kiedy nie możesz się zdobyć na krok dla ściągnięcia tego szczęścia!.. Czy ci się zdawało, że ja potrzebuję twojej pomocy, że chcę użyć cię do swoich celów?!.. Zasłепiony!.. To przełożenie moje, to tylko pragnienie, abym tobie a nie komu innemu zawdzięczała... to moja fantazja, to pragnienie przekonania się, dokąd sięga twoje poświęcenie, czy twoja miłość nie jest złudą! No i spotkał mnie gorzki zawód! Nie walczy ze swoim przeżulonym sumieniem! Stuart zrobi, co będzie trzeba, szybciej, lepiej!..

— Milez! Nie doprowadzaj mnie do rozpacz!..

— No, no—twoja miłość nie zabije ani ciebie, ani mnie!.. Chyba wytrzeźwi!.. Tyś dał się porwać słomianemu płomieniowi — a ja mu zawierzyla — to wszystko.

Raczyński padł do nóg hrabiance.

— Beatryczo moja, nie szarp mnie, nie obwiniaj! Uczynię wszystko, czego żądasz, tylko mnie nie odtrącaj!..

Hrabiankę pokora poręcznika wzruszyła.

— Widzisz, widzisz... niedobry, uparty krąbrny — mówiła swym śpiewnym, melodyjnym głosem. — Trzebaż było być takim nieposłusznym! A cóż ja teraz uczynię!.. Nie wolno mi przecież żądać od ciebie niczego — byś nie myślał, iż wy mogłam na tobie coś przez gwałt!..

— Nie! Nigdy! Beatryczo! Błagam jak o łaskę... Pójdę, gdzie trzeba... uczynię wszystko... byle ci dowieść mego przywiązania!..

— Ha, jeżeli... chcesz tego!..

III

Stuart, po rozprawie z *sir* Jakóbem pod drzwiami Beatryczy, powrócił do siebie rozdrażniony. Po kilkakroć starał się samemu sobie wytłomaczyć całą śmieszność nieporozumienia, oddawał sprawiedliwość perswazyom kuzyna, wyrzucał sobie zapalczywość, drobiazgowość, a mimo to nie mógł oprzeć się zgorzknieniu, które mu dokuczało. Dzień rozpoczęty tak uroczyście, tak szczęśliwie, wydał mu się w zakończeniu cierpkim, gorzkim prawie.

Komendant nadto, po tej odprawie u hrabianki—zaciął się i powiedział sobie, że teraz ona powinna do niego przysłać, powinna go wezwać... Stuart nietylko był pewnym, że mu się takie zadośćuczynienie od Beatryczy należy—lecz przytem wierzył, iż go spotka bezwątpienia. W tem przekonaniu zasiadł nad papierami, oczekując pojawienia się panny służebnej.

Mijały godziny. Komendant coraz niespokojniej poglądał ku drzwiom, nikt nie przybywał. Stuarta zmora jakaś dręczyć zaczęła.

Może służebna nie uprzedziła hrabianki?.. Może ona tam czeka równocześnie na niego?.. Może jej powtórzono rozmowę z *sir* Jakóbem?.. Może czuje się także obrażoną!?..

Komendant jeszcze czekał, jeszcze nasłuchiwał, jeszcze spodziewał się. Chwilami brała go ochota zrzucić pychę z serca i pójść do Beatryczy—lecz draśnięta miłość własna zatrzymała go, przykuła do miejsca. Każda minuta jęła podniecać wzburzenie, potęgować żal, wzmacniać zawziętość.

Stuart chciał zająć się rozpatrywaniem raportów, chciał przystąpić do nakreślenia długiej relacji dla głównego sztabu, chciał myśli chmurne rozproszyć, chciał skrócić chwile niepewności—daremnie. Jedno i toż samo uczucie przenikało go, wstrząsało, odbierało mu ochotę do pracy i coraz to ciemniejsze kreśliło obrazy. W końcu tak skuto jaźń komendanta, że gdy we drzwiach izby stanął wyciągnięty, jak struna, ordynans i zameldował służbowego kapitana—Stuart ledwie zdołał skinąć głową na znak, żeby kapitan wszedł.

Był to Celiński.

Komendant zmierzył kapitana niepewnym wzrokiem i wyjąkał z trudem:

— A, to pan?!..

— Tak jest, komendancie!.. Mam honor zameldować objęcie nocnej zmiany przez czwartą kompanię drugiego batalionu...

— Jakto? Co?!.. Nie rozumiem!?

— Północ—komendanciel!..

— Północ! Już północ — szepnął nawpół do siebie Stuart, rozumiejąc, że teraz już dłużej łudzić się nie może, aby Beatrycza go wezwała.

— Masz co do rozkazania... komendancie!?

— Ja? Nie. Masz rozpis!..

— A wyrok!?—zagadnął głucho Celiński.

— Według rozpisu!—uciał krótko Stuart.

Celiński spuścił głowę i, targając srebrny galon kaszkietu, rzekł niepewnym głosem:

— Bo... mówiono... że może dodatkowe śledztwo... może Cybiński, przyszedłszy do siebie poczyni dodatkowe zeznania!.. Osłabiony jest... bardzo!..

Komendant szarpnął się gniewnie.

— Dosyć!.. Powiedziałem... rozkaz!..

Celiński skłonił się i wyszedł. Stuarta żal chwycił za gardło. Chciał był zawołać na kapitana, chciał był zmienić rozkaz, odwlec wykonanie wyroku, lecz brakło mu siły, brakło woli. Krzywda, którą mu wyrządziła Beatrycza, wydawała mu się tak wielką, tak głęboką, że ciemną padła mu w serce i przysłoniła wszystkie jasne porywy. Komendant rozumiał, że popełnił okrucieństwo, że odtrącił z całą samowiedzą przysługujące mu prawo wstrzymania egzekucyi, że postanowieniem swem zadawał kłam własnemu przekonaniu, że przed kilku godzinami myślał inaczej—lecz ponury bunt mówił doń, że nie powi-

nien rządzić się względami, że i jego spotykają rozczarowania, że kiedy on cierpi — cierpieć muszą inni.

Komendant ułożył się i próbował usnąć, lecz rozdrażnienie nurtowało go coraz gwałtowniej. Piękna twarzyczka Beatryczy jawiła mu się co chwila i wabiła ku sobie — lecz ilekroć komendant był blizkim uspokojenia się, ilekroć zdołał przekonać samego siebie o bezzasadności swoich przypuszczeń—tylkoć ukazywała się tuż obok Beatryczy — krwią zbiedzona głowa Cybińskiego, patrząca ku niemu matowemi oczyma.

Komendant tłumaczył samemu sobie, iż nie pierwszy raz zdarzało mu się stanowić na sądzie polowym, że w tym razie idzie tylko za głosem obowiązku, że stan wojenny niewoli go do surowości—mimo te wywody jednak wyrzuty dręczyły go nie przestawały.

Gdy sen nie nadchodził, a myśli gorączkowe coraz silniej dokuczały, Stuart zwlókł się z posłania, zarzucił płaszcz i wybiegł na podwórzec klasztorny, szukając zmęczenia, wyczerpania, któreby mu sklepiło powieki, dało choć kilka godzin wypoczynku, spokoju.

Komendant zatrzymał się, przed domem spojrzął ku ciemnym oknom kwatery Beatryczy i beżmyślnie skierował się ku zabudowaniom przylegającym do kościoła. Załedwie atoli uszedł kilkadziesiąt kroków — gdy tuż prawie mignął mu się biały habit zakonny. Stuart przetarł nie-

spokojnie oczy—habit zniknął. Po pewnym czasie znów w przeciwnej zupełnie stronie dostrzegł białą postać, ledwie rysującą się w mrokach nocy. Komendant byłby przysiągł, iż ma przed sobą którego z ojców paulinów. Ciekawością zdjęty przyspieszył kroku, lecz i tym razem postać znikła mu z przed oczu.

Stuart próbował zastanowić się, coby znaczyły te nocne wędrówki zakonników, gdy tuż około niego rozległ się poważny głos przeora paulinów.

— Dobrze, iż cię spotykam panie komendancie!..

— To wy, ojcze?—rzekł z odcieniem zdziwienia Stuart.

— Dziwi to waszmości!.. Czasem trzeba—szedłem do ciebie i przemyślałem właśnie, jak się do ciebie dostać!.. Ale i ty czuwasz!..

— Trzeba... trzeba!.. Służba!—odparł wymijająco komendant.

— Masz słuszność! Dobrze czynisz!.. Przeczorności nigdy nie za wiele... a teraz szczegółniej!..

— Hm! Tak—tak... Ale wy, ojcze?!.. Widziałem was z daleka, przed chwilą, nie poznałem... nawet szedłem za wami, lecz zniknęliście mi z przed oczu!..

— Mnie widziałeś?.. Idę prosto z refektarza!..

— Widziałem was tu, od strony bramy... nawet mnie to zastanowiło!..

Przeor potrząsnął głową.

— Mylisz się, komendancie!..

— W takim razie ktoś z ojców...

— Niepodobna—wszyscy są w celach... ostatni wrócił ojciec Floryan!..

— Może mi się zdawało!..

— Mości komendancie... za nie ręczyć nie można!.. Sam nie rozumiem!.. A może!..

Stuart nie odpowiedział. Przeor milczał przez chwilę, a potem zagadnął znienacka:

— Powiedz mi, mości komendancie... jakie masz mniemanie o poruczniku Raczyńskim?!

Komendant drgnął z lekka, dotknięty niemile.

— Raczyńskim?!.. Nie rozumiem, o co zapytujesz ojcze!

— Chciałbym wiedzieć!.. Podkomendnych swoich musisz wszak znać!

— Zapewne!.. Ale Raczyńskiego najmniej!.. Odkomenderowali go do mnie niedawno!.. Choć owszem, oficer dosyć sprawny!.. Wydaje mi się być pysznym i zarozumiałym—lecz ja, przyznam ci się, ojcze... uwagi na to nie zwracam!.. Panicza trzymam krótko, grymasów stroić nie pozwolę!.. W Warszawie mogli go głaskać i pieścić—lecz u mnie służba!..

— Więc jesteś z niego zadowolonym?!..

— Czy zadowolonym?!.. Nie narzekam, bo słuchać musi!.. No, ale, jeżeli mam powiedzieć prawdę... to go nie lubię!..

— W takim razie—rzekł cicho przeor—omyliłem się w domysłach, bo mnie właśnie zdawało się, że to oficer, do którego żywisz wyjątkowe zaufanie!..

Stuart roześmiał się szczerze.

— Zaufanie do niego!.. Ojcie— a cóż za zaufanie?!.. Nie znasz widocznie tych panów oficerów z „pod Blachy...“ Grać, pić, tańczyć, brząkać ostrogami, dzwonić pałaszem, to potrafią... lecz zresztą, to żal się Boże!.. Ledwie z plutonem taki daje sobie radę!.. Doświadczenia ani poświęć, o rozagę nie pytaj!.. Młokosy—dzieciuchy!.. W legii takiby wachmistrzem nie mógł zostać, a cóż dopiero porucznikiem!..

— Nie przeczę—tylko, moi komendancie—wojskowe talenty co innego, a zaufanie co innego!..

— Ojcie!.. Skądże ja do Raczyńskiego?... Przeciwnie, mam go nawet na oku, bo mi panicz psuć się zaczyna!.. Lecz do czego zmierzacie? Idzie może o wstawiennictwo! Ja go nie znam ani dla siebie ani dla innych! Niech się dystinguje, niech słuca, a promocje go nie miną!..

Przeor zniżył głos.

— Czy on dziś jest na służbie?!..

— Raczyński?!.. Raczyński... nie!.. Z pewnością nie!..

— Więc daliście mu ordynans?!..

— Żadnego!..

— Myślałem — bo... w Częstochowie go nie ma!..

Stuart wzruszył ramionami lekceważąco.

— Wolalbym może, żeby go nie było—ale jest... jest z pewnością!..

— Nie komendancie!—Wyszedł i to wyszedł tak, że byłem przekonany, iż dla ważności ordynansu wskazałeś mu przejście potajemne!..

Komendant zagryzł wargi — upatrując w słowach przeora przymówkę.

— Jeżeli to uczynił, to w istotnej potrzebie!.. O Raczyńskiego nie ma się co troszczyć!.. Bądź ojcie spokojny—on nie zginie i nie zginął!.. Późno już!.. Niepotrzebnie trudiłeś się, ojcie! Cenię wielce życzliwość... lecz tu nie brak tych, co zważają!..

— Pozwól, komendancie!—odpowiedział zimno paulin. — Jam nie dlatego szedł do ciebie!.. Chciałem... przypomnieć ci tylko o ochotniku, skazanym na rozstrzelanie...

— Wiem — pamiętam!..

— Tam czynią przygotowania!

— Mają rozkazy!

— Lecz ty, moi komendancie, mocen jesteś je zmienić!..

— Nie moja rzecz!.. była rozprawa, był sąd!..

— Jednakże sąd mógł się pomylić!.. Mógł!..

Stuart poruszył się niecierpliwie i przerwał zimno.

— Więc na niego spadnie odpowiedzialność! Ja nie mam prawa wątpić o wyroku!..

— Ale ty jeden masz władzę zawiesić go, odwleć!.. Mości komendancie, ma się wasza obro-
na poczynąć od rozlewu bratniej krwi!

— Obrona!—rzucił opryskliwie Stuart.—Bądź ojeze spokojny, nie będzie tu ani obrony żadnej—ani napaści!.. Austriacy tego honoru nam nie uczynią!.. Nie mają się poco trudzić!

— Daj Boże, aby twoje wróżby się sprawdziły—odparł spokojnie przeor.—Byłoby to szczęściem dla nas, znakiem, że nasze modły znalazły przystęp do tronu Najwyższego!..

— Zapewne, zapewne!—mruknął komendant.—Przekonasz się ojeze... a teraz!..

— Jeszcze jedno słowo!..

— Słucham, proszę!..

— Nie dawaj tego ochotnika na zgubę!..

Stuartowi wydało się nieprzystojnem uleść namowom przeora—on, który był się niedawno sam skłaniał ku względności—teraz zaciął się i postanowił nie odstępować od litery wojskowego prawa.

— Zaniechajże ojeze przekładać mi!—ozwał się stanowczym tonem—nie jam go skazywał, nie ja go będę ułaskawiał!

— A gdyby był niewinnym?

— Zbyt śmiało przypuszczenie! Gdyby nawet— to sąd polowy jest zawsze rozgrzeszony!

Lepiej, aby dziesięciu niewinnych zginęło, niżby jeden łotr miał ująć kary!

— Mnie zdawało się dotąd, że należałoby czynić przeciwnie!

— I słusznie. Co innego habit, a co innego mundur! Dobranoc wam, ojeze.

Nie czekając na odpowiedź przeora, Stuart otulił się mocniej płaszczem i poszedł do kancelaryi.

Spotkanie z paulinem odjęło komendantowi resztę równowagi. Był zły na siebie, na Hana, na sztab, na Beatrycę, na przeora, na jego nieznosną powagę i mieszanie do nieswoich spraw, na los, który go tu zapędził.

Stuart znów próbował usnąć—oderwać się od dręczących go myśli, lecz zaledwie nad ranem zdołał zmrużyć ociężałe powieki.

Wystrzał armatni obudził komendanta i porwał na równe nogi. Stuart obejrzał się zdumiony po swej komnacie, jakby chcąc się upewnić, czy go słuch nie zawiódł, lecz wtem rozległ się drugi wystrzał, trzeci...

Komendant jął pośpiesznie wdziawać mundur, w głowę zachodząc, co mogło dać powód Celińskiemu do alarmujących wystrzałów—gdy naraz on sam wpadł, jak wichra, do komnaty Stuarta.

— Co się dzieje?!..

— Panie komendancie... nieprzyjaciel nadciąga pod Starą Częstochowę!..

— Co waćpan?!.. Tu, do nas?!..

— Tak jest, komendancie!.. Patrol ułanów przywiózł tę wiadomość przed godziną!.. Dla upewnienia się wysłałem podjazd!.. Idą!.. Za chwilę będziemy ich mieli pod murami!..

Stuart uszom własnym nie wierzył—zbyt milczeniem raport Celińskiego i, przypasawszy pas, wybiegł na mury forteczne. Kapitan podążył za nim.

Komendant powłókł dokoła wzrokiem, a nie dostrzegłszy ani śladu zdradzającego nadejście Austryaków — odetchnął swobodniej i zagadnął surowo:

— Mości Celiński! Czy waszeci zbyt gorliwość nie uniosła!..

— Podporucznik Kwiatkowski widział na własne oczy!..

— Podporucznik! Należało kogoś ze starszych wysłać!.. Strach ma wielkie oczy!..

— Austriacy ciągną!

— Ale dokąd? — rzucił niecierpliwie komendant.

— Widziano ich na drodze od Koziegłówek!..

— Wiem o tem od czterech dni!—Niepotrzebny alarm!.. Wydałeś jakie rozporządzenia?..

— Według twego rozpisu, komendancie!.. Gwardye narodowe z Kłobucka, Krzepic, z pod Świętej Barbary ściągnięte... pod Starą Częstochowę!.. Kapitan Godlewski jest już na stanowisku pod Stradomiem, czeka na rozkazy!..

Stuart zachnął się.

— Do pioruna, mieliście mnie nie o milę! Gorączka, zapaleczliwość, brak rozważli! Trzeba mnie było obudzić, a nie rządzić się! Poptoch bez racji należytej!.. Nawet w razie niebezpieczeństwa pierwsza rzecz wytrzymać, nie przesadzać w pośpiechu... Widzisz, co się dzieje na przedmieściu?.. Patrz, ciżba ludu już się zbiła w masę wylekła!.. Ładują wozy!.. Masz rezultat!.. Niechby tak prawdę ukazał się nieprzyjaciel—Godlewski byłby bezwładnym!.. Spodziewałem się od waćpana większego zastanowienia!..

Celiński zagryzł do krwi wargi.

— A... jakże dziś... w nocy?—zapytał głucho komendant.

— Nie komendancie... było spokojnie!..

— Nie o to pytam; miałeś do wykonania rozkaz!..

— Właśnie odebrałem raport od wachmistrza... Barcikowskiego...

— Co? od wachmistrza?! — rzucił porywczo komendant.—Jako?!.. Nie byłeś obecnym?..

— Nie, komendancie!.. Właśnie... patrol przywiózł był wiadomość!..

— Wasze rządy!.. Piękne!.. Niema co mówić!.. Nie tłumacz się asan! Czego sam nie dojrzysz, tego nie masz!.. Zapomniałeś, że prawo wymaga, aby przy egzekucji był obecnym jeden z sędziów?...

— Wyrok spełniony!..

— Nie na to odebrałeś rozkaz, abyś się wachmistrzem wyręczał! Tego należało pilnować, a nie szukać wiatru w polu i strzałami okolicę straszyc!.. Nieprzyjaciół, jeżeli ciągnie, to do czarta, jest tu aż nadto spodziewany!.. Nawet za wiele!..

— Zdawało mi się!..

— Nie ci się zdawać nie powinno! Instrukcje są wyraźne na wszystko!.. Miałeś drogę do mojej kwatery!.. Nieprzyjaciół!..

Celiński poczerwieniał i ozwał się śmiało, wskazując ręką ku bielącej się w dali drodze:

— Jest... panie komendancie!..

— Co znów?! — oburknął gniewnie Stuart.

— Weź komendancie lunetę!

Stuart spojrział we wskazanym kierunku i drgnął z lekka. Na drodze widać się wstęgą ciemną, błyskająca od czasu do czasu stalowym grzbietem bagnetów, podzielona na równe dzwona... Wstęgą płynęła wolno, skradając się ku Jasnej Górze... Naraz rozpadła się na części i rozlała się w równe czworoboki, zatoczyła półkole i sierpem rozwartym iść zaczęła.

Komendant milczał przez chwilę, zaskoczony niespodziewanym widokiem—w końcu rzekł cicho, hamując wzruszenie:

— Prawda!.. Nieoczekiwany gość!.. Zobaczysz!.. Zobaczysz!.. Taki honor!.. Będzie tego... korpus cały!.. Kapitanie!.. Szymanowski i Han niech się stawia u mnie zaraz!.. Tymczasem nie—

niewiadomo, co nam powiedzą!.. Więc to Bronovacky?!..

— Tak jest, komendancie!..

— Patrzaj!.. Dotrzymuje przyrzeczeń!.. Hm!.. I my będziemy słowni!.. Zapewne,—miałeś słuszność... Alarm był potrzebny... pomawiałem waszmości o zapaleczność — nie to!.. Czasem tak się składa!.. Prą naprzód!.. Daj znać Godlewskiemu, żeby bez sygnału... nie wszczynął potyczki!..

Celiński oddalił się.—Stuart stał jeszcze i wpatrywał się w linie rosnących w oddali szeregów nieprzyjacielskich.

Tymczasem strzały armatnie zaalarmowały całą Częstochowę. Stojące w pogotowiu kompanie piechoty zajęły mury, kanonierzy pod wodzą porucznika artylerii Wiśniewskiego opatrywali po raz ostatni działa i z zapalów ściągali skórzane kaptury, w koszarach gotowano się do wystąpienia na pierwsze wezwanie, pracująca wspólnie z saperami gwardya narodowa z podwójnym zapalem jęła ostatnie czynić przygotowania. W okienkach wieży Jasnogórskiej ukazały się habity ojców paulinów, przeglądających ze zgrozą na nadciągające czworoboki Austriaków. Służba darła się na dachy i dymniki—oficerowie biegli na wały, bądź kompanii swoich szukając, bądź rozkazów. Pod Starą Częstochową gorączkowe dźwięki trąbki i ponury wtór bębnow dawały znak, że Godlewski czuwa na swym posterunku. Za Starą Częstochową odezwały się pikiety pod Świętą

Barbarą, Świętym Jakóbem i Stradomiem—a z dali, niby odzew, iść zaczął groźny pomruk pobudek nieprzyjacielskich.

Stuart ledwie sobie sprawę zdawał z tego, co się działo. Był tak wczoraj jeszcze pewnym, że Austryaków nie doczeka, był tak głęboko przekonany o trafności swych przypuszczeń, że na razie ochłonąć nie mógł z podziwu, ze wzruszenia.

Przyszli więc — a sądząc z długiego łańcucha pociągów — przyszli nie na dzień, nie po to, aby odejść z niczem!..

Komendantowi stały przed oczyma wszystkie dawne obawy — czy oprze się naporowi nieprzyjaciół, czy zdoła przetrzymać oblężenie. A jeżeli Austriacy rozpoczną bombardowanie, a wezmą się do aproszów, jeżeli przyjdzie im ochota bodaj połowę tego korpusu użyć do prawidłowego oblężenia?!.. Może od razu pójdą do szturmu!.. Jeden, drugi i trzeci nawet Częstochowa wytrzyma, lecz potem... Co będzie potem?!..

Stuart zasępił się. Widma głodu, nędzy i zaraży zbyt dobrze mu były znane, aby ich miał się lękać! W tych dociekaniach nie szukał nawet punktu wyjścia dla siebie!.. Na myśl mu nie przyszło zastanawiać się nad wyborem drogi, której trzymać się zamierzał — lecz drżał o Beatrycę! Wyrzucał sobie samolubstwo w tem tak łatwym zgodzeniu się na pozostanie hrabianki w fortecy, pomawiał się o brak woli, brak męskiego hartu

i wstydził się swego zaślepienia. Od dwóch dni wszak prawie ręce opuścił, od dwóch dni dał się wodzić złudzeniu, dał usnąć swej czujności. Zmarnował dwa dni ostatnie przed przyjściem nieprzyjaciela, dwa dni najważniejsze strawił na wodzeniu się o tego zastrzelonego łotrzyka... na własnych sprawach wreszcie...

Komendant dźwignął ociężałe ramionami i, spojrzawszy raz jeszcze ku manewrującym w dali oddziałom austriackim, chciał był rozpocząć czekającą go grę od przeglądu baterii, gdy wtem na ramieniu uczuł dotknięcie delikatnej rączki.

Stuart odgadł Beatrycę, a przypominawszy sobie wczorajsze nieporozumienie, udał wymuszoną grzeczność.

— A... to ty?!.. Nie spodziewałem się!..

— Gdzie się podziewasz? Co się z tobą dzieje?! — ozwała się z właściwem sobie ożywieniem hrabianka. — Czekałam na ciebie!.. Uraziłeś się podobno o to, że chciałam ci się wydać ładniejszą... Zawsze gwałtownik!.. Wszystko u ciebie musi być jak na mustrze—inaczej dasy!.. Poczekaj, jeszcze odrobina cierpliwości, to przyjdzie... przyjdzie powoli!..

Stuart oczarowany potokiem serdecznych słówek, tonem lekkiej a tak miłej wymówki — wstydził się. Jego cała pretensja wydała mu się śmieszną, dziką.

— Beatryczol — wyjąkał zmieszany tem tak jasnym spostrzeżeniem.—Zdaje ci się! Ja? urażony

na ciebie?.. Mogłaś w to uwierzyć? — nigdy!.. Byłem zajęty bardzo!.. Nic nadto!..

— Wierzę ci, wierzę!.. Lecz cóż się tu dzieje?!

— Mamy Austryaków pod murami prawie! — rzekł Stuart, podając hrabiance lunetę.

Beatrycza z zajęciem przyglądała się wojsku, nie zdradzając najmniejszego wzruszenia.

— Prawda... prawda!.. Cała armia... Widzę wybornie pióropusze oficerskie!.. Ustawiają broń w kozły!.. A tam chyba, na lewo, musi być sam dowódca!..

Komendanta obojętne uwagi hrabianki dotknęły nieco — pragnąc więc przerwać jej dziecinną ciekawość rzekł poważnie:

— Tak, Beatryczo!.. Stoimy u progu może dni bardzo ciężkich, bardzo smutnych!..

Hrabianka parsknęła śmiechem.

— *Gaetano!* Skąd ci się bierze taka grobowa mina!

— Z doświadczenia! Niema się co łudzić!.. Rozprawa będzie ciężka... chyba, żeby przypadek zmusił ich do ustąpienia... Lecz na to liczyć niepodobna!.. Nie uwierzysz, jak mnie niepokoi twoja obecność... ilebym dał za to, gdybyś teraz znajdowała się daleko stąd w bezpiecznym schronieniu.

Hrabianka zwróciła swą promieniejącą twarzyczkę do komendanta, podniosła z grymasem brewki i zapytała, tłumiąc w krtani kaskady śmiechu:

— Więc ty istotnie masz ochotę się bronić!?! Ależ... nie krzyw się, lecz to doprawdy... dziwne!.. Bronić się... tu?!.. Z tą gromadą niezdarów!?! *Gaetano*, ty chyba żartujesz!..

— Do żartów nie mam wcale ochoty, a szczególnie do takich, jak twoje teraz!..

— Z tobą niepodobna czasem pomówić szczerze!.. Gniewasz się!?! Ja przecież na miejscowości się nie znam — mówię, bo mi się tak wydaje, że przecież niepodobieństwem byłoby stawić czoło...

— W otwartem polu — zapewne — odrzekł gorąco komendant. — Ale tu, w murach, przekonasz się!.. Nielada orzech będą mieli do zgryzienia!.. Dobrze poszczerbią sobie szeregi!..

Hrabianka pokręciła lekceważąco główką.

— Wierzę, wierzę... znam cię nie od dzisiaj! Ale jak wezmą na opór — kto wie!..

— Wszystko jest możliwe! Wojna umie gotować niespodzianki!.. Niebezpieczeństwo jest!.. Mogą bodaj głodem nas wziąć!..

— Na moje zatem wychodzi! — zawołała z tryumfem hrabianka.

— Nie rozumiem cię!

— No, że... szkoda zachodu na obronę!..

Stuart uśmiechnął się gorzko.

— Mówisz tak, jakbyś za nic miała mundur, który noszę!..

— Nie, nie, kuzynie! — rozległ się za plecami Stuarta pojednawczy głos *sir* Jakóba. — Beatry-

cza mówi tylko jak dziecko, nie mające wyobrażenia o obowiązujących żołnierza ustawach!

— Za pozwoleniem!—broniła się hrabianka.— Właśnie, że mam dobre wyobrażenie!.. Jeżeli wspomniałam o poddaniu, to jedynie dlatego, że będąc komendantem, wolałabym być w otwartym polu... tam przynajmniej jest swoboda ruchów... jest jakiś rozpęd — podczas gdy tu można być zamorzonym!.. Kapitulacya z bronią w ręku—to nawet jeszcze nie przegrana!

— Wcale nie najgorszy wniosek! — przyznał *sir* Jakób.

— Bezwątpienia!—przytwierdził komendant.— Ja pierwszy zgodziłbym się na zamianę stanowisk z Bronovaeky'm!.. Do fortecy nigdy nie miałem przekonania!.. Lecz poza mną stoi rozkaz! Rozkaz wyraźny!.. Odstąpić od niego wolno wówczas, gdy wszystkie środki do spełnienia go—zostaną wyczerpane!.. Do tego jeszcze daleko... Mamy prowiantu na dwa miesiące!..

— Jestem tego samego zdania! — wtrącił się *sir* Jakób.—Czas o tem myśleć!.. Nie wiadomo zresztą z czem Austriacy przybywają!

Stuart roześmiał się serdecznie.

— Wątpisz kuzynie o zamiarach Austryaków?..

— Zapewne!.. Przecież dotąd prócz zapowiedzi nie stało się nic!.. Mogą mieć najzupełniej pokojowe zamiary!..

— Nie mam nic przeciwko temu!—odparł zimno komendant.—O jednym mogę cię tylko zapew-

nić... że co do moich zamiarów... wątpliwości mieć nie będziesz.

Sir Jakób chciał się usprawiedliwiać—lecz Stuart ucałował rękę hrabianki i przerwał *sir* Jakóbowi z wyszukaną galanterią:

— Jestem pewien, że z ust twoich, kuzynie, mógłbym wziąć nie jedną cenną radę—teraz atoli nie mogę!.. Służba!.. Służba... tak nieznośna, że na dobitek zmuszony jestem prosić o ustąpienie z murów... i nie opuszczanie kwatery!.. Troska o wasze zdrowie niewoli mnie do tej surowości!.. Za godzinę, a kto wie czy nie wcześniej... może tu być...

— *Gaetano!*.. Cóż zamierzasz uczynić?!..

— Zbyt mało czasu, Beatryczo, abym mógł odprawiać dodatkową radę wojenną!..

Hrabianka pobladła z lekka. Ton komendanta drgał taką siłą woli, iż odbiegła ją wszelka ochota oporu. Skinęła więc na uśmiechniętego sarkastycznie *sir* Jakóba i rzekła z przekąsem:

— Wobec tak uprzejmego oświadczenia, wypada się poddać...

— To jedno nam pozostaje! — dorzucił *sir* Jakób, a skłoniwszy się komendantowi i odszedłszy z Beatryczą kilka kroków, upomniał z komiczną powagą.

— Mój kuzynie — tylko nie pozwól wybijać powitalnych wiwatów, bo Austriacy są dla twoich staruszek za daleko—a mury i tak kaducznie sypią!...

Stuart nie nie odpowiedział. Całą uwagę jego chłonęła znów armia nieprzyjacielska, gotująca się do dłuższego widocznego pobytu pod murami Częstochowy.

Komendant, przy pomocy lunety, z łatwością mógł się przyglądać wszystkim ruchom Austryaków, ruchom pewnym, szybkim, karnym, zamieniającym całe bataliony na jednolite cielska, świadczącym o wielkiej sprawności żołnierza, rozstrzygającym o jego wysokich zaletach.

Bronovacky śnać jawił się tu z planem gotowym, obmyślonym zawczasu. Korpus jego bowiem bez wahania, bez niepewności wykonywał zwrot za zwrotem, posunięcie za posunięciem.

Więc uformowawszy sierp, zarzucił jego ramiona po za Jasną Górę—a potem zacisnął krąg i zwarł końce ze sobą. Łańcuch placówek wewnętrznych i zewnętrznych, opasujących Częstochowę, wstęgi, wystąpił za jednym dźwiękiem trąbki za drugim adjutantci jęli wytykać obóz, za trzecim artyleria ustawiła się naprzeciw wieży klasztornej....

Stuart liczył. Korpus Bronovackiego miał z górą pięć tysięcy dobrze wyćwiczonych żołnierzy... Za mało miał może armat, bo coś komendant zdołał ledwie trzech baterii się dorachować—co na dwadzieścia ośm dział częstochowskich nie byłoby wiele—ale Bronovacki mógł mieć armaty dalekonośne, większego kalibru... I tak być musiało! Pytanie zatem, czyby artyleria klasztorna mogła odpowiadać i tym!.. Dalej, za korpusem

nadchodzić zaczęły pociągi obozowe, już zdala imponujące wielkością i ładem...

Komendanta aż zazdrość szarpnęła. Gdyby nie ten kurnik, gdyby nie to zamknięcie, potrafiłby inaczej przywitać armię nieprzyjacielską, nie dałby jej takich musztr odprawiać sobie pod nosem!.. W polu byłoby inaczej! Ha! Tu czekać wypadnie—dopóki Bronovackiego nie zdejmie ochota wysunąć jaki oddział na linię strzału!..

Stuart powłókł się wzdłuż murów, zniechęcony własnymi myślami i obserwacjami. Austryaków znał zresztą, nauczył się ich zwyczajów jeszcze w Italii. Oni wszak umieją po trzy i po cztery dni sadowić się, rozkładać obozy!.. A co tu—może i miesiące przesiedzą, zanim wezmą się do dobywania!.. No, miesiące—nie—boć do licha może im Davoust wejść na kark, ale co najmniej tygodnie!.. Ba! Gdyby jemu, Stuartowi, dano taki oddział, a kazano Częstochowę dobywać... to pewno miałyby już nielada wyłom do załatania!..

Przy armatach, około bramy głównej komendant zastał porucznika Wiśniewskiego, operującego z kanonierami przy lawecie wielkiego granatnika.

— A co poruczniku?! — zagadnął kwaśno Stuart.

— Rychtujemy, komendancie!

— Żeby tak można sięgnąć!..

— I ja tak myślę, chociaż tam, na prawo—ten galopujący pontonik konnicy... Kto wie!..

— Spróbuj dla przekonania!..

Wiśniewski skinął na kanonierów. Złożono nabój, zapalono lont.

Porucznik mierzył długo a cel podkręcał. Stuart niecierpliwił się.

— Nie marudź, poruczniku!..

— Obawiam się, że granatnik rwie w bok!..

Już gotowy!..

Wiśniewski przyłożył lont od zapalu—karta-czownica ryknęła ponuro, spowijając się kłębamii dymu...

Stuart ręką przysłonił oczy, chcąc rozpoznać skutek strzału.

— I cóż! Nic nie widać... gdzież się podzieli dragoni?!..

— Leżą pokotem!.. Koń się zerwał... Podoficer czołga się!..

— Wybornie! — zawołał z ukontentowaniem komendant.—Na dobrą wróżbę!.. Anim się spodziewał!.. A to mają niespodziankę!.. Widzisz jak cofają się całym frontem!.. No—no!.. A taki sobie niepozorny granatnik!..

— Jest ich dwadzieścia... tylko...

— Tylko co?!..

— Jabym się obawiał eksplozyi!..

— Więc naboje każ złożyć pod nasypem!.. Można ustawić gwardzystów do podawania!

Wiśniewski głos zniżył.

— Nie w tem rzecz, komendancie... armaty stare, wyrzuty słabe, trzeba racye prochu dawać po

nad miarę... inaczej do Stradomia byśmy nie sięgli!.. Spiż się zagrzewa!.. Po tym jednym strzale jak go rozpałiło!.. O gęstych salwach ani myśleć.

Komendant stropił się tą nowiną — było gorzej niż myślał!..

Tymczasem w austryackim obozie zgoda innego nabrano przekonania o artylerji częstochowskiej. Celny strzał granatnika, który powalił sześciu żołnierzy a śmiertelnie pokaleczył konie—wywołał wśród sztabu popłoch.

Bronovacky zwołał pod naprędcę rozpiętym namiotem radę wojenną, złożoną z trzech pułkowników i dowódcy artylerji i jednego generała brygady.

Radę rozpoczął pułkownik „Kajzer“—szwoleżerów ostrem przedstawieniem nikezemnego podejścia ze strony komendanta Częstochowy, który ważył się na wyzywający krok w chwili, kiedy korpus austriacki nie rozpoczął zdradzać żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, a zakończył żądaniem natychmiastowego szturm i ukarania gniazda szerszeni.

Bronovacky zbył przemówienie zapalczywego pułkownika zimną uwagą, że Stuart, bądź co bądź, wyzwanie był otrzymał, i oddał głos von Strauchowi. Ten okazał się powściągliwszym, bo poprzestał na wytknięciu kawalerji, że wbrew jego napomnieniom, jako dowódcy ordynku pochodowego, samowolnie sformowała się pod armaty.

Baillot-Latour starał się pogodzić zezujących na siebie kolegów i zapewniał, że wojsko cesarskie, przy małym wysiłku, zdoła pomścić w ciągu jednego dnia poniesioną stratę.

Baron von Trautenberg, generał drugiej brygady dywizji Mondet, ze zwykłą sobie flegmą oświadczył Bronovacky'emu, że nie rozumie celu zwoływania rady dla nie nieznaczącego a odosobnionego wypadku.

Po tem trzeźwym na pozór zapytaniu — zaległo nagle milczenie pod namiotem. Pułkownicy wszyscy przyznali w duchu słuszność Trautenbergowi, atoli wobec nachmurzonej twarzy Bronovacky'ego żaden nie ważył się na otwarte przyznanie racji. Trautenberg zrozumiał kolegów, bo, ośmielony brakiem opozycji, dorzucił niedbale.

— Ja tej rady nie rozumiem!.. Gdyby były czasy pokoju... gdyby ów Stuart nie był kometantem nieprzyjacielskiego placu — wówczas można byłoby a nawet należałoby zastanawiać się i rozważać... ale dziś... to co najmniej zbyteczne!..

Bronovacky zbladł.

— Krótko patrzysz, panie brygadyrze!.. No, a sądzisz nie jak oficer sztabowy, któremu wiadomem być powinno, że i dowódca pamięta o tem, iż dla błahej przyczyny nie zbiera się rady!..

— Przyczyny tej nie widzę! — odparł chłodno Trautenberg.

— Boś jej widzieć nie mógł — lecz należało o nią zapytać!.. No, a przy odrobinie przenikli-

wości można ją było odgadnąć!.. Otóż nie w tem rzecz, czy Stuart wyrządził nam jaką szkodę — lecz w tem, że do licha wiedzieć powinniście, iż my tu nie na obleganie przychodzimy!.. Na nas czeka generał Mohr... czeka Warszawa!.. Tu zapewniono mnie z głównego sztabu, że demonstracya wystarczy, aby skłonić Częstochowę do poddania!.. Ten strzał więc jest niespodzianką; jest równocześnie zaprzeczeniem wiadomości, dostarczonych przez szpiegów!.. Jest się nad czem zastanowić!.. Oczywiście, gdyby szło o to kretowisko — starczyłoby nam siły, aby je z ziemią zrównać, aby je opanować, lecz na bałamuctwo niema zezwolenia!.. Rzecz w tem, czy nie rozważniej byłoby od razu ustąpić!.. Jeżeli to uczynimy za kilka dni — wówczas wzmożemy zaufanie obleżonych, wówczas damy powód do wykrętnych plotek o tem, że nas zmuszono do cofnięcia się!..

— Jabym się nie cofał teraz! — ozwał się góraco Baillot-Latour.

— Jakto — dlaczego?!..

— No bo... generale — trudno przypuścić, aby nam wydano Częstochowę bez targów, bez wezwań, bez grózb...

— Jednakże życzliwi nam zapewniali... jeszcze wczoraj miałem gońca...

— Lecz przecież gdyby ów Stuart chciał na naszą przejść stronę — to musi upozorować swój krok!..

Bronovacky skinął twierdząco głową.

— Masz słuszość, pułkowniku! Masz zupełną słuszość!.. Trzeba natychmiast wysłać do nich parlamentarza!.. No, a w razie czego bodaj przeźrebić ich na przedmieściach!.. Jak myślisz brygadryerze?!..

— Bez wątpienia! Prochu mamy dosyć! Oszczędzać ich niema czego!..

— A pan, pułkowniku Leichnitz?!..

— Generale—rzekł po namyśle dowódca artylerji—ja podzielam twoje zdanie... tylko—armaty forteczne...

— Co armaty?!..

— Niosą dalej, generale, niż to było w doniesieniu, któreś mi dał wczoraj...

— Trudno!.. Sprawdzi się... Mogli się pomylić!.. Parlamentarza przygotować... a tymczasem czynić tak, jakbyśmy się do prawidłowego zabierali oblężenia!..

— A jeżeli się nie poddadzą?!—wtrącił baron Trautenberg.

Bronovacky szarpnął się niecierpliwie.

— Bierz ich lichu! Nie moja rzecz!.. Dwa dni mamy czasu... możemy zastraszyć... a jak nie—ruszamy w drogę!.. Chociaż niepodobna... zapewniali!.. Gdyby jednak... to Grammont nauczył ich rozumu!.. Parlamentarza!..

Baillot-Latour gotował się z planem nocnego szturmowego wystąpienia, lecz Bronovacky nie dał mu przyjąć do słowa.

— Najpierw wiedzieć musimy, co oni zamierzają!.. A potem zobaczymy, co przedsięwziąć należy!.. Tymczasem wracajcie panowie do oddziałów.

Bronovacky zamienił jeszcze kilka słów z Leichnitzem, dając mu instrukcję, gdzie ma saperom nakazać usypanie łożysk dla baterji—poczem zarządził cofnięcie kwatery sztabu do wsi Ostatni Grosz i stamtąd wysłał do Stuarta parlamentarza.

Stuart z Szymanowskim i Hanem naradzał się był właśnie, jak ułożyć kolej służbową oddziałów, gdy mu dano znać o przybyciu parlamentarza. Był nim młody porucznik pułku Baillot-Latour—von Deibel. Stuart przyjął go w obecności Szymanowskiego.

Von Deibel zaczął od przedstawienia, jak dalece przykrem jest generałowi Bronovacky'emu, że strzelano z Częstochowy do podjazdu... zanim jeszcze tenże zdołał poczynić jakiegokolwiek propozycje.

Stuarta układna mowa wzburzyła. Zmierzył ostro porucznika i przerwał:

— Nie rozumiem tego zagajenia!.. Wszakże pański generał przed kilku dniami uprzedzał mnie o swem zbliżaniu się!..

— Tak jest, panie komendancie... jednakże nieprzyjacielskich kroków istotnie nie przedsięwbrał!.. No... ale ten wypadek chętnie przypisuje samowoli którego z pańskich kanonierów!.. Zresz-

ta ja tylko zaznaczam to, co się stało, aby przekonać pana, jak dalece generał Bronovacky... jest dobrze usposobionym!..

— Wealem tego nie ciekaw! — oburknął komendant—generałowi swemu powiedz, że u mnie niema samowoli i, że każdy wasz oddział zbliżający się do linii strzału, takie samo spotka powitaniem!.. No, a co się tyczy, kto rozpoczął kroki nieprzyjacielskie... to na takich tam wykrętach czy słówkach pięknych ja się nie znam!.. Wkroczyliście w granice nasze — to nam wystarcza!.. Jeżeliś acan z tem przybył—to wracaj z Bogiem, a śpiesz się, żeby ci furta nasza nóg nie przycięła!..

Von Deibel zmieszał się, wydobył z zanadru papier i podał go Stuartowi.

Komendant rozwinął go, przebiegł oczyma i dał kapitanom do czytania.

Był to list Bronovacky'ego, wzywający do poddania, wystawiający niemożliwość obrony lichej „forteczki“, grożący szturmem i zapewniający, że armia jego cesarskiej mości tylko z tymi postępuje po nieprzyjacielsku, którzy stawiają jej opór. List kończyło przekonanie, że komendant Częstochowy uzna słuszość i doniosłość uczynionego mu przedstawienia.

Han z Szymanowskim rozpatrywali jeszcze list Bronovacky'ego, zastanawiali się i mieli własnie swoje wypowiedzieć zdanie—gdy Stuart na-

kreślił gorączkowo kilkanaście wyrazów na arkuszu papieru, oddał go parlamentarzowi i rzekł:

— Oto moja odpowiedź!.. Dorecz ja, poruczniku, swemu generałowi i zapewnij go, że innej nie odbierze—niech więc nie wysila się na koncybowanie podobnych epistol!.. Kapitanie Szymanowski... zecheiej towarzyszyć porucznikowi do warty!.. Niechże Bronovacky nie czeka!..

— Panie komendancie!—ozwał się śmiało von Deibel.—Moje poselstwo jeszcze nie skończone... pozwóll..

— Cóż więcej!.. Mów!..

Deibel spojrział znacząco na kapitanów.

— Tylko, panie komendancie... mam rozkaz zakomunikowania ci tego... osobiście!..

— Cóż to?.. Tajemnica?!..

— Mam taki rozkaz!..

— No... to bardzo żałuję... ale na sekreta nie mam czasu!.. Chcesz acan, to mów tu, zaraz!..

Deibel zawahał się, lecz widząc stanowczość Stuarta—rzekł po namyśle:

— Pan, panie komendancie, unosi się...

— Czyś to mi chciał powiedzieć?!..

— Nie—tylko...

— Do rzeczy, panie poruczniku!..

— Generał Bronovacky skłonny byłby do ustępstw...

— Więc niech się zbiera stąd!..

— Pozwól, panie komendancie!.. Arcyksiażę byłby rad wielce mieć w swoim sztabie tak do-

świadczonego jak pan oficera... Generał Bronovacky ma pełnomocnictwa... w razie danym... wszyscy panowie otrzymają... wyższe stopnie, nie licząc nagród!.. Jeżeli zatem panie komendancie...

— Słuchaj no, mości poruczniku! — zawołał Stuart, zaciskając pięści — to coś powiedział... jest niekzemne, podle, niegodne munduru, który nosisz!.. Oficer może wzywać do poddania, grozić, straszyć, przekładać... ale nigdy namawiać do hańby!..

— Rozkaz! — wybelkotał von Deibel, wystraszony ponurym błyskiem oczu Stuarta.

— Za podobny czyn jesteś wart, aby cię obażyć... parlamentarska godność czyni cię nietykalnym... ja też z tobą postąpię inaczej!..

Stuart klasnął w dłonie. We drzwiach stanął ordynans.

— Warta do mnie! — rozkazał krótko.

— Co chcesz czynić, komendancie? — upominał Han.

— Podziękować imę panu porucznikowi za austriacką szarżę.

Von Deibel, nie rozumiejąc tego, co mówiono po polsku — a spostrzegłszy za sobą karabiny plutonu, który go eskortował, wyjąkał niepewnie:

— Panie komendancie, w takim razie uważam... moje posłannictwo za skończone!..

— A ja nie!..

— Jakto!..

— Dowiesz się zaraz!.. Sierżancie!..

— Uważam, panie komendancie!..

— Rozbierzesz tego oficera z uniformy, odbierzesz mu broń... wyliczysz pięć plag i odprowadzisz do ostatniej pikiety... tam puścisz wolno!..

— Według rozkazu!..

— A pamiętaj zawiązać mu oczy.

Komendant wskazał Deiblowi na pluton.

— Oto waćpana eskorta!..

Porucznik skłonił się pośpiesznie i wyszedł, rad, że się pogroźki na tem skończyły, a nie przezuwając, jaka go czekała jeszcze niespodzianka.

Gdy w godzinę później zaraportowano Bronovackiemu, w jak opłakany stan powrócił parlamentarz, a doręczono mu odpowiedź Stuarta — austriacki generał zatrzęsł się z oburzenia i nakazał wezwać do siebie barona Trautenbergę.

Baron stawiał się niebawem. Bronovacky, ledwie hamując gniew — przedstawił mu przywieziony papier.

— Masz, czytaj, kolego!..

Trautenberg rzucił okiem na pismo i podniósł bezradnie swe krzaczaste brwi.

— Jakże sądzisz?.. Co myślisz?!,

— Trudno mi odpowiedzieć, nie wiem generale, o ile zapewnienia, które odebrałeś, zasługują na wiarę!..

— To do rzeczy nie należy — tu trzeba myśleć o tem, żeby nauczyć tego zuchwalca poszanowania praw wojennych!..

— Istotnie... tylko do orzeczenia potrzebna jest znajomość sytuacji!..

Bronovacky spojrzał niepewnie na barona, jakby zastanawiając się, czy może podwładnemu brygadierowi zawierzyć tajemnicę, a potem jakby przed samym sobą chcąc usprawiedliwić się z gadtliwości, rzekł porywczo:

Nie mam czego ukrywać przed tobą, kolego! Co tu tać!.. Na zdaniu twem mi zależy—jesteś przecież prawą ręką generała Mondeta... byłoby niekoleżeństwem tać coś przed tobą!.. Krótko mówiąc, mamy w Częstochowie swoich ludzi, pewnych zupełnie... przed tygodniem odebrałem od nich uwiadomienie, że grunt jest przygotowany... wczoraj nadesłano mi najdokładniejsze wiadomości... i to przez oficera załogi!.. Generał Mohr jeszcze przed dwoma dniami uprzedzał mnie, żebym po zajęciu Częstochowy i opatrzeniu jej w garnizon dostateczny, natychmiast ruszał ku Warszawie!.. Patrz, tu mi z kancelaryi arcyksięcia nadesłano marszrutę! — Czytaj!.. Radomsk... Kamieńsk... Piotrków... i połączenie się z Mohrem w okolicy Rawy!.. Słowem, główny sztab także jest pewnym, że idzie po prostu o rozbrojenie garści żołnierzy... a tymczasem... masz niespodziankę!.. najwidoczniej ani im się śni poddawać fortecy... a tu, do milion dyabłów, i tak straciliśmy dzień czasu na mocowaniu się z błotem i roztopami!.. Co robić—co robić?!..

Trautenberg zamyślił się. Bronovacky dalej malował trudność położenia.

— Każda godzina zmarnowana może się odbić na planie kampanii... a tu czy podobna puścić płazem oczywiste naigrawanie się z nas, sporniewieranie nawet parlamentarza!.. Odstąpić znów, to znaczy rozzuchwalić tę bandę, narazić się na to, że nasze cofnięcie się urośnie w oczach Polaków na porażkę, na ucieczkę!..

— Więc wiadomości z fortecy mimo wszystko brzmiały pomyślnie!..

— Powtarzam ci, wczoraj jeszcze!.. Tu są raporty!..

— Prawda, prawda!.. Ale generale, czy nie obawiasz się podstępu?!..

— Niepodobna!.. Pewni ludzie!.. Oficer sztabu angielskiego, Stuart, rozumiesz?!..

— Wszakże, jeżeli się nie mylę, Stuart jest komendantem Częstochowy!..

— Właśnie—krewny tamtego!.. Mieli mu wyperswadować obronę... Mam dla niego patent na pułkownika, w razie wydania fortecy!..

Trautenberg zachmurzył się.

— Mało cenią nasz mundur, jeżeli nim chcą nagradzać renegatów!..

— Zwykły wybieg—nie będzie w nim chodził długo—za to ci ręczę! Teraz każdy środek jest dobry!

— Być może, jabym jednakże nie ufał tej pomocy, która, jak się okazuje, ludzi nas!..

— Upierasz się, kolego! — przerwał niecierpliwie Bronovacky. — Juścić coś w tem jest — ale nie zdrada!.. Zresztą przekonam cię!..

Poczem przywołał adjutanta i dał mu cichy rozkaz. Adjutant oddalił się. Po małej chwili do namiotu dowódcy wszedł młody kapitan huzarów palatynskich, salutował niepewnie i stanął z głową ponuro ku ziemi zwieszoną.

Bronovacky* skinął niedbale przybyłemu i zagadnął po francusku:

— Jak się pan nazywasz?.. bo zapominam...

— Raczynski! — odrzekł głucho przybyły.

— Więc pan nie rozumiesz... po niemiecku nie zgola?!..

— Nie, generale!..

Bronovacky zwrócił się do Trautenberg:

— Możemy mówić swobodnie, nie zna niemieckiego!.. Jest to porucznik ułanów!.. Pan właśnie przyniósł wiadomości!..

— A cóż znaczy ten mundur huzarski?!..

— Mówilem ci... rozkaz!..

Trautenberg zmierzył pogardliwym spojrzeniem Raczynskiego.

— Taki niepoń nawet kuli nie wart! Von Geringer, gdyby wiedział, jaki honor spotkał jego pułk...

— Porzuć, kolego, te drobiazgi! Przynęta i konie! Nie spoglądajże tak na niego... przysiągłbym, że cię odgadł!..

— Z przyjemnościąbym mu to powtórzył tak, żeby nie miał wątpliwości!..

— Przesada, uniesienie! — odparł Bronovacky i rzekł po francusku do kapitana huzarów:

— Czy wiesz pan, jaką nam dał odpowiedź twój dawny komendant?!..

— Nie — generale!

— Oćwiczyl mi parlamentarza!.. Cóż pan na to?!..

— Nie wiem nic, generale! — odrzekł z wysiłkiem Raczynski, targając niespokojnie złote szamerowanie munduru.

— Twój dawny komendant zucha chce udawać!.. Przyniósł mi zapewnienia, że kapitulacya nastąpi bezwarunkowo...

— Polecono mi doręczyć!..

— Do milion dyabłów, lecz przecież pan coś także powinienes wiedzieć!..

— Wysłano mnie, generale! — jękał kapitan. — Spełniłem polecenie... Częstochowa naturalnie będzie się chciała bronić...

— Mów wyraźniej!..

— Jestem mało wtajemniczonym!..

— Po cóż więc podejmowałeś się tej ekspedycji?!..

— Chciałem... dawno... wstąpić do służby... austriackiej!..

— Aha! — wtrącił drwiąco Trautenberg. — A dużo jest w Częstochowie takich, jak pan... oficerów?!..

Raczyński zbladł i mimowoli rękę położył na głowni pałasza. Poczem ochłonawszy, rzekł z wysiłkiem:

— Nie wiem, generale!..

Lakoniczne, oschłe odpowiedzi kapitana zniercierpliwiły Bronovacky'ego.

— Hola, panie kapitanie! Musisz dowieść, żeś wart honoru, jakim cię obdarzono, dając ci patent kapitański! W papierach, przyniesionych przez ciebie... powiedziano wyraźnie, że potrafisz oddać nam znaczne usługi! Tymczasem z tego, co mówisz—możnaby sądzić inaczej!..

— Rozkazuj, generale!.. Racz jeno pamiętać, że już wczoraj prosiłem cię, abyś pozwolił mi tymczasem oswoić się z nową służbą i w obecnej rozprawie jak najmniejszy brać udział!.. Moje ociąganie się, generale, jest słusznem...

Trautenberg parsknął śmiechem. Bronovacky zaperzył się.

— Co?! — Jakto?! Pan chyba zmysły postradałeś?!.. Na toś pan tu przyszedł, żeby nam prawić androny o skrupułach?!.. Proszę się udać do namiotu służbowego i tam czekać rozkazów.

Raczyński wyszedł.

— Równie zły, jak i głupi! — zakonkludował Bronovacky.

— Albo udaje takiego! — poprawił Trautenberg.

— Co zamierzasz uczynić, generale?

— Posłać go tam, skąd przyszedł!

— Ułatwisz mu może w ten sposób... podstęp.. Gotów skorzystać...

— Chociażby, lecz przynajmniej upewnię się, co znaczy ten raport wczorajszyl..

Bronovacky kazał wezwać znów Raczyńskiego i oświadczył mu krótko, że dobro sprawy wymaga, aby natychmiast udał się do Częstochowy.

Raczyńskiemu na pierwsze słowa rozkazu — oczy się zaiskrzyły, dopiero po chwili czoło znów mu się sfaldowało, a głowa pochyliła ku ziemi.

— Wystosuję panu pisanie... zaniesiesz je dzisiaj jeszcze! I to koniecznie... będę czekał!.. Naturalnie, bezpieczniej ci będzie wrócić do swego poprzedniego uniformu...

Raczyński milczał.

— Cóż... ociągasz się?!..

— Ja?.. — wyjąkał ze zdumieniem Raczyński, nie mogąc pojąć, iż ktoś wątpi o jego szczerej chęci powrotu. — Jabył się ociągał?!..

— Nie — więc tem lepiej!.. Udasz się, kiedy chcesz... byleś mi na jutro rano powrócił!.. No i przyniósł dokładne wiadomości. Rzecz krótka! Czy można być pewnym kapitulacyi, co czynić, aby ją przyspieszyć i jak pogodzić dane mi zapewnienia z haniebnym postępkim komendanta!.. To starczy! Nawet lepiej pisanie ci nie dam... tylko żądać będę stanowczej odpowiedzi! Nadto, uprzedzam pana, że w razie gdyby ci przyszła ochota wyprowadzić nas w pole — to my uważać będziemy sobie za punkt honoru odplacić ci się,

bodaj nawet, wając się na wszystko, byle... już nie Częstochowę, ale ciebie mieć w swoim ręku!.. Adjutant cię przeprowadzi do pikiet... a stamtąd, jak ci się podoba, ruszaj zaraz... albo na noc!.. Żegnaj!..

— Generale... nie mogę... niepodobna, choć chciałbym, choć...

— Co? Jak mam wziąć tę odpowiedź?!..

— Tam wiedzą już, muszą wiedzieć o mojej ucieczce!..

— Możesz swe oddalenie upozorować!..

— Nie umiałbym... nie potrafiłbym!..

— Taak! — wtrącił przeciągle Trautenberg. — Proszę, a ja miałem cię, panie, za bardzo przebiegłego!..

— Generale — ozwał się gorąco Raczynski — Bóg mi świadkiem, że oddałbym dziesięć lat życia, byle być teraz w fortecy!.. Byle ta niepewność, która trawi mnie...

Generałowie spojrzeli na siebie i tym razem obydwaj wybuchnęli serdecznym śmiechem. Raczynski umilkł skonfundowany.

Trautenberg ozwał się po niemiecku do Bronovačkyego:

— Nawet się nie ukrywa ze swoimi zamiarami!..

Bronovačky pohamował śmiech i rzekł surowo do Raczynskiego:

— Więc... taka cię zdejmuję skrucha?!.. W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak oddać cię pod straż!..

— Ależ generale... źle tłumaczysz moje słowa! W Częstochowie pozostawiłem osobę drogą memu sercu... Stąd te wyrazy!..

— Hm! tak zapewne... bardzo zręcznie!.. Bardzo zręcznie!.. Zresztą tobie wszystko jedno i tak sam nie chcesz!.. A straż nie ma cię jeszcze czego przerażać... to tylko ostrożność!..

Raczynskiemu przyszło naraz na myśl, że dobrowolnie wyrzekł się widzenia Beatryczy, że ona tam sama może nie zdoła się wydostać z fortecy i nagle chciał naprawić swoją odmowę.

— Wyprawa taka przedstawia istne niebezpieczeństwo...

— Właśnie, właśnie... mogą pana porwać!..

— Ale ja bym się nie śmiał usuwać... ja jedynie wspomniałem o trudnościach!..

— Daj spokój, kawalerze! — oświadczył zimno Bronovačky. — Moja wina, że ci proponowałem!.. Forteca jest dobrze strzeżona, usprawiedliwieniom twoim mogliby nie uwierzyć!.. No, a ja bym się pozbył po prostu dzielnego oficera!..

Drwiący ton generała doprowadził Raczynskiego do rozpacz.

— Ręczę generałowi, że nie mi się nie stanie!..

— Proszę!.. Tak ci ufają?!.. Więcej niż my?!.. No—no! To już z nami zostaniesz!.. Sam powiedzialesz, że nie umiałbyś udawać!..

Raczyński zrozumiał, że bito go jego własnymi argumentami, że obudził przeciwko sobie podejrzenie, że upieranie się jego dalsze pogorszyć może sytuację. Trwoga atoli o Beatrycę była tak silną, że zdobył się jeszcze na ostateczny środek.

— Generale!... Nie zorientowałem się, nie pojąłem ordynansu... nie wspomniałem o tem, że mam możliwość dostania się do Częstochowy... zgoliła niepostrzeżenie...

— Mów jaśniej, słuchamy!..

— Droga ukryta!—powtórzył z naciskiem Raczyński.

— Nie nie rozumiem!

— Droga nawet załodze nieznana!..

Bronovacky spojrzał znacząco na Trautenbergą.

— A czy mógłbyś nam ją wskazać?!..

Raczyński się zawahał.

— Generale... dałem słowo, że jej nie zdradzę!..

— Więc komuż nareszcie pan służysz?!..

— Cesarzowi...

— No, zatem pamiętaj, że jemu tylko winieś dochować wiary... wszelkie inne twoje skrupuły muszę poczytywać za wykręty... za nieszczerłość...

— Nie inaczej, mój panie—przypomniał surowo Trautenberg. — Należało dobrze zastanowić się przed przybyciem do nas! Teraz twoje odpo-

wiedzi niejasne, zagmatwane, mogą obudzić podejrzenie, że bierze cię ochota do nowego... odstępstwa!..

— Bywają jednak tajemnice... których wydać się nie godzi!..

— W takim razie moim obowiązkiem jest strzedz, abyś z niej sam nie chciał korzystać dla równie ukrytego a równie doniosłego celu, i dlatego, panie kapitanie, oddasz pałasz i pójdziesz pod straż!..

— Jednakże, generale, moje poselstwo... mogłoby oddać wielkie usługi... Przejście znane mi daje rękojmię...

Bronovacky posiniał.

— Co mi pan pleciesz za androny?!.. Wiesz, co bym powinien uczynić z tobą?!.. Nie znasz zwyczajów? Nie wiesz, co się czyni z takimi, którzy nie chcą wydać potrzebnych wojsku tajemnic?!.. Dosyć komedyi! Żartów stroić nie pozwolę!.. Masz dwadzieścia cztery godziny do namysłu—a potem pogada z tobą kto inny... Możesz odejść!

Raczyński wyszedł z namiotu dowódcy. Zaledwie kilka kroków postąpił, gdy przypadł doń oficer służbowy.

— Panie kapitanie z rozkazu generała proszę o oddanie pałasza!..

Raczyńskiego ziać przeszedł.

— Panie kapitanie!—upomniął surowo oficer. — Rozkaz!.. Chyba nie będziesz mnie zmuszał do użycia przemocy!..

Raczyński nie władał sobą.

Myśl, że ma utracić wolność, że może być skazanym na odcięcie zupełne od tyle go obchodzących wypadków—doprowadziła go do zrozpaczenia. Ostatnie skrupuły znikły — chęć za wszelką cenę zobaczenia Beatryczy przemogła..

— Panie oficerze!—rzekł z wysiłkiem. — Zanim pałasz ci doręczę— zechciej zameldować generałowi, że mam jeszcze coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Oficer po namyśle — przywołał młodszego ordynansa i posłał go do Bronovackiego.

W godzinę potem Raczyński jechał wśród szwadronu kawaleryi ku Częstochowie.

Bronovacki, mimo zaklęć Raczyńskiego i przysięg, nie wierzył mu, a dowiedziawszy się o przejsiu, nakazał sforsować szopę, w której był wyłot chodnika podziemnego. W szopie miała posterunek mocna pikieta ułanów. Kawalerya austriacka miała wpaść znienacka i bodaj tyle zrobić, aby Raczyński z wyznaczonym poręcznikiem huzarów i kilku szeregowcami zdołał osiągnąć chodnika. Dla zamaskowania tej wyprawy, pół batalionu piechoty wystąpiło z obozu i udawało napad na pozycję kapitana Godlewskiego.

Na murach Częstochowy ozwały się alarmujące salwy. Godlewski wyprawił natychmiast raport do Stuarta. W odpowiedzi — nadesłano mu kompanię piechoty i lakoniczny rozkaz, aby jak najsilniej obsadził szopy pod Świętą Barbarą.

Godlewski ledwie uszom własnym mógł wierzyć.

Kazano mu pilnować nie nieznaczących rumowisk, które oddawna powinny być zburzone, aby nie stanowiły osłony dla nieprzyjaciela, które zresztą bez szkody i straty można było puścić z dymem — a równocześnie nie wspomniano nawet o przedmieściach, na których i część magazynów dotąd się lokowała, a i dobytku mieszkańców było poddostatkiem.

Godlewskiego brała ochota za własnym pójść popędem — służbistość kapitana atoli przemogła. Szopy zostały obsadzone tyralierami.

Austriacy jednakże nie tracili czasu. Piechota szła śmiało, nie zważając na gęste strzały Godlewskiego. Za piechotą skradała się bateria artylerii. Atak zdawał się być dobrze obmyślnym. Godlewski poczynił wszystko, aby go odeprzeć. Gwardye z dwoma kompaniami wołyżarów stanęły na dobrze zabezpieczonych okopach — ułani ukryli się w głębi, gotowi na pierwszy sygnał wpaść na nieprzyjaciela — armaty częstochowskie czaiły się, czekając rychło Austriacy wejdą na linię strażów. Cała uwaga obrońców Częstochowy była wyteżoną ku pozycji Godlewskiego.

Na szwadron huzarów cesarskich, wlokący się ociężale — nie zwracano uwagi, rozumiejąc, że wysunięto go dla zabezpieczenia odwrotu piechocie.

Godlewski czekał i niecierpliwił się. Gwardya podniosła karabiny. Godlewski dobył pałasza, mierząc gorączkowo odległość, dzielącą go od nie-

przyjaciela. Już podniósł pałasz — już zawołał gromko „baczność“ — gdy nagle krew ścięła mu się w żyłach — głos uwiązł mu w krtani. Widok, który mu się przedstawił, osłupił go.

Oto szwadron huzarów, dotąd jakby bez celu manewrujący, zdarł konie, zaszamotał się i rzucił na tyralierów pod szopą — równocześnie prawie piechota zatoczyła półkole, tworząc tem samem rezerwę dla huzarów. Atak był tak niespodziewany, tak gwałtowny, że porucznik Rutkowski, dowodzący tyralierami, ledwie zdołał się cofnąć za parkany i tam zwołać najbliższych żołnierzy — gdy huzarzy już opanowali szopy i na strzały — strzałami jęli odpowiadać.

Godlewski opamiętał się. Gwardyę narodową z imię panem Czerno zostawił na wałach a sam z dwoma kompaniami, przez tyły zabudowań, pędził na pomoc Rutkowskiemu.

Zwycięstwo Austryaków było krótkie, bo zanim Godlewski nadeignął, już zaczęli się cofać i zwolywać do szeregów, zaniechawszy widocznie wszelkiej myśli utrzymania się na pozycyi. Kiedy zaś odsiecz, prowadzona przez Godlewskiego, nadbiegła, zarówno huzarzy jak i piechota z artylerją w największym porządku wracała do obozu, prowadząc kilku rannych żołnierzy swoich i kilku niewolników.

Stuart, który był się przyglądał z wałów Częstochowy przebiegowi potyczki, zdziwił się z ta-

kiego obrotu rzeczy i nie podzielał przekonania Hana, który Austryaków posądzał o tchórzostwo i ulęknienie się spotkanego oporu. Stuart sam zbyt doświadczonym był żołnierzem, aby nie spostrzedz, jak spokojnie huzarzy stanęli w szeregach, z jakim wyrachowaniem piechota nieprzyjacielska wykonała obroty. Komendanta uderzyła od razu myśl, że między szopami jest wejście do chodnika — nie odpowiadając więc na uwagi Hana, wspominał mimowoli na przestrogę przeora i teraz dopiero uprzytomnił sobie, że jednakże Raczynskiego nie widział nigdzie. Han doradzał wzmocnienie okopów na przedmieściach, aby udaremnić takie jak obecny, napady — Stuart nie dał mu dokończyć wywodów.

— Gdzie Raczynski?!

— Nie wiem, komendancie! — odrzekł urażonym tonem kapitan. — Dziś, o ile pamiętam, nie było jego kolei służbowej!.

— Chcę go widzieć natychmiast! Każ go, kapitanie, przywołać!.

Han wysłał ordynansa, lecz ten po długiej chwili powrócił z wiadomością, że porucznika ani w koszarach, ani w oficerskich kwaterach nie znalazł. Zarządzono staranniejsze poszukiwania, rozesłano kilkunastu żołnierzy po zakamarkach klasztornych, zapytywano kolejno kapitanów i poruczników, lecz nikt od kilkunastu godzin Raczynskiego nie widział...

Stuartowi po raz wtóry przypomniła się przestroga przeora — ale jeszcze bronił się myślom, jeszcze wiary nie dawał.

Zniknięcie porucznika wzburzyło całą załogę. Ten i ów jął snuć przypuszczenia, czy Raczyński nie wysforował się przypadkiem na pozycję do kapitana Godlewskiego, i tam zagarniętym przez Austryaków nie został?!

Stuart nakazał przeprowadzić najsurowsze badanie — a sam, targany niepewnością — zwrócił się do kwatery Beatryczy, aby opatrzyć wejście do chodnika podziemnego. Dwie bowiem były tu możliwości. Albo Raczyński uległ jakiemuś przypadkowi — albo rozmyślnie uszedł z Częstochowy. W tym ostatnim razie nie omieszkałby skorzystać ze znanego mu, a tak dogodnego kurytarza...

Komendant szedł do Beatryczy raczej dla upewnienia się, że tak nie jest, niż dla szukania potwierdzenia swych podejrzeń.

Kurytarz miał jedno wejście tylko przez komnatę Beatryczy — komnatę strzeżoną przez służbę *sir* Jakóba, komnatę, do której dostać się było niepodobieństwem bez czyjejs pomocy, bez współdziałania.

Komendant prawie nie wątpił, iż z tej strony nie mógł się spodziewać zdrady — atoli wewnętrzny podszept skłonił go do zabezpieczenia się, do opatrzenia wejścia do chodnika. Bądź co bądź, ten gwałtowny atak Austryaków na szopy nabawiał

go niepokoju a nadto... przejście mogło jemu samemu oddać usługi, jeżeli tak jak dawniej, on tylko jeden będzie miał dostęp do niego.

Z tem postanowieniem Stuart zapukał do drzwi Beatryczy. Otworzyła mu służąca i wprowadziła do pierwszej izby, prosząc, aby chciał zaczekać. Hrabianka ukazała się dopiero wówczas, gdy znecierpliwiony komendant zaczął pukać do drzwi jej sypialni.

— Jestem... jestem!!—ozwała się Beatrycza.— Mój pan nawet sekundy czasu...

— Pozwól!—przerwał niechętnie Stuart.—Tylko na chwilę!...

— A—tak!.. Prawda, tyś taki teraz!.. Czemu nie siadasz?.. Siadaj... Była potyczka!.. Wystraszyłam się bardzo... Myślałam, że to szturm!..

Komendant obrzucił Beatryczę badawczem spojrzeniem — wydawała mu się pomieszaną, niepewną, czy tylko roztargnioną dziwnie. Milczenie Stuarta i jego wzrok przenikliwy jakby spotęgował jeszcze pomieszanie hrabianki.

— Dlaczego nie mówisz!?.—rzekła z widocznym wysiłkiem, próbując się uśmiechnąć—*Gaetano!*—Więc jakże?! Ustapili!.. Tak się bałam!.. Byłeś o sobie pamiętał, byłeś się nie narażał!.. Ja o to proszę, ja tego żądam!... Teraz powinienes... musisz... wszak nie należysz do siebie...

— Bądź spokojna!...

— Nie mogę być spokojną, nie potrafię!—

szepnęła hrabianka. — Kiedy nie widzę cię przy sobie... trwoga mnie ogarnia... a nadto przeczucie mówi mi, że twoje zabiegi są daremne... że nie ostaniemy się im!..

— No—no!... Tak źle nie będzie!.. Daleko do tego!.. Nieprzyjaciół jeszcze sobie dobrze szeregów poszerzę, zanim się do przedmieść dobierze... nie masz powodu Beatrycze obawiać się!.. Wątpię, żeby nas chcieli bombardować... mają za mało armat!

— Ja nie wiem... mnie zdawało się... Jestem nieprzyzwyczajona...

— Tak—tak, moje dziecko!.. Masz słuszość—powinienem być dawno pomyśleć o lepszym schronieniu dla ciebie!.. Przyznaję się szczerze do winy... ale to się dziś jeszcze naprawi...

— Nie rozumiem!.. O czym mówisz?!

— O tem, że popełniłem błąd nie do darrowania, pozostawiając cię tu, w tej kwaterze!..

— Dlaczego?.. Przeciwnie... jestem bardzo zadowolona...

— Pojmuję twoją delikatność!.. Jednak pozwolisz... dziś jeszcze przygotuję ci inne mieszkanie!..

Hrabianka drgnęła.

— Ależ to niepotrzebne zgola! Nam tu jest bardzo dobrze, przyzwyczailiśmy się... wszyscy... Kwatera przestronna, widna... oddalona od koszarowego zgiełku...

— Lecz równocześnie otwarta dla strzelów nieprzyjacielskich!.. Nie przecz—gdyby przyszło

do szturm... dom ten mógłby być zburzonym... Budowla słaba, mury wątle... Pomówię z ojcem przeorem — nie bez tego, żeby nie miał wolnych kilku cel zakonnych!.. W nich będzie wam i pewnością i spokojniej!..

Beatrycza próbowała jeszcze się opierać i przedstawiała mu beczelowość takich przenosin — ale Stuart obstawał przy swoim. Hrabianka wpadła w rozdrażnienie.

— Doprawdy swoją pieczołowitość posuwasz za daleko!..

— Sama narzekałaś przed chwilą!..

— Ale nie z powodu kwatery!.. Tu jest nam dobrze, zacisznie... zarówno ja, jak i *sir* Jakób zżyliśmy się tak, iż przenosiny byłyby dla nas przykrością...

— Mam obowiązek...

— *Gaetano*... a gdybym cię prosiła jak o łaskę...

— To przedewszystkiem zdziwiłbym się niepomierne!

— Przypuśćmy wszakże, kaprys... upodobanie...

— Musiałbym odmówić!..

Hrabianka zbłądła.

— *Gaetano* — tego braku względności wytłomaczyć sobie nie umiem. Jesteś czasem tak niewyrozumiałym... jakbyś chciał mnie odstręczyć od siebie, wpoić przekonanie, że przywiązanie twoje nie jest ani tak trwałe... ani tak głębokiem...

— Sądziś powierzchowniel.. Jest jeszcze druga przyczyna, niewołąca mnie do przeniesienia się!..

Idzie mi o wejście do kurytarza podziemnego...

— Wejście?!—zapytała hrabianka niepewnie. Ach—to wejście!.. Cóż, więc... możesz niem rozporządzać!..

— Teraz, gdy ty mieszkasz...

— Ależ proszę cię... jeżeli tylko oto idzie... mnie to nie przeszkadza!..

— Nie upieraj się Beatryczo!.. Taki chodnik w czasie obłężenia...

— Usunę się do sąsiedniej izby!

— Niepodobna!

— W takim razie dasz mi choć kilka dni czasu na przenosiny!?

— Aż kilka dni!.. Nalegać nie śmiem, ale proszę... to rzecz pilna!.. Powiem ci szczerze... obawiam się o tajemnicę... Atak dzisiejszy Austriaków był tak niezwykłym... że dla własnego spokoju muszę zarządzić środki ostrożności!.. Uwważasz, napadnięto na szopy, między którymi jest wyjście z kurytarza!.. To mnie uderzyło!..

— Lecz wyjście nie ma związku z wejściem!.. Powinieneś owe szopy obstawić... ale tu chyba, z tej strony...

— Także trzeba się zabezpieczyć!..

— Jak ci się podoba!—rzekła ośchle Beatrycza. Stuart postąpił ku drzwiom sąsiedniej izby.

— Pozwolisz... chciałbym zobaczyć!..

Beatrycza zarumieniała się z lekka.

— Jesteś tu panem, nie śmiem się sprzeciwiać!..

Komendant wszedł do komnaty, zajmowanej przez hrabiankę. Służąca Beatryczy była właśnie zajęta równaniem rozciągniętego na podłodze ko-bierca i to w miejscu, gdzie znajdowała się kłapa ruchoma.

Stuart skinął na służę, aby usunęła kobierzec i sam pochylił się nad kłapą.

Kłapa była zasunięta nierówno, tak, że jeden jej róg wystawał ponad podłogą. Drobnym szczegółem był ten ciekawszy, że gdy komendant dotknął się kłapy—ta własnym ciężarem osunęła się w głąb i nierówność znikła.

— Tu musiał ktoś otwierać!—zauważył spokojnie Stuart.

Stojąca za nim hrabianka zadrżała.

— Skąd ci taka myśl przyszła!—wykrztusiła z wysiłkiem.

— Kłapa wystawała... dość byłoby stąpać na nią, żeby wróciła do swej zwykłej pozycji!.. Musiał ktoś niedawno ją podnosić!..

— To ja, panie komendanciel—wtrąciła się służa.—Wymiałałam pył z wgłębienia około kłapy!..

Hrabianka odetchnęła.

Komendant tymczasem uniósł kłapę. Strumień wilgotnego, stęchłego powietrza buchnął przez otwór w podłodze.

Stuart poglądał przez chwilę zamyślony w głąb otworu; poczem zasunął kłapę i rzekł obojętnie.

— Przysłę ci tu dwóch mistrzów kowalskich... zamkną tymczasem to wejście na sztaby... wołałbym tajemnicę zachować, lecz rozważa nakazuje ostrożność...

Komendant urwał nagle, dostrzegłszy niezwykłą bladłość na twarzy hrabianki i zagadnął troskliwie.

— Beatryczo, co tobie — tobie coś jest!? Tyś cierpiąca?!

— Ja... ja?! — odrzekła Beatrycza, siląc się na uśmiech. — Ależ zdaje ci się!.. Cóż znowu!.. Ja cierpiąca?!

— Lecz tak, tak... spojrzij w zwierciadło... jesteś tak blada... Patrz wargi ci drżą...

Stuart wziął w ramiona hrabiankę i gładził pieszczotliwie.

— Powiedz, kochanie moje!.. Dokuczyłem ci?! Bez wątpienia?! Gniewasz się na mnie... Daruj!.. Natura żołnierska... się ozwała!.. Miał natchnąć cię otuchą, uspokoić, utulić... jam tu bureczeń przyszedł i przewodzić...

Beatrycza zalała się łzami. Komendant nie posiadał się z gniewu na samego siebie i wyrzuty sobie czynił, darować sobie nie mogąc własnej zapaleczowości.

Po chwili hrabianka uspokoiła się i uśmiechnęła się do komendanta poprzez perlące się jeszcze na rzęsach łzy. Stuartowi dusza tajała w tem spojrzeniu. Korzył się a przepraszał, sam wątpiąc, iżali kiedykolwiek zdoła te łzy okupić

a krzywdę wyrządzoną nagrodzić. Istotnie komendant nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie owa krzywda początek swój brała, lecz mimo to wydała mu się wielką, bardzo wielką.

Hrabianka pierwsza otrząsnęła się ze wzruszenia i powróciła do przerwanej rozmowy.

— *Gaetano* — szepnęła potulnie. — Więc jeżeli każesz... jam gotowa... choćby zaraz... gdzie każesz tam się przeniosę...

— Dziecko moje... ja nie ci nie mam do rozkazania!.. Ty — ty rozkazujesz i rozkazywać będziesz zawsze... zawsze...

— Chociaż... — kończyła hrabianka. — Tak od razu... będzie mi trudno!.. Widzisz... teraz dopiero urządziłam się... Patrz, ile tu wszędzie drobiażdzków... Wy tego nie lubicie!.. Lecz to niewinne upodobanie... bardzo niewinne...

— Oczywiście!..

— A przytem... mnie się zdawało, że już tu, w tej kwaterze, zostanę... trzeba teraz pozbierać powoli wszystko a i urządzić na nowo...

— Masz słuszność, zrobisz, jak będziesz chciał!..

— A tych mistrzów kowalskich nie przysylaj... bo na co... takiego gwałtu niema!..

Komendant godził się na wszystkie życzenia hrabianki i jeszcze tłumaczył się, jeszcze przepraszał, jeszcze się usprawiedliwiał, trwożąc się, aby na dnie serca hrabianki jakiś cień żalu nie został.

Oddalony dźwięk trąbki — przypomniał komendantowi o obowiązkach służbowych, podniósł się i jął zabierać się do odejścia.

Beatrycza jednak zatrzymała go.

— Jeszcze... jeszcze chwilkę...

— Niepodobna! Czekają na mnie!...

— Od wczoraj prawie cię nie widziałam, bo tam, na wałach, byłeś taki inny... jakby nie ten sam!..

— Nikezemna natura!.. Dość sygnału! Już nie wspominaj — mnie samego pasya chwytą!.. Gorączka najdzie... ledwie myśli zebrać można a tu jeszcze i strofuj... i gniewaj się... i pilnuj!.. Czasem poręcznik najsprawniejszy na służbie, najprzeczniejszy na rewii, w obliczu nieprzyjaciela głowę traci! Samemu dojrzeć trzeba! Choćby kapitan Godlewski!.. Stary żołnierz a nie ustrzegł się dzisiaj!.. Bywaj mi kochanie!..

— *Gaetano* — jedno słowo: Cóż zamierzasz uczynić?!..

— Z czym?!.

— Z obroną!?!.

— Nie rozumiem twego pytania!

— No, czy zamierzasz się bronić dalej!..

Stuart roześmiał się serdecznie.

— A cóż, myślisz, że mi imię pan Bronovacki takiego strachu napędził? Ho—ho!.. Nie łatwą będzie miał robotę!.. Dziś w nocy sam mu o tem powiem!..

— Co chcesz przedsięwziąć!

— Et — nic. Wycieczka!.. Żołnierz młody — niech się zaprawi trochę... no a Bronovacki'emu należy się zapłata!..

— Czy to jednak doprowadzi cię do celu, czy nie zaszkodzi potem w wyjednaniu łagodniejszych warunków kapitulacyi!?

— Beatryczo! Co tobie ta kapitulacja stoi przed oczyma? Mnie się ona ani nie marzy! Toć, na dobrą sprawę, jeszcze nie było początku oblężenia!..

— Ja się na tem nie znam... ale Austriacy zalali cały kraj... Warszawa się nie ostanie.. a cóż ten klasztor!..

Stuart zachmurzył się.

— Baniałuki pleciesz!.. Zalali cały kraj — nie o tem nie wiadomo!.. Myślisz, że tam niema już naszych wojsk, myślisz, że cesarz... się nie ruszy ku nam... Pewno *sir* Jakób dręczy cię swojemi uwagami!.. Możesz go uspokoić — wytrzymamy tu jeszcze nie jeden miesiąc!.. Jego rachuby i rady nie warte są mieszczucha, a cóż dopiero tej szarży, którą nosi!.. Pilno mi!.. Nie słuchaj nieczyich podszeptów i bądź cierpliwa... a przekonasz się, że i ja potrafię Austryakom obrzydzić obozowanie pod Częstochową.

Stuart ucałował ręce hrabianki i podążył na odwach, gdzie na niego oczekiwali kapitanowie, aby raporty przyjąć, wycieczkę obmyślić i nakazać najsurowsze śledztwo o Raczyńskiego.

Tymczasem, za ledwie w kwaterze Beatryczy drzwi zamknęły się za Stuartem, — z bocznej izby wszedł *sir* Jakób i stanął przed Beatryczą.

— I co teraz?! — rzucił przez zęby.

— Słyszales?!.

— Wszystko!.. No i pytam się po raz ostatni... chcesz dobrowolnie powrócić, czy mam użyć przemocy!?

— Jesteś szalony!

— Tylko ostrożny! Gra z każdym dniem, z każdą godziną staje się niebezpieczniejszą!.. Jeden ruch, jedno drgnięcie powiek i mogą mu się oczy otworzyć... a wówczas bylibyśmy zgubieni!

— Sądziś, że on ważyłby się mnie tknąć!?

— Masz tak dobre mniemanie o sile swych wdzięków — ja go nie podzielam... Dalej, wiesz z czem przybył ten poręcznik — von Deibel!.. Bronovacki bez ogródek pomawia nas o dwulicowość, nie ufa... wątpil... Więc i z tej strony grozi nam niebezpieczeństwo!.. W końcu mam tego dosyć!.. Bronovacki ma plany... może zacząć prawidłowe oblężenie i to bodaj sposób najlepszy!.. A w takim razie ja nie mam ochoty pościć razem z tym moim kuzynem... Raz dałem się uwieść wspaniałomyślności, chciałem wyperśwadować mu żakowskie sentymenty, miałem dobrą wolę uznania w nim związków krwi... ale kiedy rwie się przemocą na brzeg przepaści... nie znajduję rady!.. Dziś skorzystamy z okazji... i razem z Deibelem ujdziemy... Bronovacki znów

przypuści atak na szopy... a wtedy, z pomocą plutonu Deibla i naszych strzelców, wydostaniemy się z tego kojca...

— Nie wszyscy! — odparła zimno hrabianka.

— Każe cię związać!

Beatrycza zmierzyła swego opiekuna pogardliwym spojrzeniem.

— Ty mnie związać?

— Beatryczo zastanów się nad położeniem!.. Chcę twego dobra!.. Sama czujesz, że wszystkie twoje plany zawodzą, że dziś zaczynamy się narażać bez celu... powiem ci więcej — temu gburowi twoja obecność przewróciła w głowie... Jemu się troi, żeby się popisać ze swoją odwagą, żeby ci zaimponować... żeby właśnie bronić się i obronić!..

— Choćby nawet...

Sir Jakób wpadł w gniew.

— Co to znaczy wszystko! Drwisz sobie ze mnie!?. A może... ten zarozumialec... może ci go żal!?. Nie igraj z ogniem!.. wiesz, że potrafię się upomnieć o należne mi prawa!.. Zaprzysięgałaś się, iż bez wystrzału podda fortecę, że zanim Bronovacki nadciągnie, już tu sztandar żółty zatkniętym zostanie... Śniły ci się zwycięstwa Judyty, no, ale sama się przekonywaś, iż nie tak łatwo dla twej urody zapomnieć o obowiązkach!.. Ten pyszałek odgraża się, gotuje wycieczkę... może nas lada chwila odciąć zupełnie od armii!.. Ja na to nie pozwalam! Dziś... natychmiast... stąd ruszymy... struny i tak są przeciągnięte!..

— Nie wszyscyś pójdą! — powtórzyła z lodowatą obojętnością hrabianka.

Sir Jakóbowi piana wystąpiła na ustach.

— Więc czegoś chcesz nareszcie, dokąd zmierzasz...

— Do przeprowadzenia planów!..

— Gdzież one są?!... Wszystko pokrzyżowane! Czy nie powiedział ci!..

— To nie nie stanowi!.. Z nim trzeba inaczej!

— Należało ci o tem pomyśleć wcześniej... teraz ja na to nie pozwolę!..

— Twoje zezwolenie jest mi niepotrzebne!..

— Beatryczo, nie doprowadzaj mnie do ostateczności!..

Hrabianka skrzywiła się lekceważąco.

— Trzeba ostrzedz Bronovackiego przed wycieczką i nakłonić go do odstąpienia... Jemu i tak pilno do głównej armii... tu nadciągnie Grammont, który postępuje za Bronovackim i on skończy!

— Grammont?! Grammont — nigdy!.. Więc o Grammonta ci chodziło?.. Nie z tego!..

— Jesteś znów w napadzie!?. Grammont nadciągnie a wówczas ja zdołam...

— Wpaść w pułapkę!.. Cały ten kurnik od godziny aż się trzęsie w posadach, — plotki, domysły, bajki, badania... a to dlatego, że tobie podobało się z jakimś smarkaczem wejść w komitywę i namówić go do zdrady! Myślisz, że Bronovacki mało ma takich trutniów u siebie!.. To się nazywa robota! Rozwaga!.. A po tych wszy-

stkich próbach zachciewa ci się widoku Grammonta!..

— Więc nieodwołalnie żądasz... abyśmy dziś jeszcze wyruszyli stąd... i powrócili...

— Do głównej kwatery, do areyksięcia!..

— Hm... Najpierw jednakże... muszę porozumieć się jeszcze z Deiblem...

— Nie mam nic przeciwko temu!.. Radzę ci tylko postawić Paula na czatach... żebyś zdążyła wrazie czego zasunąć kłapę...

— Bądź spokojny!—Za godzinę dam ci odpowiedź stanowczą!..

— Radzę ci tylko mieć się na ostrożności.

Hrabianka odwróciła się od *sir* Jakóba i wyszła przywołać służebną. Późem powróciła razem z nią, zaparła drzwi *sir* Jakóbem, ściągnęła kobierzec i podjęła kłapę, prowadzącą do podziemnego chodnika.

Na dany znak służebna zapaliła ogarek, zeszyła do połowy schodów i klasnęła w dłonie. W odpowiedzi na ten sygnał u podnóża schodów rozległ się dźwięczny głos.

— Jesteśmy...

— Czy to pan, panie von Deibel?!.

— Do usług!.. Późno!.. Czasby wam wracać!..

— Pozwól pan do mnie... tylko sam!..

W głębi chodnika rozległ się szmer szeptem prowadzonej rozmowy. Po chwili, porucznik stanął przed hrabianką.

— Tu jest pisanie do generała... nadto racz go pan uprzedzić, że dziś w nocy gotują się do napadu na obóz!... Trzeba powracać jak najprędzej!..

— Teraz niepodobna—musimy czekać do wieczora... jak pani wiadomo, wyjście jest obsadzone przez Polaków... o zachodzie kawalerya nasza uderzy... a wówczas będziemy mogli się przerwąć... tymczasem musimy jeszcze czekać!..

— Jak pan uważa!.. Co do mnie, napisałam wszystko... Generał powinien być kontent!

Za pozwoleniem... *sir* Stuart wspominał mi, że zamierza udać się z nami do obozu...

— Istotnie miał myśl, lecz zmienił postanowienie!.. Pan rozumie... obecność nasza jest tu potrzebna... zwłaszcza, iż niewątpliwie będziemy musieli czekać na dywizję Grammonta!..

— Jaktó!.. Więc pani sądzi, że generał Bronovacky... nie zdoła rozprawić się z nimi?!

— Owszem, gdyby chciał poświęcić kilka tygodni czasu—bezwątpienia! Pana to dziwi—tak jest, niestety!.. My pracujemy, przygotowujemy grunt, lecz aby cel osiągnąć, trzeba jeszcze i naporu zewnątrz! Dotąd, musi przyznać generał Bronovacky, nie mogli stracić otuchy!.. Demonstracya nie wystarczy!.. Należy najpierw przekonać ich, że wojsko cesarskie zdoła z ziemią zrównać Częstochowę a poddadzą się bez wahania!..

— No... jaby się z nimi krótko załatwił!—bąknął ponuro von Deibel, wspominając odebrane

plagi. — Generał jednak był przekonany, że sprawa się ułoży inaczej... sam mi polecił przypomnieć pani ostatnie raporty!..

— Mielśmy prawo spodziewać się tego... stało się inaczej! Generał nie pamięta, że tu, prócz żołnierzy, są jeszcze i mnisi, którzy na każdym kroku wypominają jakieś cuda...

— Jednak pani podobno ma wpływy...

— Ale nie takie jeszcze, bym je dziś już wyzyskać mogła!.. Pochód został przyspieszony.. z głównej kwatery brak jeszcze wiadomości o odbytych bitwach, któreby panikę wywołać mogły... Generał Bronovacky zaś jest zbyt wymagającym.

— Od takich ócz, jak pani, można spodziewać się więcej! — zauważył z galanterią von Deibel.

— Nie zawsze!.. Więc, panie poruczniku, zechciej powtórzyć te słowa generałowi i zarazem wytłomaczyć mu położenie... przedewszystkiem czasu!.. Ale może panom zbywa na prowiantach?!

— Dziękuję!.. Uraczyła nas pani tak suto, że aż pilnować musiałem żołnierzy!... Za trzy godziny mamy nadzieję być już w obozie!..

— Byle tylko generał silniejszy atak przypuścił, bo komendant, dla wiadomej panu przyczyny, szczególniejszą zwraca uwagę na szopy...

— No — no! Dadzą mu nasi radę!..

— Nie wątpię!.. Teraz zmuszoną jestem pana pożegnać... a raczej skazać na przesadywanie w tej ciemnicy... ostrożność wszakże tego wymaga!..

— A *sir* Stuart?!

— Już nie będzie się z panem widział... ma naradę z komendantem w sprawie wzmocnienia nasypów!..

— Cha—cha!.. Można powinszować...

— Ale, panie poruczniku, przypomnij generałowi o alfabecie... Mogą nas odebrać, przenieść stąd!.. Gdyby generał ustąpił, w takim razie niech nie zapomni przesłać go Grammontowi...

— Niezawodnie będę pamiętał!..

Von Deibel uściśnął rękę hrabianki i już pochylił się nad otworem, wiodącym do lochu, aby zejść, gdy nagle ozwał się żartobliwie.

— Jeszcze chwilę. Co mam zrobić.. z tym... desperatem... prawie siłą go musiałem zatrzymać, tak się dał za mną...

— Ach! Należało mu wytłumaczyć, że nie podobieństwem jest...

— Ba!.. Ani słuchać nie chciał!.. Rwie go tutaj!—dodał znacząco von Deibel, a zniżając głos, rzekł poważnie.

— Żał mi go!.. Chłopak z gruntu niezły, choć sprzedawczyk... obawiam się, czy z niego będzie pożytek!.. Tu wiódł z takim zapalem. Aż się zdumiałem, a gdym mu oświadczył, że z wami pani, widzieć się nie będzie mógł... o mało się nie rzucił na mnie!.. A i teraz obawiam się, czy mi na jaką desperację się nie waży!.. Oho! Żeby tak on był komendantem!..

— Niepotrzebnie go tu generał przysyłał!..

— Zapomina pani, że byśmy nie trafili bez jego przewodul! Moja rada... pozwolić mu przyjść!..

— Cóż mu powiem! — przerwała niechętnie hrabianka.

Von Deibel przymrużył filuternie jedno oko.

— Jestem pewien, że pani będzie umiała nie mu nie powiedzieć a zamienić go w baranka!.. Dla mnie to bardzo ważne... uniknę przynajmniej kłopotu... i tak już kapral z dwoma żołnierzami ma go na oku a jak teraz powrócę... Cóż — desperat, szalona głowa...

Hrabianka zacięła usta.

— Zresztą—ozwała się po namyśle—dobrze... niech go pan przyprowadzi.. Lecząc jeżeli zechce mi tu robić breweryę... Może się pan myli, może mu nowa służba zbrzydła?..

— Hm! W takim razie postawię przy schodach dwóch żołnierzy... którym dam rozkaz słuchania pani... Ale, ręczę, że to ostrożność zbyt uczynna! Zakochani zawsze wyglądają jednakowo!.. Sprawię mu nie lada uciechę!..

Deibel, nie czekając na odpowiedź Beatryczy, znikł w otworze. Hrabianka ledwie zastanowić się zdołała jak przyjął Raczyńskiego, gdy ten już stanął przed nią.

— Nareszcie cię widzę!.. Dziwisz się, dlaczego tak późno!.. Nie puszczo no mnie, zatrzymano przemocą!..

— Wymagała tego ostrożność!.. Twoje własne bezpieczeństwo... domyślasz się, że teraz podwójnie strzedz się musisz... tutaj!..

Raczyński zwiesił głowę.

— Prawda, prawda! — szepnął głucho. — Teraz inaczej jest... inaczej!..

— I cóż masz mi do powiedzenia?! — zagadnęła sucho hrabianka.

Porucznik spojrzał dziwnie na Beatrycę, jakby uszom własnym nie wierząc, i wyjąkał z trudem

— Pytasz mnie się, pytasz?! A przecież... pamiętasz przyrzeczenie?! Tam mi jest źle, źle bardzo... gorzej niż mi tu było!..

— Musisz być cierpliwym!..

— Pogardę czytam w oczach każdego oficera, każdego żołnierza!.. Bronovacky groził mi prawie! Wyobrażał sobie, że ja mu oddam Bóg wie, jakie usługi!..

— Jesteś nierozsądny!.. Wiesz chyba sam, że im prędzej Częstochowa się podda... tem bliżej będziesz mnie!... Wracaj na stanowisko i czekaj!..

Raczyński padł do nóg hrabiance.

— Nie odpędzaj mnie od siebie! Pozwól mi zostać!.. Tu, w tym lochu, się ukrywę... nie będę cię niepokoił, bylebym choć raz na dzień mógł na cię spojrzeć! Raz na dzień — a poza tem niech panuje dla mnie noc i ciemność!.. Beatryczo pozwól!.. Tam pobyt mój jest nieznośny!..

— Zawsze ten sam, niepoprawny, uparty! — rzekła łagodnie hrabianka. — Nie nie myślisz o przyszłości! Miał wszystkie siły wyteńczyć, aby pomódz sprawie, aby przyspieszyć godzinę swego i mego wyzwolenia — poddajesz się niemocy...

— Nie, Beatryczo — jam gotów na wszystko — niech mnie wyprawia stąd do głównej armii, niech mi pozwolą tylko... pójdę w największy ogień bitewny... tylko nie tu — nie tu! Gdyśmy do ataku szli na szopy... widziałem Godlewskiego... widziałem towarzyszków broni... lecz nie to jeszcze. Docieraliśmy już do wejścia, kiedy zagroził nam drogę młody wołyżer... plątałem go pałaszem po ramieniu... zalał się krwią i upadł na ziemię... a gdym mimowoli spojrzał na niego... obrzucił mnie tak strasznym wzrokiem!.. Poznał mnie Beatryczo!.. Rozumiesz!..

— Szczerze żałuję, iż zawierzyłam ci!.. Nie masz w sobie ani dość hartu, ani woli, by się takich spraw imać... Ogarniają cię dziecinne urojenia!.. Twój komendant umiałby jeszcze mnie otuchy dodać... a nie poddawałby się rozmazaniu!..

— Wracaj ze mną! Niech się ta niepewność skończy... a zobaczysz wówczas, przekonasz się!.. Wracaj... wracaj ze mną!..

— Jeszcze nie dziś!..

— Więc ja tu zostanę!..

Hrabianka chciała odpowiedzieć, gdy wtem, u drzwi wiodących do kwatery sir Jakóba, rozległo się gwałtowne pukanie.

— Patrz, do czego mnie doprowadza twoja nieostrożność! — rzuciła niecierpliwie hrabianka a podszedłszy do drzwi, zapytała spokojnie:

— Kto tam?!..

— Otwórz, do czarta! — rozległ się głos *sir* Jakóba.

— Przyjdź potem! Nie mam czasu!..

— Ani myśli!.. Jeżeli nie otworzysz dobrowolnie... każę drzwi wysadzić!.. Dostę tej zabawy! Za godzinę musimy być w obozie!.. Rozumiesz?!

Hrabianka drgnęła i, nie zważając na pogróżki *sir* Jakóba, — chwyciła Raczynskiego za rękę!

— Słyszales?!. Musisz z nim skończyć!..

— Jakto?! — zapytał glucho porucznik.

On mnie więzi, tyranizuje... narzuca się ze swoją miłością!..

— Waży się... ciebie?!

— Ledwie przenieść mogę — codzień staje się natarczywszym!..

Jakby na potwierdzenie słów hrabianki, poza drzwiami rozległ się ostry głos *sir* Jakóba.

— Beatryczo — otwieraj! Słyszysz?!. Cheesz mnie zniewolić do użycia przemocy?!

Hrabianka zarzuciła ręce na szyję Raczynskiego i szepnęła tonem błagalnej prośby.

— Ratuj mnie, wyzwól z rąk tego niktzemnika!..

Porucznik zatrząsł się z pasy i skoczył ku drzwiom, aby je otworzyć. Beatrycza powstrzymała go za rękę.

— Co chcesz uczynić!.. Pamiętaj, że ma na zawołanie strzelców!.. Nie tak... ja mu otworzę... staniesz w tem miejscu... i zarzucisz mu na głowę ten... tu kobierzec... zwiążemy go... inaczej gotów jest mnie i ciebie zgubić!..

Raczynskiemu ten plan nie przypadł do smaku, lecz hrabianka popechnęła go w zacieniony róg izby i sama zbliżyła się do drzwi, które dygotały w zasłach pod naporem ramion *sir* Jakóba.

— Beatryczo — nie doprowadzaj mnie do ostateczności! — groził *sir* Jakób. — Drzwi roztrzaskam!

Hrabianka najspokojniej odsunęła zasuwę, otworzyła drzwi i ozwała się drwiącym tonem.

— Widzę, że pan z każdym dniem coraz większe robisz postępy!..

Sir Jakób otarł chustką potem zroszone czoło i rzekł hamując wzburzenie.

— Moje postępy idą tylko równolegle do twoich!.. Zbieraj się!.. Natychmiast stąd ruszamy!.. Jutro będziemy już daleko od tego przekłętogo miejsca!..

— Dokądże-to myślisz się wybrać!..

— Byle prędzej, byle najdalej stąd... do Wiednia, do Hamburga!.. Wszystko jedno dokąd!..

— Taak... no a twoje zobowiązanie dane Sidney-Smithowi!?

— Uważam za niemożliwe do spełnienia... Zresztą, on mógł sobie poprzysięgać zemstę Bonapartemu za niewolę, za więzienie, za upokorzenia... Przrzekłem iść z nim ręką w rękę... ale nie pod grozą, że ciebie mógłbym utracić... że z tobą mógłbym się rozłączyć!..

— Cha — Cha! — zaśmiała się serdecznie hrabianka. — A wiesz, że mnie takie niebezpieczeństwo wcale nie przestrasza!..

Sir Jakób zacisnął zęby.

— Radzę ci nie żartować ze mną!..

— Znów pogroźki!

— Zastugujesz na niej!..

— No więc pamiętaj sobie, że ja grozić ci nie będę!..

— Dosyć gadulstwa!.. Zabieraj się! Gdzie słuzebna!.. Czas skończyć... potem się rozprawimy!..

— Ja wolę teraz!—zawołała groźnie hrabianka i ujęła *sir* Jakóba mocno za rękę.

— Co ty?!.. Oszalałaś?!—rzucił *sir* Jakób, nie rozumiejąc tego dziwnego wybuchu Beatryczy.—Puszczaj!..

— Nie!—zakrzyknęła hrabianka, wczepiając się silniej w rękę *sir* Jakóba. Ten ostatni nateżył mięsy i już jednym, gwałtownym ruchem miał odepchnąć od siebie hrabiankę, gdy wtem zarzuciono mu kobierzec na głowę i powalono na ziemię.

Rozprawa była zajadła, lecz krótka. Racyński, mimo zaciętej obrony *sir* Jakóba, — związał mu przy pomocy hrabianki ręce i nogi a następnie zakneblował usta.

Sir Jakób tarzał się jeszcze przez chwilę, przeżył mięśnie, jakby chciał porwać kępujące go sznury, lecz zacisnął je tylko silniej.

Racyński dyszał ciężko. Hrabianka szyderezo spoglądała na nabiegłą krwią twarz więźnia.

Co z nim zrobimy?!—zagadnął porucznik.

— Trzeba go będzie umieścić w jakim kącie lochu... niech tam zdycha!..

Racyński poruszył się niespokojnie.

— Ależ Beatryczo... możeby... go lepiej oddać generałowi Bronovacky'emu jako jeńca!?

— Ani myśli! zgubiłby nas!.. Słuchaj! Zaklinam cię ani słowa nikomu o tem, co się z nim stało!.. Już ja go sama umieszczę w lochu... widziałam tam boczny kurytarz... nikt go nie znajdzie!..

— Beatryczo... umrze z głodu!..

— Należy mu się to nawet. Całe życie jadał za trzech—mały post przed śmiercią ułatwi mu zbawienie!..

Hrabianka zaśmiała się cicho. Racyńskiego mróz przeszedł.—Beatrycza, dostrzegłszy wyraz słupienia na twarzy porucznika — nie dała mu przyjść do słowa.

— Teraz słuchaj!.. Wrócisz do obozu. *Von* Deibel ma dokładne instrukcje! Zobaczysz, co postanowi Bronovacky!.. Nie przerywaj mi!.. Tak być musi! Jeszcze kilka dni tylko...

— Beatryczo... ty sama tutaj!..

— Bądź spokojny — dam sobie radę! Mam strzelców pod ręką!.. A nadto jestem pewną, że za tydzień będzie tu rządził kto inny!

— Lecz komendant!..

— I na niego znajdzie się sposób! Zechce się upierać... no to najwyżej pójdzie za swoim kuzy-nem!.. Tak... tak! Bądź rozsądnym! Sam widzisz, jak myślę o połączeniu się z tobą!..

Racyński ociągał się jeszcze z odejściem—Beatrycza atoli zasłoniła mu usta ręką i popchnęła z lekka ku wyjściu.

— Idź już—idź!.. Mam, sam widzisz, wiele do czynienia!..

— Tylko... pamiętaj... miej litość!..

— Ach! Dobrze—dobrze!.. Tylko idź!.. Czekają!..

Beatrycza złożyła gorący pocałunek na czole porucznika i skinęła na stojących u podnóża schodów żołnierzy.

Gdy odgłos kroków porucznika i jego eskorty umilkł w głębi lochów — hrabianka wróciła na górę, do swej izby, i stanęła przed leżącym bezwładnie *sir* Jakóbem.

— Jakże się czujesz?! Co?! Niewygodnie ci?! Widzisz, do czego cię doprowadziła zazdrość!.. Pogardzam tobą! Słyszysz?! Zdawało ci się, że ja dla ciebie aż tu przyjechałam?! Toś się bardzo pomylił! Pamiętasz Grammonta?.. Porównaj tylko siebie z nim. Więc Grammont albo ten porucznik!.. Dopiero się namysle! Jestem dosyć bogata, żebym sobie mogła pozwolić na dowolny wybór!.. Dziękuję ci za testament! Nie omieszkam z niego skorzystać!..

Sir Jakób odsapnął ciężko i targnął więzami.

— Nie podoba ci się!.. projektowałeś sobie inaczej!.. Zdawało ci się, że zamienisz mnie w niewolnicę swoją?! Że ja pozwolę się ci wyzyskiwać?! Dobraliście się obadwaj z twoim kuzynem!.. Fortecę zdobędzie Grammont — on weźmie nagrodę, on zrobi porządek w skarbcu, a ty zostaniesz tutaj... Będzie ci nawet bardzo dobrze — zacisznie, bez hałasów i przekleństw będziesz mógł rozmy-

ślać o swoim lordowskim tytule!.. Tylko się nie gorączkuj, bo ci zaszkodzi!.. Uważałam sobie za obowiązek powiadomić cię o wszystkim... A teraz czeka cię mała podróż! Widzisz, chyba nie możesz wymagać, abym cię na rękach niosła... Uczyniłabym to jednak chętnie... Ale cóż, musisz udawać beczkę... Po schodach będzie ci trochę stromo, lecz to nie moja wina — nie moja! Niewygodnie ci — żałuję bardzo, lecz nie nadto uczynić dla ciebie nie mogę! Byłeś zbyt wymagającym — teraz niech ci się zdaje, że jesteś znów razem z Sidney-Smithem w niewoli francuskiej... Rozumiem, że ci się to wszystko bardzo niepodoba, szczególnie Grammont... ale... mam nadzieję, że się do tego przyzwyczaisz... będziesz miał czas do namysłu...

Sir Jakób targnął znów z rozpaczliwym wysiłkiem krępującymi go więzami — Beatrycza uśmiechnęła się z politowaniem i, nie zważając na pełne groźby spojżenia więźnia — zapaliła stoczek i weszła do podziemi. Szło jej o to, aby w lochu znaleźć tak zaciszny kąt, w którymby nawet komendant nie wykrył *sir* Jakóba, w razie gdyby Stuartowi przyszła myśl zejść do chodnika.

Po krótkich poszukiwaniach hrabianka upatrzyła wielki załamek w bocznym, napół zawalonym, rozgałęzieniu kurytarza... Miejsce to wydało się jej ze wszech miar dogodne, bo i leżało niedaleko schodów i było dostatecznie oddalonym od drogi, wiodącej do szopy na przedmieściu. Wejście zaś do tego kurytarza było tak zasypane gruzem

i ziemią, że niepodobieństwem wydawało się przypuszczać, że tu mógłby ktoś zabił. Niepokoilo wprawdzie Beatrycę odkrycie, że chodnik rozszerza się w głębi i że może mieć jakieś nieznanne połączenie z zabudowaniami klasztorami — ale wyboru nie było. Ten kurytarz z pośród najbliższych miał pozory najwięcej opuszczonego. Innego zaś Beatrycza szukać nie chciała, obawiając się zarówno spotkania z oddziałem Deibla, jak i grobowej pustki lochów.

Po obraniu schroniska — hrabianka powróciła na górę i, rozłożywszy na podłodze puszysty kobierzec, jął posuwać ku niemu związanego *sir* Jakóba. Temu ostatniemu pot kroplisty wystąpił na czoło. Po nacięciu mięśni twarzy znać było, iż chce coś powiedzieć, coś przedstawić, o coś zapytać...

Beatrycza odgadła niepokój swego więźnia.

— No... no nie obawiaj się!.. To tylko dla twego dobra... owinę cię tym kobiercem, żebyś się nie potłukł... Czekaj cię przecież podróż do lochu!.. A ja... pomimo najszeźszych chęci, nie mogę cię podnieść... no i ty sam jesteś zbyt rycerskim, byś wymagał ode mnie takiej przysługi!.. Duszno ci trochę będzie, ale to nie!.. Głowę przede wszystkim... taak!..

Sir Jakób wiał się, sapiał, szamotał, lecz, mimo wszystkie jego wysiłki, hrabianka określiła go, drugim kobiercem, przewiązała sznurem i zamieniwszy go w ten sposób w wał bezwładny, jął toczyć powoli ku otworowi w podłodze.

Sir Jakób dyszał ciężko, jęczał, jeszcze próbował się szamotać, lecz jeno więzy zaciskał mocniej i sobie samemu głębiej wpijał postronki.

Na krawędzi schodów hrabianka zatrzymała swoją ofiarę i rzekła z flegmą.

— Teraz ostrożnie... przykroby mi było, gdybyś sobie nabił siniaka!.. Uważaj!..

Sir Jakób, pehnięty z lekka, stoczył się z impletem po schodach i padł z jękiem na dno piwnicy. Hrabianka zeszła za nim i zaczęła go toczyć ku obranemu chodnikowi. Było to zadanie nielada, gdyż nierówny, wyboisty grunt co chwila nowe czynił zapory. Beatrycza odpoczywała po kilkakroć nacięta siły, aż w końcu zdołała dotrzeć do wgłębienia. Tu dopiero zdjęła z *sir* Jakóba kobierzec a dostrzegłszy na jego bladej twarzy krwawe plamy — otarła je chustką.

— Mówiłam ci, ostrzegałam!.. nie słuchałeś!.. Nie masz zresztą czego żałować!.. Teraz proszę o spokój, rozluźnię ci knebell!.. Oddychasz lżej! A co!.. Tu będzie ci wygodnie, trochę wilgotno — lecz tyś do kataru skłonności nie miał!.. Posiedzisz sobie, bo idzie mi oto, żeby cię Grammont zobaczył... Nie lubisz go! Zato on ucieszy się twoim widokiem.

— Podł! — wybelgotał z trudem *sir* Jakób.

— Taak! No, to pozwól buzię... zawiążemy ją! Światło zabieram, żeby cię w oczy nie raziło!..

Beatrycza raz jeszcze sprawdziła więzy, krępujące *sir* Jakóba i powróciła do siebie. Czas

był po temu największy, bo zaledwie zdołała zasunąć klapę do lochu — w oddali rozległy się gwałtowne salwy karabinowe.

Hrabianką ogarnął niepokój. Komendant wyieczkę swoją przygotował na noc, Bronovacký miał znów atakować szopy o zachodzie słońca — musiało więc się stać coś nadzwyczajnego. Beatrycza bez namysłu zarzuciła na siebie chustę i wybiegła w stronę wałów.

Przeczcucie nie zawiodło Beatryczy. Komendant po odbyciu burzliwej narady z kapitanami, podczas której gorzkie czynił wymówki Godlewskiemu za to, że pozwolił się spędzić z pozycei — wydał rozkazy oddziałom, mającym wziąć udział w nocnej wyprawie i oświadczył, że sam nad nimi obejmie dowództwo. Kapitanowie rozchodzili się w ponurem milczeniu, rozprawiając z cicha między sobą o tajemniczym zniknięciu Raczyńskiego.

Stuart z Hanem zawrócili do refektarza, kędy ojcowie paulini urządzili byli ambulans dla rannych. Komendant poczuwał się do obowiązku odwiedzić ich a zarazem ojcom podziękować. W refektarzu przyjął Stuarta ojciec Floryan.

Komendant uściśnął rękę paulina, obszedł szybko rannych, wysłuchał relacji, że z pośród siedmiu rannych — jednemu tylko wołyżerowi śmierć zagraża i zabierał się do wyjścia — gdy ojciec Floryan odprowadził go nieznacznie na bok.

— Tamten, panie komendancie, nie pociągnie długo!.. Cięcie pałasza do mózgu doszło!..

— Szkoda... Szkoda chłopaka! Młody!

— Siedemnastolatek!... Pierwsza ofiara!...

— Co robić ojeze!... Wojna! Każdego z nas czekać może toż samo!... Byłe biedak nie cierpiał!...

— Stracił przytomność... a jak go przynieśli, mówił!...

— Tak — tak... bywał — urwał Stuart, chcąc skrócić gadatliwość staruszka.

— Mówił... — dodał paulin, zniżając głos — o poruczniku Raczyńskim!...

— O Raczyńskim!?

— Tak, panie komendancie... że to nie Austryak, lecz porucznik płałnął go po głowie pałaszem!...

— Raczyński!... Chyba mu się przywidziało!..

— Wątpię! — odparł sucho paulin. — Był przytomnym... a sam czuł, że stoi przed obliczem śmierci!...

— Ojeze!... To, co powiadacie... wydaje się niemożliwe!... W malignie był!...

— Nie, komendancie!...

— Więc trzeba go cucić! Trzeba mu wrócić przytomność, bodaj na chwilę tylko!...

Paulin pokiwał smutnie głową i wskazał komendantowi róg refektarza, skąd szedł głuchy, przeciągły charkot.

— Kona!...

Stuart, poruszony odkryciem, skinął na Hana i wybiegł na wały. Myśl, że napad Austryaków na szopy miał cel ukryty — wróciła doń z po-

dwójną siłą i kojarzyła się teraz ze zniknięciem porucznika i podziemnym kurytarzem.

Komendant postanowił zabezpieczyć się przedewszystkiem od zakusów na przyszłość. Nie zwierzając się więc Hanowi — nakazał kompanii rezerwowej Celińskiego ruszyć na przedmieście i obsadzić szopy a Godlewskiego uprzedził, że w razie, gdyby Austriacy demonstrowali z tej strony jakieś ruchy — uderzyć powinien na nich, nie czekając natarcia. Równocześnie Stuart kazał stanąć pod odwachem spieszonemu plutonowi ułanów, zamierzając wprowadzić go do podziemi i, na wszelki wypadek, zgotować tam należyte powitanie.

Z plutonem tym chciał udać się sam, aby nie wszczynać niepotrzebnych gawęd wśród załogi. Według planu komendanta — pluton zabierze ze sobą dostateczną ilość żywności, łuczywa, knotów i łożu, i pozostanie w podziemiu na warcie aż do końca oblężenia.

Stuart aż ręce zatarł z ukontentowania, wyrzucając sobie samemu, iż tak prostej a łatwej do wykonania ostrożności nie przedsięwziął wcześniej.

Tymczasem kapitan Godlewski prawie jednocześnie z otrzymaniem dodatkowych rozkazów Stuarta — dostrzegł był ruch na linii pikiet nieprzyjacielskich. Dwa półbataliony piechoty wystąpiły równie ociężałe jak z rana — szwadron huzarów tak samo manewrował — bateria artylerii wlokła ospale swe żelazne cielska.

Godlewski policzył uważnie siły nieprzyjaciela — były one dwakroć większe, niż podczas ranego ataku, lecz jeszcze zbyt szczupłe, aby do szturm pójść mogły. Kapitanowi również te ruchy wydawały się niezrozumiałemi — tem więcej iż reszta korpusu, jak to wskazywały liczne dymy pośród obozu — zabierała się spokojnie do wieczery.

Kapitanem zawładnęła chęć odwetu. Przywołał porucznika Rutkowskiego i nakazał mu natychmiast wyprowadzić dwie kompanie wołyżerów.

Piechota austriacka jakby uwagi nie zwracała na wołyżerów Godlewskiego i szła, niby chcąc okrążyć pozycję, pod śtą Barbarą. Godlewski atoli nie dał na siebie czekać. Wysłał ordynansa do Stuarta a sam, podwójnym krokiem, poprowadził swój oddział.

Austriacy powitali wołyżerów rotowym ogniem a po chwili jeli się cofać, zakreślając zawile półkola, że ścigający ich krok w krok Godlewski ani się spostrzegł, gdy wyciągnięty został tak w pole, że wały przedmieścia miał z lewej strony, z prawej obóz nieprzyjacielski, a wprost mocny czworobok szasserów austriackich — poza sobą zaś huzarów.

Godlewski, dostrzegłszy w końcu niebezpieczeństwo takiego stanowiska, wyprawił co do ducha ordynansa do imię pana Czerno, aby z gwardyą narodową miał na oku huzarów — a sam chciał zmusić nieprzyjaciela do zmiany frontu. Lecz Austriacy w oka

mgnieniu zmienili postawę. Szasserzy rozpoczęli ogień — od strony obozu bezwładna dotąd artylerya jęła sypać kartaczami. Godlewski ledwie dostać mógł na stanowisku.

Stuart — na odgłos pierwszych strzałów — rzucił się ku przedmieściu i trafił na chwilę, kiedy imé pan Czerno gotował ochotników. Komendant jednym rzutem oka ocenił położenie Godlewskiego i natychmiast rozpoczął rżęsiasty ogień na huzałów, odgradzając ich od wołyżerów wstęgą ognia — sam zaś z kompanią rozerwową Celińskiego szedł, aby szasserów austriackich zaatakować od strony szop.

Austriacy jakby odgadli skradanie się Stuarta, bo na dany sygnał złamali swój czworobok i podczas, gdy jedna jego część stawiała czoło Godlewskiemu — druga wpadła na oddział ułanów, broniących szop.

Stuart aż zatrząsł się z wściekłości. Teraz już nie wątpił, że nieprzyjaciel w miejscu tem szuka czegoś więcej nad zdobycie stanowiska.

Ułani, widząc nadciągające posiłki stawili się mężnie — a wsparci niebawem przez Stuarta jęli wspierać Austriaków.

Komendant stał sam w pierwszym szeregu i raził ogniem nieprzyjaciela, czekając już tylko chwili, aby bagnetami dokonać rozbicia szasserów. Austriacy po dwakroć próbowali wyprzeć Stuarta z szop i po dwakroć ze znacznie przerzedzonymi szeregami ustępować musieli. Komendant roz-

grzany bitwą, zachęcał żołnierzy, krzepił a własnym przykładem zagrzewał. Zdawało się, że Austriacy lada chwila się cofną. Gdy wtem do bosze nieprzyjacielscy — uderzyli w bębny mocniej, zajadlej. Szasserzy pochylili karabiny i natarli raz jeszcze...

Szeregi polskie zachwiały się — ugięły, lecz nie ustąpiły. Austriacy jeszcze szamotali się... lecz zdało się, że był to ostatni ich wysilek... Gdy nagle na tyłach kompanii Celińskiego rozległ się okrzyk pełen przerażenia...

Zanim Stuart zdołał dotrzeć do miejsca, gdzie zamieszanie się wszczęło — dostrzegł był już kaszkiety austriackie w samym środku swego czworoboku. Komendant oczom własnym nie wierzył, lecz wzmagające się okrzyki zgrozy w oka mgnieniu przekonały go o strasznej prawdzie.

Stuart chciał zwrócić trzy ostatnie plutony przeciwko niespodziewanym napastnikom, było już jednak za późno. Oddział Austriaków napadł z szalonym impetem na tyły piechoty polskiej, złamał bez oporu dwa pierwsze szeregi i jął żłobić sobie drogę ku nacierającym z przodu szasserom.

Komendant zakrzyknął na Celińskiego i z podniesionym pałaszem dał się do walczących, aby zagrzać ustępujących żołnierzy i popłoch zażegnać. Szasserzy austriaccy atoli dostrzegli już byli także walczących na tyłach i natarli silniej.

Piechota polska rozczłonkowana, rozłupana na dwoje, straciwszy pewność oparcia, taczała się

bezwładnie, nie wiedząc, ani w którą stronę zwrócić bagnet, ani gdzie szukać celów.

Kapitan Celiński po trzykroć zbierał ustępujących żołnierzy i próbował wszczać ogień rotowy. Daremnie, Austriacy już roztrącali przed sobą ostatnią garść woltýżerów i dotrzymujących im placu kilkunastu ułanów.

Stuart, widząc pogrom niechybny, wyprawił do Szymanowskiego adjutanta, nakazując rychtowanie dział a sam, dostawszy się do stojącego bezradnie pana Czerne z gwardyą narodową—powiódł ich znów na szopy.

Austriacy tymczasem już ustępować zaczęli ku obozowi, cofając się rozwiniętym frontem. Komendant nie baczył na ich ruchy i szedł na nich wprost, chcąc pomścić porażkę.

Już gwardya narodowa, nasadziwszy bagnety i pochyliwszy się ku przodowi, szła podwójnym krokiem do ataku, — już Stuart, idący na lewem skrzydle, odbił wymierzone ku sobie cięcie pałasza,—gdy nagle, tuż przed sobą, zobaczył w pierwszym szeregu von Deibla a za jego plecami nachmurzoną twarz Raczyńskiego.

Komendant zęby zacisnął i spadł jak burza na szasserów — gwardya narodowa z okrzykiem rzuciła się za swoim dowódcą.

Natarcie było zażarte. Stuart rzucał się na bagnety, wrębywał w austriackie plutony, nie zważając ani na wymierzone ku jego piersi ostrza, ani na świszające dookoła kule. Stuart szedł

wprost na Deibla, na Raczyńskiego—z nimi chciał się zmierzyć, im w oczy zajrzeć.

Manewr gwardyi dodał otuchy kompanii Celińskiego i oddziałowi Godlewskiego. Złamana przed chwilą linia polska — rozwinęła się znów i zaciskała się powoli około Austryaków. Woltýżerzy chwiać się zaczęli. Zdało się, że lada chwila runą do obozu. Aż naraz—zaledwie Godlewski stał się, z boki woltýżerów i nacisnął ich ku Stuartowi — tuż za nim rozległ się gwałtowny tentent koni... Godlewski zakomenderował na zmianę frontu, lecz husarzy już tratowali i siekli przed sobą polską piechotę...

Niespodziewana szarża nowe zamieszanie wzbudziła. Gwardya narodowa, prowadzona przez Stuarda, zatrzymała się, tracąc impet. Szasserzy zaś skorzystali z tej pauzy i rzucili się do ucieczki. Zanim komendant sprawił swoje szeregi, zanim Godlewski zdołał zmusić huzarów do opuszczenia placu — szasserzy już wydostali się na baterye, które, mając otwarty przestwór dla strzałów — bluznęły kartaczami na Stuarda.

Rozwaga nakazywała zebrać rannych i szukać schronienia za wałami przedmieścia. Trąbki polskie zagrały odwrót, gwardya narodowa i woltýżerzy z niedobitkami ułanów zawrócili na stanowiska. Baterye austriackie, widząc oczyszczone przed sobą pole, nawet nie pokusiły się o honor ostrzelania przedmieścia i, zaciągnawszy łańcuchy na odprzodkowane wózki z amunicją, jęły powoli

wlec się ku obozowi, przybierającemu znów poprzedni pozór apatycznej beczynności.

Tymczasem w Częstochowie wrzało od wzburzenia. Niespodziewany i tak dziwnie poprowadzony atak szerokie wywołał rozprawy — długi korowód noszy polowych, ciągnących do refektarza z rannymi, przygłębił najśmielszych, najufniejszych.

Stuart zrozumiał doniosłość porażki. Żołnierz młody, niedoświadczony, nowozacieczny, upadł na duchu, stracił i pewność, i fantazję, i zapal. Oficerowie poglądali po sobie krzywo. Łada chwila miały wyniknąć spory, kto tu zawinił, kto przeoczył napastnika a kto zapomniał o rozkazach.

Lecz Stuart wytrawnym był żołnierzem, wiedział, iż każde napomnienie, każda uwaga, łada wymówka jeno gorycze powiększy a złego nie naprawi — i dlatego, poruczywszy Hanowi zluzowanie Godlewskiego na przedmieściu Ś-tej Barbary, — sam powlókł się strudzony do swojej kwatery, aby tam myśli zebrać i nad odwetem się zastanowić.

Komendant zasiadł ociężale nad stołem i jał kreślić raz jeszcze przebieg tylko co stoczonej bitwy, aby tem lepiej uprzytomnić sobie wszystkie ruchy a co zatem idzie i błędy obustronne. Zwyczaj ten wyniósł Stuart jeszcze z legionów.

Rozrachunek szedł gładko — Godlewski zbyt nieopatrznie dał się wyciągnąć za wały. Celiński nie wsparł go w porę, Czerno nie zajął pozycyi

odpowiedniej... Błąd snuł się z błędu... aż do chwili, kiedy to komendant dostrzegł na tyłach ową garść Austryaków. Skąd oni się tam wzięli? Nie mogli się wedrzeć z frontu, bo tem samem nie wzniciłoby popłochu i mieliby przed sobą jakiś pluton, któryby nie pozwolił im nacierać ku obozowi od Częstochowy!.. Twarz Raczyńskiego, którą widział między nieprzyjaciółmi, maciła do reszty spokój Stuartowi.

W tem wszystkiem czuł jakąś tajemnicę, a choć wpadał nawet na domysł, że kurytarz podziemny mógł tu grać poważną rolę, jeszcze nie rozumiał, gdzie ta rola właśnie się zaczynała. Co ważniejsza, pojąć nie umiał postępowania Bronovacky'ego. Jeżeliby ten miał zamiar stoczenia bitwy — dla okazania swej siły — to powinien był wyprowadzić liczniejsze oddziały — wykonać wprost szczery czy nieszczery manewr z pozorami szturm; — jeżeli zaś bitwa była związana przypadkowo, to przecież miał obowiązek skorzystania z przewagi — a on cofnął się raptownie, równie niespodziewanie, jak wystąpił, nawet nie myśląc korzystać z osiągniętej przewagi. A przecież Bronovacky musiał mieć i plan i cel w takim właśnie postępowaniu.

Komendant chciał wezwać Celińskiego, aby raz jeszcze z nim razem zastanowić się nad przebiegiem wypadków — gdy służbowy podoficer zameldował mu porucznika ułanów Rudowskiego. Stuart kazał go prosić.

Porucznik stanął przed komendantem w zakurzonym, poszarpanym mundurze, z śladami wyniesionymi z ostatniej potyczki. Stuart zmierzył ostro porucznika.

— Snać pilna sprawa przywodzi acana, kiedy zapomniałeś o należnem mi uszanowaniu i stawisz się w takim uniformie!...

— Tak jest, komendancie!...

— Cóż więc? Mów acan prędko!..

— Stałem od wczorajszej potyczki w szopach na przedmieściu... kiedy nadciągnęła kompania kapitana Celińskiego—mnie pozostawiono na stanowisku i nakazano łańcuch utrzymywać...

— Tak—wiem o tem!...

— Czy i o podkopie pan komendant ma już wiadomość?...

Stuart podniósł brwi do góry i spojrzał zdziwiony na porucznika.

— O podkopie?!

— Tym, którym pluton austriacki dostał się na tyły naszego stanowiska?!

— Co mi acan za androny prawisz?... Podkop? Gdzież tam mógł być podkop?!

— Był i jest, panie komendancie!... Raportowałem o nim kapitanowi Godlewskiemu i ten właśnie kazał mi udać się do pana, panie komendancie!

Stuart podniósł się z za stoła, nacisnął kaszket i skinął na porucznika.

— Prowadź mnie acan!...

Rudowski ruszył naprzód. Stuart szedł za nim, nagłąc do pośpiechu. Porucznik wiódł wprost na przedmieście do szop. Komendantowi skronie pulsowały. Więc był podkop, był—a on nie o nim nie wiedział, dał się więc podejść!... Zawiódł zaufanie marszałka, naraził się na nagane sztabu, na poderwanie wiary w nim pokładanej...

— Poruczniku! — rzucił Stuart Rudowskiemu, kiedy zbliżali się do szop. — Podkop, mówisz... to... niepodobna!..

— Panie komendancie, jeszcze kilkanaście kroków a będziemy go mieli!..

Komendant pochylił głowę i dał się prowadzić.

Po chwili Rudowski, ku wielkiemu zdziwieniu Stuarta, wszedł do znanej dobrze komendantowi szopy i wskazał mu schody, wiodące do loszku, kryjącego zejście do podziemi.

— Tu, panie komendancie, podkop!..

Stuart spoglądał osłupiały na Rudowskiego, nie rozumiejąc jego słów.

— Podkop!? Gdzie podkop!?

— Jest komendancie... zechciej zejść po tych schodach... tędy wyszedł pluton nieprzyjacielski i zajął nam tyły... tu wrzała najzaciętsza walka... Dziesięciu żołnierza nam posiekli... Dokąd idzie ten podkop—nie badaliśmy. Nie było czasu—nadto niechcieliśmy nie czynić bez twego, panie komendancie, rozkazu! Lecz teraz, jeżeli pozwolisz... Pochodnie mam przygotowane... Ludzie czekają...

Komendant skinął przyzwalająco. Rudowski zawołał na stojących w pobliżu żołnierzy. Zapalono pochodnie. Rudowski z dwoma szeregowcami poszedł naprzód. Stuart podążył za nimi.

Porucznik posuwał się ostrożnie, dzieląc się co chwila wrażeniami z komendantem, który w milczeniu je przyjmował, wodząc zdumionym wzrokiem po oślizgłych ścianach lochu, jakby istotnie poraz pierwszy się w nim znajdował.

— To nie podkop! — mówił Rudowski — lecz podziemny chodnik... musi mieć wylot ukryty w stronie obozu... nieprzyjacielskiego... Tędy iść musieli, są świeże wyciski na ziemi!... Chociaż, zdaje mi się, że kierunek chodnika, jakby szedł w stronę klasztoru... Ale to niemożliwe chyba bo skądby się tu wziąć mogli Austriacy!..

Rudowski postępował ostrożnie, badając uważnie każdy załam chodnika, a pragnąc rozwiązać tajemnicę napadu.

Komendantowi tymczasem wracała powoli zimna krew — dla niego nie było już niepewności. Raczynski tu działał, Raczynski ich naprowadził!.. Ten atak pierwszy był tylko zamaskowaniem zasadzki a ten drugi zasadzką... Lecz czy tylko zasadzką? Bronowacki musiał mieć tu swój cel ukryty — Bronowacki, wiedząc o przejściu umiałby zgotować większą niespodziankę... Chyba, że szło mu o skomunikowanie się ze sprzymierzeńcami!.. Z Raczynskim! O tego tu szło! Raczynski był szpiegiem!.. Czy on jeden!?

Porucznik Rudowski natrafił był właśnie na rozszerzenie lochu, w którym widniały świeże ślady legowiska ludzkiego.

— Tu uctowali, tu byli! — zawołał z tryumfem porucznik...

— Wracajmy! — rozkazał krótko Stuart.

Rudowski ledwie uszom własnym wierzył.

— Panie komendancie... jesteśmy na tropie wylotu!..

— Dosyć! Wiem!... Prowadź acan z powrotem!..

Porucznik zawrócił, nie mogąc pojąć obojętności komendanta dla tak doniosłego odkrycia.

Kiedy już Rudowski zatrzymał się u stóp schodów dla przepuszczenia komendanta do wyjścia — Stuart ozwał się doń raptownie:

— Gdzie twój pluton, poruczniku?!

— Zluzowany po bitwie!

— Wyślesz ordynans i każesz mu przybyć tu pod bronią!.. A następnie nagotujesz zapas łączywa i zajmiesz wartę w lochu, ale tak, aby cie nie widziano z zewnątrz! Żywa dusza ani wyjść stąd nie powinna! — ani wejść. Nie ruszysz się bez mego rozkazu... ani z nikim nie będziesz się wdawał w rozmowy o tem, co widziałeś!.. Z nikim!..

— Według rozkazu, komendancie!..

Wydawszy to polecenie, Stuart zawrócił do klasztoru. Przechodząc około odwachu, zagadnął służbowego oficera o pluton, który miał stać w pogotowiu. Oficer służbowy wskazał mu oddział uła-

nów, stojący w pobliżu. Komendant podeszedł do plutonu.

— Kto z prawem starszeństwa?!

— Wachmistrz Barcikowski, panie komendancie!..

— Pluton Raczyńskiego?!

— Tak jest, panie komendancie!

Stuart zawahał się.

— Barcikowski—rzekł po namyśle.—Porucznik Raczyński wystąpił z pułku... ty go zastąpisz tymczasem! Za mną!..

— Marsz!—huknął stary wachmistrz.—Z prawej! Z prawej! Równo!..

Pluton z automatyczną ścisłością ruszył w krok za komendantem. Barcikowski przejęty niespodziewanem odznaczeniem, patrzył w Stuarta jak w obraz, każdy jego ruch śledząc.

Wachmistrz był pewien, że go czeka nielada ordynans, może placówka w miejscu, gdzie należy się spodziewać napadu a może nawet rekonesans. Co prawda, dziwnem zdawało się wachmistrzowi na piechotę wywiady czynić, lecz godził się w duchu i z tym losem, choć mu z myśli już od czterech dni nie schodziły obrzękle pęciny zastępy kobyły.

Stuart prowadził żołnierzy wprost ku swojej kwaterze. Gdy nareszcie stanął w sieni, prowadzącej do wąskiego kurytarza, dzielącego dom na dwie połowy — wachmistrz mimowoli przystanął. Stuart postrzegł to ociąganie się.

— Formuj dwójki i za mną.

Wachmistrz spełnił rozkaz. Komendant szedł dalej do kwatery zajmowanej przez Beatrycę.

Hrabianka właśnie powróciła była z wałów i miała wysłać służebną do Stuarta, aby choć na chwilę przybył do niej, gdy naraz w przyległej izbie posłyszała brzęk ostróg i głos komendanta.

Beatrycza pośpieszyła ku drzwiom naprzeciw Stuarta, gotując się zgromić służebną, że powążyła się zatrzymywać go — kiedy drzwi otwarły się przed nią raptownie, a w nich wraz z wyniosłą postacią komendanta, ukazał się szereg czap ułańskich i wystrzelistych kit.

— Właśnie chciałam ślać po ciebie!.. Ale... cóż to znaczy!.. Tyś, widzę, nie sam!..

— Nie! Pozwól Beatryczo! — przerwał ostro komendant. — My tu nie do ciebie!.. Usuń się!.. Barcikowski!.. Ściągnąć mi ten kobierzec! Wieszysz tą klapę? Podważyć i na bok! Tak! Teraz dwóch żołnierzy po łuczywo!..

— *Gaetano!* Co zamierzasz!..

— Nie! Uspokój się! Służba!..

Hrabianka roześmiała się z przymusem.

— Żołnierzy wprowadziłeś do mojej kwatery!? Stuart nie nie odrzekł.

— *Gaetano!* co czynisz! Chcesz żebym...

— Pozwól, Beatryczo, nie czas na wyjaśnienie! Później!.. Jest łuczywo!?. Zapalić i za mną!..

Komendant, a za nim ułani zeszli do lochów. Hrabianka z zapartym oddechem czekała na po-

wrót Stuarta. Jeżeli komendant znajdzie *sir* Jakóba będzie zgubioną... a znaleźć może, bo oczywiście wpadł na trop... musi mieć pewne podejrzenia, inaczej nie ważyłby się na podobny krok.

Hrabianka zastanawiała się jeszcze, jak ma przyjąć Stuarta, czy należy mu okazać dumę obrażoną, czy rozżalenie—gdy komendant powrócił już z lochu. Beatrycza z niepokojem spojrzała na twarz komendanta, pragnąc ze zmarszczek i bruzd wyrozumieć jego myśli.

Stuart kazał idącym za nim ułanom zasunąć wejście do lochu, poczem szepnął kilka słów Barcikowskiemu. Wachmistrz salutował i wyszedł z żołnierzami. Stuart z hrabianką zostali sami.

Komendant osunął się ociężale na ławę i tarł czoło niespokojnie. Beatrycza, zasunięta w głąb fotelu, szarpała nerwowo róg chustki, czekając na odezwanie się Stuarta. Gdy ten milczał uporeczywie, hrabianka nie mogła znieść dłużej niepewności i zauważyła rozdrażnionym głosem:

— Masz rycerski sposób postępowania z kobietami! Sądziłam, że bodaj pewne względy...

Stuart zwrócił swe wyraziste, bystre oczy na hrabiankę. Beatrycza zmieszała się i niedokończyła zdania. Milczenie zaległo po raz wtóry.

— Mówże! Dlaczego nie mówisz? Niech się to raz skończy!—wybuchnęła Beatrycza, tracąc panowanie nad sobą.

— Piekielne odkrycie!—rzekł cicho Stuart.

— Odkrycie?!

— Raczyński był tu... dzisiaj!

Hrabianka zbladła.

— Raczyński mówił!.. Jesteś tego pewnym?—wyjąkała z trudem.

— Są ślady... są dowody... są ludzie, którzy go widzieli!.. Beatryczo, tobie coś jest?...Ty drzysz!?

— Zdaje ci się! Twoje postępowanie...

— Ach, nie czynię mi wyrzutów!.. Wojna. Głowę tracę. Jestem na tropie nikczemnego podejścia i nie mogę pochwycić jego nici!..

Hrabianka odetchnęła.

— Była bitwa! Austriacy zastali nas dobrze przygotowanych. Powinni byli dobrą wziąć naukę... tymczasem zasadzka tu, w tym lochu!..

— Czy podobna!

— I to zasadzka taka, że mam prawo przypuszczać, iż tu, w klasztorze muszą być wspólnicy!.. Rozumiesz?... zdrada!.. A kto do niej należy?... Masz, taki Raczyński!

— Ten młody porucznik, co to w dniu naszego przyjazdu?..

— Ten sam!.. Anibyśmy się ważył go posadzać!.. Dałbym sobie głowę uciąć, że on do tych proklamacyi rękę przyłożył! Labirynt! Trzeba mieć szczęście! Bronić się, zdobywać, bić się — rozumiem, ale obawiać się, że człowiek, któremu rano dłoń ścisnąłeś, może cię zaprzedać nieprzyjacielowi — to do pioruna — obrzydzenie zdejmuje!

— Czy tylko nie mylisz się co do Raczyńskiego!

— Czy się nie mylę! Widziano go! Zresztą on jeden znał przejście, on jeden... no i wy!.. A przecież ciebie ani *sir* Jakóba nie mogę posądzać! Ale gdzież jest *sir* Jakób?!

Beatrycza drgnęła z lekka.

— Nie umiem ci powiedzieć! Nie widziałam go od rana!...

— Muszę go odszukać! Potrzebny mi jest ktoś zaufany!..

— Więc ty ufasz *sir* Jakóbowi?..

— Cóż za pytanie!

— A ja — odparła Beatrycza po pewnem wahaniu — jabym na twojem miejscu mu nie wierzyła... ja bym go się bała!..

— *Sir* Jakóba! Ależ żartujesz chyba! Różnimy się z nim niekiedy w poglądach na rzeczy, lecz mimo to jest prawym, dzielnym oficerem, któremu ja mam do zawdzięczenia wiele, nawet to, że ty jesteś w tej chwili ze mną!

— Jesteś tego pewnym!?

— Beatryczo porzuć te domyslniki!

— Dowiedz się zatem, że on wszelkich sił dokładał, byle mi tę podróż wyperswadować!..

— Czy być może!..

— Wolałby po prostu mieć mnie dla siebie!

— Tego się nie spodziewałem!..

— A nadto od dni kilku powzięłam podejrzenie... którego sama się boję... Lecz nie, lepiej o niem ci nie mówić, mogę się mylić!..

— Beatryczo, przede mną nie powinnaś nie ukrywać!.. Ja powinienem wiedzieć o wszystkim!

— Nie, *Gaetano* pozwól, że zamileczę! Chociaż to, co się dzieje... zdaje się, potwierdzać podejrzenia...

— Mów, nie ociągaj się! *Sir* Jakóbowi zawdzięczam wolność! Wiesz, że już wyznaczony byłem do galer niewolniczych! Jeżeli... to obowiązkiem moim jest zapobiedz, nie dopuścić... zresztą *sir* Jakób! Niepodobna!..

— Właśnie i mnie się tak zdaje! Po prostu urojenie dziecinne! Wprawdzie wczoraj już był dziwnie roztargniony... dzisiaj widziałam go z Raczynskim... rozmawiali długo tutaj, w tym pokoju... Mnie nie był! Gdy powróciłam... kobierzec był zaciągnięty, kłapa ledwo domknięta...

— Beatryczo, chyba się mylisz?!

— Nie sędzę. Ale możesz sprawdzić — trzebaby tylko odszukać *sir* Jakóba! Pytałam się służby, posyłałam — dotąd go nie znaleziono.

— Więc *sir* Jakób...

— Mój drogi, sama nie rozumiem a raczej boję się rozumieć!..

— Beatryczo, na Boga, ja muszę wiedzieć o wszystkim. Nie ukrywaj niczego, nie opuszczaj żadnego szczegółu! Pamiętaj, że tu idzie o nasze szczęście!

— Nie wiem, domyslałam się tylko... lecz to są zaledwie podejrzenia!

— Te można sprawdzić!.. Przed chwilą tu, u wejścia ze schodów, znalazłem kilka porzuconych

kaganków... wyglądały tak, jakby je kto niedawno zagasił! Daruj kochana... myśl, że ty jesteś mimowolną strażniczką tego zejścia, napelniła mnie lękiem. Teraz zaczynam pojmować—Raczyński musiał mieć współnika i miał go... Pozwól... więc kiedy widziałś po raz ostatni *sir* Jakóba?... Przypomnij sobie dobrze!

— Pamiętam doskonale! Rano, według zwyczaju, wyszłam pod wały—gdym powróciła w tej oto komnatce zastałam go z tym... poręcznikiem. Nie chciałam im przeszkadzać! Zdziwiło mnie nieco, że *sir* Jakób mój pokój wybrał na miejsce rozmowy — nawet potrosze uraziło — więc się cofnęłam i wyszłam. Wówczas rozległy się pierwsze strzały na przedmieściu—wiedziona ciekawością, pobiegłam na mury... Kapitan Han spostrzegł mnie i zmusił do ustąpienia. Zawróciłam po raz drugi do kwatery, lecz już *sir* Jakóba nie zastałam! Strzały wzmagały się, bitwa przedłużała się, ogarnęła mną trwoga, drżałam na samo przypuszczenie, że ty, Gaetano, możesz się znajdować w ogniu... chciałam się czegoś dowiedzieć, wyprawiłam Paula, służebne... nakazując im bodaj odzyskanie *sir* Jakóba... daremnie... Nareszcie przybyłeś ty!...

Komendant wysłuchał ze skupioną uwagą słów hrabianki, a kiedy skończyła, westchnął i ozwał się po namyśle.

— Zdaje się, że jestem blizki gorzkiej prawdy! Nie zaniedbam niczego, aby ją wykryć...

tylko, Beatrycze, ani słowa o tem do nikogo... *Sir* Jakób wszedł w te mury dzięki mnie... Rozgłoszenie tej sprawy padłoby cieniem na mnie... a i bez tego, jeżeli tak pójdzie dalej... jestem zgubiony. Ty przeniesiesz się stąd natychmiast, każę ci wygotować kwaterę pod wieżą... tu stanie warta... W razie napadu powtórnego, prochem wysadzę loch i zasypię go raz na zawsze!..

— Gaetano, nie czyn tego... może ci być potrzebny w razie wycieczki!

— Dam sobie radę i bez niego!

Beatrycza nie śmiała przeczyć. Stuart raz jeszcze zalecił jej, aby bez zwłoki jęła przygotowywać się do przenosin, a sam powrócił do swej kancelaryi, gdzie gorączkowo zaczął kreślić plan nocnej wycieczki.

Komendant przedewszystkiem chciał znaleźć odwet za dwukrotną porażkę, chciał nietylko Bronovacky'ego nauczyć zachowania, lecz i własnych żołnierzy zagrzać, napęlić zaufaniem, wiarą dla oręża, dla dowódecy.

Stuart nawet przed samym sobą nie próbował usprawiedliwiać przegranych potyczek, nawet nie chciał rozważać, ile podstęp i zdrada zaważyły na szali zwycięstwa. W szkole legionów nauczył się zasady, że dobry wódz przewidzieć sam powinien podejścia i udaremnić zdradę. Więc i tu siebie samego obwinił i sam najpierw chciał złe naprawiać.

Wycieczka zdawała się mieć pewne widoki powodzenia. Kapitan Celiński, w myśl nakazów, nadsyłał raport za raportem z przednich straży—zawsze upewniając, że w obozie nieprzyjacielskim panuje cisza i że Austriacy żadnych ruchów nie-
przedsiębiorą. Porucznik Lewicki, osadzony na wieży jasnogórskiej, potwierdzał co chwila raporty Celińskiego. Bronovacky, snąc syt rannego zwycięstwa, spoczywał, może knując nową rozprawę na dzień następny.

Nad wieczorem niebo zasnuło się chmurami; w ślady za niemi strumienie ciepłego dżdżu lunęły na ziemię, przechodząc zwolna w monotonna, równomierną pluchotę. Komendant ręce zacierał z ukontentowania. Takiego mu właśnie czasu trzeba było.

Około północy dwie kompanie wołytyżerów i trzy gwardyi narodowej stanęły pod bronią w głębokiem milezeniu. Miał je prowadzić Han. Stuart zaś z jedną kompanią grenadyerską chciał sam rozpocząć napad. Plan był dobrze pomyślany. Komendant występował pierwszy za mury i flankierował na prawe skrzydło nieprzyjacielskiego obozu. Na pierwszą salwę Stuarta—Han z czterema kompaniami miał uderzyć na środek—piąta zaś kompania trzymać powinna rezerwę...

Komendant pełen otuchy i dobrej myśli—ruszył z kompanią. Wszystko sprzyjało wyprawie. Plusk deszczu głużył odgłos kroków żołnierzy; nieprzeniknione ciemności skrywały go w swych całunach przed okiem nieprzyjacielskich placówek.

Stuart posuwał się szybko, mając przy boku swoim poruczników Działkowskiego i Bleszyńskiego, i ledwie szeptem zalecając żołnierzom baczność. Po kilkunastu minutach marszu — komendant zatrzymał kompanię, a sam z porucznikami ruszył naprzód, upatrując, czy nie dojrzy gdzie placówki austriackiej. Dokoła ciemność panowała nieprzenikniona. Nawet obóz nieprzyjacielski zapadł się tak, że go widać nie było. Kiedy komendant ruszał z pod murów, jeszcze mógł był rozeznąć ognie biwaków austriackich—teraz i te pogasły, czy skryły się w warkoczach deszczowych.

Komendant zaklął zeicha i ozwał się do Bleszyńskiego.

— Tu muszą być placówki... Rozejrzyjcie się a dobrze!.. Choć oko wykół, nie widzę...

— Niema... komendancie!..

— Do czarta, czyśmy nie zbłądzili!.. Może zapędziliśmy się za obóz!.. Niema rady... musimy się rozejść... Stańcie koło mnie! Bokiem!.. Tak!.. I teraz dwieście kroków przed siebie... gdyby który zauważył coś podejrzanego... niech wraca na miejsce!.. Pamiętajcie panowie... pół obrotu wykonać na miejscu, inaczej zmylicie dyrekeyę!.. Broń was Boże przed alarmem zawczesnym!..

Na dany znak porucznicy ruszyli z miejsc. Stuart poszedł za ich przykładem. Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków — od lewej strony doszedł go stłumiony głos Działkowskiego.

— Komendancie... ani kroku dalej!..

Stuart stanął, rozglądając się niepewnie. Działkowski nadbiegł i wskazał komendantowi czarny pas w odległości kilkudziesięciu kroków.

Komendant zachnął się.

— Co się stało?!

— Nieprzyjacieli... idzie ku nam... posuwa się!..

Stuart wpatrzył się dłużej — pas czarny poruszał się, przybliżał.

Komendant nie wiedział, co począć. Spotkanie było dlań niespodzianką, której nie przewidywał.

— Cofnijmy się, komendancie! — nalegał Działkowski.

— Trzeba ratować Bleszyńskiego!

— Nie—ja pójdę!..

Nie było czasu do namysłu. Komendant zawrócił do kompanii, i wysławszy dwóch ordynansów do Hana, aby go uprzedzić o spotkaniu, sam cofał się zwolna ku murom, chcąc dać czas porucznikom połączenia się z oddziałem. Naraz, w stronie obozu nieprzyjacielskiego, padły dwa strzały — a w odpowiedzi na nie błysnęła smuga ognia karabinowego — wślad za nią druga, i trzecia, i czwarta.

Komendant ze zgrozą postrzegł, że ma przed sobą dziesięćkroć dłuższy front nieprzyjacielskiego ognia. Do przedmieścia tymczasem czekała go długa droga i to, jak teraz, pod gradem kul, które już padać zaczęły dokoła jego kompanii. Stuart chciał odpowiedzieć na salwę, lecz wstrzymał się, rozumiejąc, że wytknie w ten sposób cel Austrya-

kom. Ci ostatni jednak sami jeli szukać celów i następowali coraz bliżej. Stuart nakazał szybszy odwrót, chcąc bodaj stanąć pod osłoną baterii częstochowskich. Wtem, poza sobą, usłyszał rozpaczliwe nawoływania poruczników Bleszyńskiego i Działkowskiego, a wraz z nimi odgłos zażartej walki. Stuart w jednej chwili zwrócił kompanię, nakazał pochylić bagnety i runął na odsiecz porucznikom. Natarcie było tak gwałtowne i niespodziewane, że Austryacy, nie mogąc rozeznaczyć liczby nacierających, cofnęli się raptownie i rozpoczęli ogień karabinowy.

Stuart, odbiwszy poruczników, znów rozpoczął odwrót i to wbrew zapalowi żołnierzy, którzy rozgrzani zwycięstwem darli się naprzód i następować chcieli. Ten rozkaz komendanta ocalił całą kompanię, gdyż Austryacy, by wyjść z bitwy po omacku, wysunęli naprzód oddział kanonierów z racami. Krwawe smugi światła rozproszyły ciemności i okazały Stuartowi grozę położenia.

Cały korpus Bronovacky'ego stał gotowy do boju — kawalerya sunęła już od lewego skrzydła, dla przecięcia odwrotu Stuartowi — dwie baterie armat skradały się ku przedmieściu, pragnąc ogniem działowym powitać piechotę Hana.

Nie było chwili do namysłu. Stuart rzucił się wprost na mury klasztorne i pod nimi flankierował ku Hanowi. Austryacy, widząc ucieczkę, rozwinęły zajadły ogień, pragnąc przeciąć Stuartowi drogę. Komendant nie próbował nawet myśleć

o obronie, rozumiejąc, że jedyny ratunek ma w odwrocie. Austriacy jednakże baczili, aby i ten jeszcze udaremnić Stuartowi. Pół batalionu szasserów ruszyło podwójnym krokiem na przełaj grenadyerskiej kompanii.

Stuart postrzegł, iż nie zdąży połączyć się z Hanem i że przyjdzie mu stoczyć krwawą bitwę z dziesięćkroć silniejszym nieprzyjacielem. Sformował więc czworobok, oparł się o mury klasztorne i tak sunął pod nimi, gotów do strzału.

Szasserzy austriacy dali ognia — Stuart odpowiedział salwą, lecz zanim zdążył poraz drugi plunąć z karabinów — Austriacy pochylili bagnety. Wstęga stalowych ostrzy zaświeciła złowrogo w blaskach wyrzucanych rac. Grenadyerzy skupili się i czekali.

Grzebień bagnetów zbliżał się, pędził, jeszcze chwila a już roznieść miał grenadyerską kompanię. Stuart zakomenderował „do oka broń“ i ostatnią salwę chował... wytrzymywał, aby ani jedna kula nie chybiła, aby drogo sprzedać życie.

— Poddaj się! — huknął naraz jakiś głos od strony szasserów.

— Baczność! — Cel! — zawołał Stuart.

— Poddaj się! — wezwał tenże sam głos poraz drugi.

Stuart już wyciągnął pałasz, aby zakomenderować — „ognia,“ — gdy naraz mury klasztorne zadęgotwały w posadach — huk straszny rozdarł powietrze tuż nad głowami grenadyerskiej kompanii...

Bateria częstochowska jąła mówić Austryakom, że niewolno bezkarnie stać na linii jej strzałów.

Austriacy, mimo krwawe bruzdy wyżłobione kartaczami — nie dali się zatrzymać i dopadli Stuarda — lecz tu znów karabinową powitani salwą a srodze prażeni przez baterię, która pod wodzą porucznika Wiśniewskiego biła bez wytchnienia — jęli cofać się, uchodzić.

Stuart był ocalonym. Kusilo go, aby za nieprzyjaciółmi wypaść i na karkach ich wziąć zapłatę za nieudaną wycieczkę, lecz rozumiejąc, że w otwartym polu łącno nowa klęska spotkałby go mogła, a wspomniawszy na pozostawioną bez dowódcy Częstochowę — cofnął się na przedmieście i schronił za wałami.

Armaty częstochowskie grały jeszcze przez pewien czas — lecz, nie odbierając odpowiedzi od Austryaków — umilkły.

Stuart czekał jeszcze za wałami — mniemając, iż nieprzyjaciół do szturmów się rzuci — lecz napróżno. Obóz austriacki znikł wraz z ostatnimi racami — monotonny pluchot dżdżu nie pozwolił nawet szmeru rozeznąć.

Komendanta w tem oczekiwaniu i złość i wstyd ogarnęły.

Póki spodziewał się szturmów, póty obiecywał sobie odwet, zatarcie śladów niefortunnej wyprawy, w miarę jednak, jak godziny schodziły na bezczynnem oczekiwaniu — wzburzenie w nim rosło. Próbował czynić wymówki Hanowi, iż nie

pośpieszył mu z pomocą, lecz odebrawszy krótką odpowiedź, że oddział kawalerii groził wtargnięciem na przedmieście od lewego skrzydła i trzymał piechotę Hana w szachu — umilkł, i otuliwszy się płaszczem, ruszył na obchód wałów.

Straże witały komendanta monotonnym okrzykiem „baczność“ i automatycznie sprezentowawszy broń — zapadały w swe ponure zapatrzenie w nieprzeniknioną płachtę dżdżystej nocy. Stuart krążył bez celu po murach klasztornych, nie odpowiadając na wojskowe pozdrowienia. Cała myśl jego skupiała się około przekleństwa, które go ścigało, które gotowało mu już od kilku dni coraz to inną niespodziankę. Ochotnik Cybiński rozpoczął!... Przeor kazał mu się nad nim litować! Pasy zeń powinien drzeć a byłoby może inaczej!... Po trzykroć prawie samocheąc wpadł w matnię, dał się podejść, wyprowadzić w pole! Jakiż tu zdać raport, jak go ułożyć? — Nieprzyjaciół podszedł do przedmieść rozłożył się obozem, ani jednego szturm nie przypuścił... i zadał mu klęskę!... Trzy klęski — a najstraszniejsza z nich to upadek ducha, zwątpienie, zdemoralizowanie nowozacieżnych!... A zaprzedał go Stuart! Wątpliwości nie było — tylko on!... Jemu zwierzył się z wycieczką... a potem tak był nieostrożnym, że, dowiedziawszy się o niekzemności *sir* Jakóba, nie zmienił planu! nie odwołał rozkazów!...

Komendant błakał się po klasztorze, cisnął rękoma rozpalone skronie i rozpamiętywaniem cza-

sów służby włoskiej, kiedy to za przykład go stawiono, kiedy rozkazy dzienne najpochlebniejsze o nim dawały świadectwa — zdawał gorycz, podniecał rozognioną wyobraźnię. Wreszcie siły odmawiać mu zaczęły posłuszeństwa, uderzenie kolbą po ramieniu, zadane mu w ataku, dokuczało coraz bardziej. Stuart zawinął się mocniej płaszczem, nasunął kaszkiet i przysiadł na murze pod armatą, nie zważając na chmury deszczowe, które już go zębem przejmowały.

Wartę odprawiający kanonier usunął się na bok a gdy naszedł go podoficer obchodowy — zaraportował mu natychmiast:

— Pan komendant... przy drugiej armacie trzeciej baterii spoczywał..

Wyrazy te dotarły powoli do dowódcy odwa-
chu.

Stuart tymczasem uległ ogarniającemu go znużeniu. Raz jeszcze próbował otrząsnąć się, przywodził sobie na pamięć obawę szturm — zmęczenie przemogło. Wsparł się o lawetę i tak usnął.

Kiedy obudził się — dzień już był szary, przesiąknięty wilgocią. Komendant podniósł się, z trudem prostując skostniałe członki, i opanowawszy nieco rozespanie, strzepnął płaszcz, nasiąknięty dżdżem i obejrzał się, — przed nim stał kapitan Szymanowski.

— A to wy, kapitanie! — ozwał się Stuart, a chcąc usprawiedliwić swój dziwny nocleg, dodał,

nadrabiając miną: — Psi czas! Zdrzemnąłem się. A wy jakże tam?! Staliście pod bronią!?

— I stoimy jeszcze!.. Właśnie po rozkazy przychodzę!..

— Hm!.. Tak!.. Kompanie, które były na służbie zluźować... zaraz zluźować!.. Czyja kolej!?

— Godlewskiego!

— Przy zdawaniu służby niech go Han uprzedzi... żeby żołnierza na chwilę nie puszczał z bojowego szyku! Kto wie—może Austryakom przyjdzie znów ochota!..

— Kiedy właśnie... panie komendancie...

— Czy co zaszło — macie jakie wiadomości z pikiet!?

— Austryaków niemal

Stuart oczy rozwarł szeroko, uszom własnym nie wierząc.

— Jakto?!.. Niema?!.. Kogo niema?!..

— Nieprzyjaciół ustąpił!.. Porucznik Rudowski z dwoma plutonami ruszył na rekonesans... poszli na Radomsk ku Warszawie!..

Komendant, jeszcze wiary nie dając — ujął za lunetę i skierował ją w stronę, kędy wczoraj jeszcze bieleły się namioty austriackie — lecz tam już tylko błyszczały zdala kałuże deszczu i czerwiało rozmyte legowisko — Austryaków nie było.

IV.

Ustąpienie korpusu Bronovackiego z pod Częstochowy nie ucieszyło obleżonych, a samego komendanta zgnębiło zupełnie. Bronovacki snąć odebrać musiał rozkazy, a może nie chciał marnować czasu nad dobywaniem tak mizernej fortecy. Odszedł dobrowolnie i to po daniu nauczki, że nielada jako poczynać sobie umie a obleżonym tego jeszcze wypłatał figla, iż nie pozwolił im być świadkami odwrotu.

Stuart — po naradzie z Hanem, wydał gorący rozkaz do załogi, wystawiając im, jako to jej postawa skłoniła Austryaków do rezygnacji — ale załoga przyjęła pochwały komendanta równie zimno, z równie nieszczerem uśmiechem, z jakim go Han pisał. Osobliwie gwardya narodowa spuściła z tonu i w głos dziwiła się takiej wojnie, w której zwycięzca nogi za pas bierze i po nocy się wymyka. Imć pan Czerno potężne znalazł tu racje dla swego mniemania, czy przypadkiem Napoleon już tam gdzie Austryakom Austerlitzu nie wyprawił. — Han

twierdził, iż raczej Bronovacky odebrał ordynans od głównego korpusu, który mógł odbyć rozprawę z dywizją księcia Józefa albo Dąbrowskiego i potrzebował pomocy. — Celiński uważał całe obleżenie za manewr wykonany przypadkowo, w drodze na Warszawę — przeor paulinów kiwał głową i powtarzał zcicha.

— A może go naszło!.. Albo ozwał się w nim chrześcijanin?!.. Chociaż nie zdaje mi się, oj nie zdaje!.. Na co innego mi to wygląda! Na co innego!..

Komendant słuchał cierpliwie tych domysłów, milczał i czekał. Był przekonany, iż lada godzina zaskoczy go bądź rozkaz ze sztabu, bądź Bronovacky. Wbrew tym przypuszczeniom już trzeci dzień upływał bez wieści. Wysyłane zaś rekonesanse wracały wciąż z jednakową wiadomością, że mocne podjazdy austriackie stoją dookoła Częstochowy w odległości dwóch i trzech mil od niej, — że wzdłuż Pilicy ciągną bezustanku zaprzęgi nieprzyjacielskie a w Piotrkowie i Rawie od tygodnia rządzi nieprzyjaciel. Stuart chciał kuryera do Warszawy wysłać i co najprzebieglejszych ułanów na ten ordynans wyprawiać — lecz ci wracali, raportując niemożność przedostania się przez łańcuchy pikiet nieprzyjacielskich. Komendant był odciętym i obezwładnionym.

Kapitan Szymanowski rwał się zrobić większą wycieczkę i bodaj kilka konwojów nieprzyjacielskich zegnać, lecz Stuart nie dozwolił, obawiając

się zasadzki, a osłaniając się wyraźnymi rozkazami marszałka Davoust.

W Częstochowie zapanowała beczynność. Komendant zniechęcony, straciwszy wiarę w siebie samego wyręczał się Hanem — szukając w komnatce Beatryczy zapomnienia i rozproszenia myśli. Hrabianka od chwili pamiętnej rozmowy przed nocną wycieczką, stała się dla komendanta uleglejszą, słodsza, tkliwszą. Cieszyła go, przekładała, usprawiedliwiała jego niepokoje. Stuartowi najwięcej dokuczała obawa, iż ucieczka *sir* Jakóba może się wydać. Dotąd udało mu się odwrócić uwagę oficerów zgłoszeniem, że *sir* Jakób zaniemógł i uchylił się od pomocy ojca Floryana, z którą ten się deklarował do chorego, — lecz z dniem każdym niebezpieczeństwo wzrastało. Za radą Beatryczy — komendant, pod pozorem jakiegoś podejrzenia, strzelców *sir* Jakóba osadzić kazał w kazamacie i trzymać pod strażą — pozostawiając hrabiance tylko Paula i dwie panny służebne.

Beatrycza pocieszała jak mogła Stuarda a kiedy ten z goryczą i żalem wypominał zdradę *sir* Jakóba — przerywała mu z perswazją.

— Gaetano! Przecież możesz żywić do niego urazę jedynie za jego fałszywy apetyt ku mnie, bo zresztą...

— Więc ty za nic masz podejście mnie, nikczemne skradanie się, chęć zaprzędania Austryakom!?

— Mój drogi! Kto wie, czyby ci to na korzyść nie wyszło!.. Kto wie! Czy prędzej, czy później

będziesz musiał z nimi się ułożyć—ja, na twojem miejscu wolałabym prędzej. Naco doprowadzać do ostateczności?

— Dziękuję ci, masz dobre wyobrażenie o mnie!..

— Jak najlepsze! Szanuję twoje zasługi, odwagę, zdolności i dlatego jedynie cierpię—bo je marnujesz, zużywasz, zaprzepaszczasz!—Co ty możesz uczynić przeciw tej fali!? Na *sir* Jakóba masz prawo oburzać się za jego umizgi, za intrygi miłosne, którymi chciał mnie omotać — ale zdrady wojskowej tu nie było!..

— Samaś mi powiadała o Raczyńskim!..

— I nie cofam! Bardzo rozsądnie zrobił, nieco nie po koleżeńsku: powinien był bowiem iść z wami ręka w rękę—ale nie dziwię mu się!... Przejrzał i miał prawo się ratować! Toż samo uczyni wielu innych!.. Napoleon zwyciężał, groził—póki całej Europy przeciwko sobie nie uzbroidł!.. To przyjsć musiało!.. Waszym jedynym ratunkiem, jedyną deską zbawienia, zmienić front, pójść za siłą, pójść za szalą, na którą waży się zwycięstwo! Inaczej musicie zginąć...

Komendant z lekceważącym uśmiechem przyjmował te wywody, czem pewnego dnia tak wzburzył hrabiankę, że ta rzekła doń z mocą:

— Wolno ci się śmiać, wolno słowa moje za dziecinne urojenia poczytywać, lecz do chwili, kiedy nie poweźmiesz dla mnie wiernych i uczciwych intencji...

Stuart zmieszał się.

— Jak mam rozumieć to oświadczenie!..

— Że... że droga do mojej ręki prowadzi przez patent generalski cesarza austriackiego!..

— Jesteś niespełna zmysłów!..

— Powiedziałam i nie cofam!.. Jeżeli zaś uczuwasz uprzedzenie do białego munduru — możesz wdziąć pruski!.. Ja ci zań rękę! Dziwi cię moja propozycya? Otóż dowiedz się, iż moje tutaj przybycie ma na celu nie tylko ocalenie cię dla mnie, lecz i dla ciebie samego!.. Zbyt wiele powzięłam ku tobie szacunku, zbyt wysoko stawiam twoje zdolności, bym dozwolić mogła, abyś je marnował bezużytecznie!..

Komendant nie odpowiedział na ten wywód hrabianki. W umyśle jego dopiero teraz kjarzyć się zaczęły pewne drobne, nieznaczające okoliczności i wypadki, a wraz z nimi budzić ponure przeczucia.

Stuart nie wątpił, że Beatrycza była gorącą zwolenniczką Austrii, może więcej niż zwolenniczką!... W pierwszym porywie chciał był tłomaczyć, chciał ją nawracać dla swoich przekonań, chciał obudzić współzucie dla nieszczęść ziemi, którą on tak głęboko ukochał — gdy jednak hrabianka pozostała niewzruszoną,—uląkł się samego siebie. Uląkł się własnej słabości, uląkł się swego spokoju, tego poddawania się przekonywającym tłumaczeniom.

Komendant spochmurniał, unikał zajęć służbowych, coraz częściej wyręczał się Hanem i ze wzrastającym niepokojem poglądał w przyszłość.

Beatrycza znów żadnej nie opuszczała sposobności, aby w nim podkopać do reszty wiarę we własne siły — aby wystawiać mu bezużyteczność zabiegów, aby ukazywać mu obrazy szczęścia w dali od tej gorączki, tych trosk codziennych i służbowej zależności. Stuart miękł. Stronił od towarzystwa kolegów, unikał z nimi rozmów.

Oficerowie załogi częstochowskiej po swojemu tłumaczyli sobie zmianę w usposobieniu podpułkownika i głośno prawie przyznawali, że to niepowodzenia ostatnie tak głęboko zadrasnęły jego miłość własną.

Piątego dnia po ustapieniu Bronovacky'ego ze starej Częstochowy, przywędrował braciszek klasztorny i jął do przeora paulinów się napraszać. Po długich badaniach dopuszczono go do Jasnej Góry, nie przywiązując wagi do tych odwiedzin. Aliści przeor, po krótkiej rozmowie z braciszkiem — opowiedział się na widzenie z komendantem.

Stuart przyjął niezwłocznie przeora — przybierając szorstki, wojskowy ton dla zamaskowania dokuczających mu myśli.

— Chcieliście mówić ojeze — proszę!... Słucham!... Im prędzej do rzeczy trafimy, tem lepiej!..

Przeor spojrzał przeciągle na komendanta, westchnął i rzekł oschle:

— Prawda! Naco daremne słowa... Otóż... wiadomo mi jest, że was, mości komendancie, wątpliwości gnębią... a brak wieści z głównego sztabu o niepokój przyprawia...

— Czy należy to do rzeczy!?...

— Pewnie, bo usprawiedliwia moje przybycie!..

— Więc są nowiny? Jakie!? Skąd!?

— Braciszek kapucyn przywędrował z Nowego-Miasta!...

— I cóż?!...

— Hm!.. Nowiny niewesołe... smutne nawet... ale Bogu jednemu wiadomo, co w sobie kryją!... Czterdzieści tysięcy Austryaków wkroczyło w granice księstwa... Warszawa się zbroi. Wojska ścigają! W kaliskiem wielkie obębniali werbunki — kawaleria nasza starła się po kilkakroć z przedniemi strażami... pod Warszawą nasi gotują się do walnej bitwy!... Duch ci podobno jest nielada!...

— Nie ducha trzeba, lecz żołnierzy! — zauważył cierpko Stuart.

— Kto wie! Nie zawsze!... Bywało inaczej!..

— Bywało!! A cóż więcej!..

— Nic, mości komendancie — tego już nadto!... Niestety! Ledwie jedna nawałnica przeszła, już druga naszła! Ciężkie dopuszczenie!...

— Dziękuję wam, ojeze wielbny, za wiadomość — byliśmy pewni, że tak jest, nieinaczej!... Naszego położenia to nie zmienia!...

— Braciszek nadto mówi, że od Pilicy nowa kolumna nieprzyjacielska ciągnie i, że powiadają, jako do nas ma przyjść!...

— Tego musimy się spodziewać, że o nas nie zapomną!..

— A... jakże panie komendancie rozpoczęcie, gdyby tak znów, na dobre nas oblegli!..

— Trudno rzec coś stanowczego, to zależy... Częstochowa może się bronić i obronić, lecz nie każdemu... Moje mniemanie jest tu zgola odmienne... Gdyby od emnie zależało—chwilibyśmy się nie namyslał i wyszedłbym z załogą w pole!.. Kłasztorowi nicby się nie stało!.. Austriacy nie turecy, nie bisurmani!..

Przeor podniósł się z krzesła i odparł po namyśle.

— Nie takie miałeś opinie, panie komendancie, jeszcze bodaj dwa tygodnie temu!..

— Człowiek nabiera rozumu!..

— Może! Jenó pamiętaj, mości komendancie, że tobie wały forteczne i przekopy wolno byłoby opuścić... ale mybyśmy w klasztorze pozostali!..

— Oczywiście! Któżby ojców śmiał rugować!..

— Zostalibyśmy i chyba po naszych trupach pozwolilibyśmy wejść nieprzyjacielowi!.. Dostyć tu zaznaliśmy pruskiej przemocy, dostyć odpokutowaliśmy za słabość chwilową, za obawę, którą mieliśmy wówczas, kiedy to pod skrzydła Naszej Orędowniczki, garnęły się wolontarskie oddziały imię pana Pułaskiego!.. Nadto zgrzeszyliśmy twogą o całość tych murów... zapominając, jaką mają Strażniczkę!..

— Wielbię pobożne intencye — i zapewniam was, że tymczasem niema mowy o wyjściu garnizonu!.. A co później wypadnie, losy rozstrzygną!.. Dziękuję za wiadomości! .

— Niech i tak będzie — dla was, panie komendancie—losy—dla mnie Bóg!.. Darujcie, żem spokój zakłócił!.. Ale... toć jutro zapowiedź druga!.. Czy wygłosić pozwalacie!..

Stuart poczerwieniał.

— Sądziłiscie ojeze, że nie dość...

— Nie nie sądzę! — przerwał porywczo przeor.—Zapytałem, obawiając się, czy i w tej mierze nie zmieniliście zamiarów.

Komendant zacisnął zęby i pożegnał paulina. Ostatnia przymówka głęboko go zadrasnęła, dotknęła najczulszej struny, obudziła niepokój nowy. Komendant teraz dopiero zauważył, że Beatrycza ani słówkiem nie odzywała się o mającym nastąpić ślubie, że zdawała się jakby rozmyślnie unikać o nim rozmowy... Stuart natychmiast postanowił rozstrzygnąć wątpliwości i, poszedłszy do hrabianki, przypomniał jej o drugiej zapowiedzi. Beatrycza odpowiedziała lekkim skinieniem głowy. Stuarta opanowało rozdrażnienie.

— Ciebie to nie cieszy, Beatryczo!?...

— Cieszyć? Tak cieszyłoby niezmiernie...

— Wszak to zapowiedź naszego szczęścia... wszak to niechybne zbliżenie się do...

Hrabianka potrząsnęła melancholijnie swą piękną główką.

— A mnie zdaje się, Gaetano, że jesteśmy jeszcze bardzo daleko od niej!.. Stoimy na tak przeciwnych krańcach!..

— Beatryczo! Co mówisz!?...

— Niestety!... Komuż na tem zależy więcej, aby kres położyć udręczeniom, aby posiadać ku tobie prawa nierozterwalne, aby cię móżdż nazwać przed Bogiem i przed ludźmi swoim wyłącznym, jedynym!... Jednak, czy mi wolno patrzeć na twoją zgubę, na wyniszczenie sił, zdrowia, spokoju, wielkich talentów!... Mamże ja pieczęć położyć na klątwie, której poddajesz się dobrowolnie!..

— Na miły Bóg—do czego zmierzasz?...

— Do tego, że nie mam prawa stanąć z tobą u stopni ołtarza dotąd... dopóki nie ujrzę cię... uwolnionym z tych dobrowolnie nałożonych pęt... dopóki nie pójdziesz za mną w świat szeroki, gdzie na cię czekają laury... zaszczyty!... Gaetano! Nie sądzi! Czyż błędem moim jest, że chciałam cię widzieć zadowolonym, szczęśliwym, że chciałam się tobą szczycić, że dla ciebie myślałam o przyszłości, że nie mogę pozwolić, abyś marznął i najpiękniejsze dni trawił w zapomnieniu, na przewodzeniu jakiejś zbieranej załozdze! — To dobre dla steranych wiekiem weteranów, którzy nigdy nie patrzyli poza literę rozkazu, co latami dochrapali się szlif!...

— I dlatego to... oddalasz chwilę naszego połączenia!... Dlatego—zamierzasz doprowadzić mnie do zupełnego zgnębienia!...

— A pamiętasz... jak sam porzuciłeś mnie, odbiegłeś!...

— Poczytujesz mi to za winę!... Zdaje ci się, że bez walki poszedłem za głosem obowiązku,

za głosem powołującej mnie ojezyny! Myślisz, że tam, w Italii, zasługiwać się chciałem rzeczypo-spolitej lombardzkiej, czy pracować na instrument oficerski Konwentu czy Dyrektoryatu francuskiego!.. I ty teraz myślisz o zwłoce!..

— Nie, Gaetano! — odrzekła z prostotą hrabianka!—Nie odwlekam, lecz zbliżam!... Od ciebie jedynie zależy... Nie za dwa tygodnie, lecz za tydzień możemy być po ślubie!...

— Czegóż więc żadasz odemnie! — zagadnął ponuro Stuart.

— Mówiłam ci, przekładałam tyle razy—słuchać nie chcesz!... Muszę mimowoli wierzyć, że za nie sobie masz moje słowa!...

— Beatryczo — chcesz, żebym został zdrajcą, sprzedawczykiem, żebym podeptał mój własny mundur, oplwał jedyne moje dobro—imię!..

Hrabianka szarpnęła się niecierpliwie.

— Z tobą nie można rozsądnie mówić!

— Czy inaczej wolno mi rozumieć!... Nie powtarzasz mi ciągle!... Zdaje ci się, iż nie potrafię odgadnąć ukrytych myśli!

— Tem lepiej dla nas obojga! Łudziłam się, że dość ci będzie mnie zobaczyć, abyś poszedł za mną!...

— I nie zawiodłaś się. Pójdę... lecz nie jak zdrajca!...

— Wyrazy puste... Jam mogła za tobą tyśiące mil się wlec, rzucić wszystko!.. Ja, kobieta!..

— Beatryczo, nie mów tak bo mnie lęk zdejmujel... Boję się samego siebie a boję dla okrutnej myśli, żeś ty nie dla mnie tu przybiegła!...

Hrabianka porwała się z miejsca.

— Dokończ!—zawołała surowo.

— Że tobie... idzie przedewszystkiem o kapitulację!

Beatrycza podniosła głowę, krwawy rumieniec oblał jej delikatną twarzyczkę, palącym wzrokiem zmierzyła komendanta i wskazała mu ręką drzwi... W ruchu tym tyle było szlachetnego oburzenia, tyle pewności siebie, tyle obrażonej dumy, że Stuart uląkł się własnej śmiałości.

— Przebacz mi! Sam nie wiem, co mówię! Chcę pójść z tobą i za tobą—a nie widzę punktu wyjścia!... Łamię się z samym sobą, pasuję!... Chwili nie mam spokoju!...

— Łudzisz raczej samego siebie! Usiłujesz wmówić we mnie, że to, co się ma stać, przyjdzie bez ofiar! Mówisz o poświęceniu, lecz sam nie myślisz o niem!... Pragniesz uwierzyć, że przysłałam tu, aby cię do zdrady namówić! Dowiedz się, że tak—namawiam cię, namawiam dla twego dobra!..

— Tak, tak Beatryczo—tyś szlachetna!... Jam ciebie nie wart! Słaby jestem, zwątpiały... ale są rzeczy dla żołnierza straszne... Daj choć przecze-kać, niech wiem, iż nie pierwszy będę... niech nazywa się, iż za innymi poszedłem, że ja nie rozpocząłem!...

Po tej stanowczej rozmowie—komendant uspokoił się... Jakaś rozpaczliwa determinacya go ogarnęła. Usunął się zupełnie od spraw dowództwa, zbywał składane mu raporty i czekał—czekał, sam dokładnie nie zdając sobie sprawy na co. Tak upłynął tydzień. Han czynił wszystkie zarządzenia, porządkował magazyny, podniósł okopy na przedmieściach, pilnował rekonesansów, a że zawsze od komendanta odbierał lakoniczną odpowiedź, aby czynił według swego mniemania, także zaczął się zniechęcać i ręce opuszczać.

Był wieczór—cichy, majowy. Ziemia po miesiącach odrętwienia oddychała wszystkimi porami pierwszej zieleni. Kojące zefiry pieściły w jedwabnych uściskach równiny mazowieckie. Strop niebieski lśnił pełnią swej szaty gwiazdzistej.

Stuart wracał z bezmyślnej przechadzki pod murami fortecznymi na wieczór do hrabianki.— Był jakoś w lepszym niż zwykle usposobieniu. Zapomniał na chwilę i o Bronovackym i o żądaniach Beatryczy i o całym ciężarze myśli, które teraz prawie nigdy go nie opuszczały. Szedł, nucąc swywołną piosnkę żołnierską. Snać wiew wiosny ukołysał szarpiać go burze i tehnął nadzieją lepszego jutra. Ot—miała rację Beatrycza, miał i on swoją! Czas załagodzi i jedno i drugie, i wynajdzie trzecie wyjście. Tak rozumował komendant i szedł spokojny, zadufany.

Minał kazamaty, magazyny, odpowiadając łaskawie na wojskowe ukłony kręcących się żołnie-

rzy, i tak doszedł do odwachu. Tu nagle zdjęła go ochota zajrzeć, co się dzieje — nie był tu już dawno na inspekeyi. Tą powodowany intencją zwrócił na lewo. — Już był z daleka dostrzegł strażnicze ogrodzenie i żołnierza trzymającego wartę przy bramie — gdy wtem, w dali usłyszał tentent kopyt końskich... Koń stanął przed odwachem... Rozległ się głuchy dźwięk dzwonka a po nim alarmujące uderzenie bębna.

Komendant bez namysłu rzucił się ku odwachowi. Bęben łomotał coraz gwałtowniej. Z kosszar odpowiadać mu zaczęły inne bębny i chrapiwe pobudki trąbek ułańskich.

Stuart stanął przed odwachem.

— Kto dowodzi?! co to za alarm!?...

— Porucznik Lewicki, kompanii Szymanowskiego!.. Nieprzyjaciel nadciąga!

— Co waćpan?!..

— Ordynans z rekonesansu porucznika Rudowskiego! Austriacy idą!...

Komendant kilka razy kazał sobie powtarzać raport,—wiary nie dając słowom Lewickiego.

W godzinę niespełna nadeszła z pikiet wiadomość druga, dokładniejsza. Pułkownik Grammont z tysiącem sześciuset piechoty Szeklera, dwoma szwadronami kaiserszwolężerów i siedmiu armatami szedł przyspieszonym marszem ku Częstochowie, zagarniając po drodze furazę i spędzając ludność okoliczną do sypania okopów i prowadzenia aproszów.

Stuart po pierwszym wrażeniu ostrygł nagle, a rozgorączkowanego Hana zbył lakonicznym rozkazem, że na razie winien utrzymać ten sam porządek, co przy poprzednim oblężeniu. Hana zadziwiła ta oziębłość.

— Tak, komendancie, jednak wszystko zdaje się wskazywać, że korpus Grammonta na dłuższą się tu wybrał wyprawę!...

— Być może—zobaczmy!—odparł sucho Stuart i, bąknawszy coś o wzmocnieniu posterunków na przedmieściach—poszedł do Beatryczy, podzielić się z nią nowinami.

Hrabianka powitała komendanta badawczem spojrzeniem.

— Gaetano!... Tobie coś jest!?... Słyszałam alarm!..

— Nie!—mruknął cicho komendant.—Są!...

— Austriacy!—podechwyciła żywo.—Nareszcie się to skończy!...

— Może bardzo smutnie!..

— Ach mnie tylko pozostaw!...

— Co chcesz czynić?..

— Dowiesz się! Teraz pozwól tylko mnie...

Stuart puścił mimo uszu słowa hrabianki i zatopił się w myślach. Były one teraz bardziej ponure, ciemniejsze, niż kiedykolwiek. Niemoc jakaś wstąpiła w komendanta, dała mu całą gorzyc świadomości swego istnienia a równocześnie przysłoniła drogi wyłamania się, uwolnienia od niej. Komendant nie poznawał samego siebie —

cała jego służbistość dawna, karność żołnierska przeszły—obraz Beatryczy nie schodził mu z oczu, przysłał mu nawet niebezpieczeństwo, grożące fortecy. Przypuszczenia, które nigdy nie śmiałyby stać w duszy Stuarta—teraz wolny znajdowały przystęp—możliwość poddania się przemagającej sile niewydawała już mu się pozbawioną racji! Tam gdzie niema widoków zwycięstwa, tam ludzkość niewoli do zaniechania walki daremnej. Hrabianka rządzi się rozsądkiem, no a niema powodu źle życzyć Księstwu... bo czyż ono istotnie nie jest wydanem na łup Austryakom! Czterdziestotysięczna armia! Armia wyćwiczona, zahartowana i któż ma się jej ostać?... Panowie z „Pod blachy“?... Może Kamieniecki, Hebduski, Friebe albo Rautenstrauch?... Jest Dąbrowski—lecz cóż on stanowi z jedną dywizją rekrutów... wolontarzy, dzieciaków!... Tu Han, Szymanowski mogą bruździć... oficerowie zdolni, lecz bez szerszego objęcia... chociaż same wypadki mogą ich rozumu nauczyć.

Noczeszła spokojnie. Grammont około dziesiątej wieczorem wysunął widety dookoła fortecy, obsadził mocnymi posterunkami Wyczerpy i Starą Częstochowę, a sam rozłożył się obozem we wsi Kamień, i tu wygodne sobie słał legowisko.

Aż do południa następnego dnia, cisza głęboka zalegała obóz nieprzyjacielski—gdyby nie gęste patrole, snujące się w oddali, gdyby nie żółto-czarna chorągiew furkocząca ponad najbliższym domem Starej Częstochowy—można byłoby mniemać, że

jednego korpusu wojsko zajmuje i fortecę i wsie okoliczne.

Stuart z Hanem stał na murach, wysłuchując obojętnie raportu o rozstawieniu oddziałów, a sam zastanawiając się, jak mu wypadnie się zachować, gdyby przysłało doń parlamentarza... tymczasem, ku wielkiemu zdziwieniu komendanta, miast białej chorągwi... ujrzał na drodze do kościoła św. Jakóba zwartą kolumnę piechoty. Grammont, oczywiście, nie myślał nawet o paktowaniu...

Stuarta złość ogarnęła—śnać zamierzają go tu jednym zamachem wziąć, kiedy nawet nie pamiętają o zwyczajach należnych fortecom!

Komendant w oka mgnieniu wydał rozkazy. Celiński z dwoma kompaniami strzelców rzucił się na pomoc stojącej pod kościółkiem pikiecie. Wiśniewski zatoczył dwie armaty na pozycję od strony przedmieścia... Rotowy ogień strzelców i grad kartaczy powitał Austryaków. Kolumna drgnęła, zawróciła i zaczęła cofać się, ścieląc drogę trupem. Celiński z bagnetem w rękę ruszył za uchodzącymi—starł się z nimi, wtłoczył w ulice Starej Częstochowy a dostrzegłszy nadciągające posiłki, cofnął się na stanowisko.

Niespodziewane zwycięstwo ożywiło fortecę, przejęło zapalem żołnierzy, rozruszało samego Stuarta. Winszował szczerze Celińskiemu, dziękował Wiśniewskiemu i cieszył się szczerze z nauczki, jaką dał Grammontowi. Humor komendanta tak się poprawił, że gdy hrabianka, wysłuchawszy prze-

biegu utarczki, kwaśną stroiła minę—Stuart parsknął śmiechem.

— Moje dziecko drogie... jeżeli tak dalej pójdzie... nie wiadomo, jak imię pan Grammont będzie wyglądał... obawiam się, czy już jutro nie pójdzie za Bronovaekym!..

— Nie sądzę!.. Niema powodu cieszyć się przed czasem!.. Zaostrzyłeś tylko położenie!..

— Żartujesz chyba!.. Miałem pierwszy z nim traktować!.. Parlamentarza nie przysłał—nie zawiadomił o swoim przybyciu... postępuje sobie, jak rabuś a nie jak oficer, przychodzący dobywać obrońnego placu!.. Zresztą, ten plac bodaj czy na jego słabe zęby! Bronovaeky stawiał lepiej!..

— Więc ty się łudzisz!..

— Bronię się, do pioruna!—wybuchnął Stuart.—Nareszcie nikt nie kapitułuje przed takim, który ucieka!

— Nie znasz Grammonta!..

— I ty, chyba także!

— Ale słyszałam o nim!.. Jeden z najdzielniejszych oficerów sztabu... Przekonasz się!..

— Dla mnie starczy dzisiejszego ataku! Puścić batalion piechoty bez asekuracji, bez rezerwy, bez wsparcia ogniem... tego by nawet taki nasz pan Czerno, dowódca gwardyi narodowej, nie zrobił!..

Grammont zdawał się samemu wstydzić swej nierozwagi, bo cofnąwszy piechotę, nie kusił się

bodaj na ostrzeliwanie Celińskiego i znów zapadł w obóz bez ruchu.

Ukontentowanie w fortecy istotnie miało być krótkotrwałem—pochwycony a dość liczny niewolnik, badany z całą surowością, odpowiadał jednogłośnie... Nowiny nie były pomyślnie. Według tych relacji Grammont miał już wiadomość o krwawej bitwie, stoczonej pod Warszawą przez arcyksięcia Ferdynanda, w której moc wojska ledz miała, a która poprzedziła jakoby szturm ostateczny! Niewolnik nadto kłął się, że pułkownik nie ruszy się krokiem dalej, dopóki fortecy nie zdobędzie i, że lada dzień spodziewa się znacznych posiłków.

Grammont widocznie zwłóczył i nie śpieszył się—bo znów dzień cały i noc wypocząwszy—nad ranem dopiero zaczął się poruszać. Leniwe to były ruchy, ospałe. Załoga Częstochowy mogła zupełnie swobodnie przypatrywać się, jak spędzeni kmietkowie przed Starą Częstochową sypali szaniec, jak nieliczna artylerja opieszale rychtowała armaty a piechota formowała się w podługne czworoboki.

Manewry były tak przewlekłe, tak powolne, że nawet spodziewać się niepodobna było, aby były czemś więcej, niż zwykłą demonstracją. Niespodziewanie, około godziny czwartej po południu, w obozie nieprzyjacielskim zagrały bębny—a w ślad za nimi bateria z pod Starej Częstochowy—dała ognia. Mury klasztorne zadygotały w posadach—Stuart skinął na Wiśniewskiego—porucznik stanął przy działach—sam celował, sam podpalał—armaty

odpowiedziały — lecz nie doniosły do baterii austriackiej...

Stuart zaklął i bezużytecznych strzałów kazał zaniechać.

Grammont tymczasem wybijał bez wytchnienia ponure akordy i gradem pękających granatów zasypywał mury klasztorne i pozycje, na przedmieściu pod Ś-tym Jakóbem. Położenie załogi częstochowskiej stało się nieznośnem — brak armat dalekośnych udaremniał wszelką możność odwetu i skazywał na dotkliwy a niebezpieczny ogień, — ile, że granaty zaczęły szukać już magazynów... Imię pan Czerno z gwardyą narodową stanął na dachach budowli, gotów do gaszenia mogącego wybuchnąć pożaru — lecz granaty szły tak gęsto, że pożoga zdawała się być nieuniknioną.

Komendant burzył się, nie wiedząc, co począć a ostro napominając Wiśniewskiego za to, że cofnął dwie haubice z pod kościoła Świętego Jakóba, które tak dzielnie sprawiły się dnia po przedniego — i tem samem udaremnił obronę.

Wiśniewski się tłumaczył i chciał pod strzałami zataczać działa, komendant, widząc występującą z poza baterii piechotę, oparł się temu. Han radził znów, aby cofnąć strzelców z pozycji pod kościółkiem a tem samem uchronić ich od pewnej zguby — ale i tu Stuart odmówił przyzwolenia. Kapitana dotknęło odrzucenie, bądź co bądź, przezornego planu.

— Panie komendancie... przecież coś musimy... wygniotą nas bez boju co do nogi!..

— No, nie tak łatwo im pójdzie!..

— Granaty idą na magazyn... mają dobre wiadomości!.. Nie taki ten Grammont... jak się zdawało!.. Za godzinę nas zdziesiątkuje!

— Widać, żeś mości kapitanie tęższego ognia nie oglądał!..

— Pewnie — nie zdarzyło mi się nigdy... patrzeć, jak nieprzyjaciół rozbija mury, i nikt mu w tem nie przeszkadza!..

— Mości kapitanie — niema rezonów! Poruczniku Wiśniewski — ośm armat wymierzyć na łąki z lewej strony! — Nabijać kartaczami!..

Wiśniewski z oznakami zdziwienia zabrał się do spełnienia rozkazu. Stuart pilnował sam przewlekania armat — poczem, gdy działa były narychowane — ozwał się do Hana.

— Waszmość obejmiesz komendę!.. Ja ruszam na przedmieście!..

Kapitan salutował w milczeniu. Komendant z kompanią żołnierzy rzucił się do kościółka Świętego Jakóba i stojącemu tam Celińskiemu nakazał zasygnalizowanie odwrotu. Trąbki zagrały. Komendant sam prowadził gwałtowny odwrót, prowadził ku łąkom...

Ruch ten Austriacy powitali okrzykiem tryumfu i całą kolumną piechoty pogonili za uchodzącymi.

Stuart, widząc następujących za sobą nieprzyjaciół, — na chwilę nie zmienił pozoru ucieczki.

Dopiero kiedy zobaczył, że jego oddział znajduje się pod gardzielami armat — jednym zawołaniem zmienił front, plnął rotowym ogniem i dał znak Wiśniewskiemu. Armaty częstochowskie bluznęły kartaczami, wyzerając w kolumnie austriackiej krwawą plamę...

Szekler, kierujący sam tym atakiem, zagrzał żołnierzy. Austriacy zwarli się i szli — lecz Wiśniewski na pół kroku już ich nie odstąpił... dał kolumnę, dziesiątkował, ogłuszał, spowijał mgłami dymu i żelaza. Austriacy chcieli szlusować, chcieli linię ognia przebyć, napróżno. Stuart, rozbiwszy swoich żołnierzy na łańcuchy tyralierskie, prażył ich również dzielnie. Kolumna piechoty poszła w rozsypkę a wpadłszy na swoją własną baterię siała popłoch i zamieszanie.

Komendanta rwało coś do pościgu — lecz, zoczywszy czających się kaiser szwoleżerów, nakażał Celińskiemu zająć opuszczone stanowisko — a sam powrócił do fortecy. Tam powitały go okrzyki pełne zapалу dla talentu i męstwa dowódcy, których dał dowody w obliczu całej załogi. Han, Szymanowski, imię pan Czerno i ojciec Florian nie mieli dość słów uwielbienia.

Stuart zimno przyjął powinszowania, a na rokowane nadzieje odparł chłodno:

— Gdyby tu szło o mnie i Grammonta... można by sobie wiele obiecywać, ale nie zapominajcie waszmościowie, że, niestety, najświetniejsze czyny zwycięskie nie roztrzygną wojny!..

— Kto wie, kto wie! — mruknął ojciec Florian, trzaskając tabakierką.

— Ojcowie paulini — przerwał surowo Stuart — mają inne zgoła pojęcia... sprawdziłem to nieraz... Przywiązują szczególniejszą wagę do tego placu! Napoleon inaczejby wojował! Rozbiłby najpierw główny korpus... zmusił do zdania się na łaskę... a takie fortece, jak Częstochowa, sameby mu bramy otworzyły!..

Oświadczenie komendanta skwasilo kapitanów, otworzyło im oczy na to, że w istocie najlepsze ich zapaly, najgorliwsze służby — schodzą do niewiele co zaważyć mogących czynów.

Obóz austriacki teraz głuśza zaległa. Wszystko zapowiadało, że Grammont po krwawej nauce znów zapadł w odrętwienie. Naraz, o zmroku, na całej linii nieprzyjacielskiego obozu ozwały się pobudki. Załoga Częstochowy porwała się na nogi. Pobudki nie ustawały — rozlewając się w akordy zawitych hejnałów.

Stuart nie mógł dojść znaczenia tych alarmów, chociaż znał był melodye komend austriackich. Aliści wśród za pobudkami, dały się słyszeć salwy armatnie i radosne okrzyki żołnierzy na pikietach.

Komendanta śmiech pusty zdjął.

— Ani chybi ten sobie zwycięstwo wybijał Bodaj ich!.. W skórę weźmie i wiwatuje!

— Może im posiłki nadeszły! — zauważył Han.

— Toćby się nie chwalili przed czasem!

— A może grzebią kogo ze znaczniejszych oficerów.

— Cóż znowu... armaty grają!.. Rozpalają ogień!.. Nie słyszysz, kapitanie, jak wrzawa się wzmacza! Chociaż należałoby ostrzedz forpocztę! Może pułapka!

Stuart miał słuszość. Obóz austriacki huczał, bił łunami ogni, niby jakowąś uroczystość obchodząc.

Niepewność wkrótce się wyjaśniła. Kapitan Celiński, z pozycyi od Świętego Jakóba, nadesłał ordynansa z wiadomością o zbliżaniu się parlamentarza. Porucznik Bogdanowicz wyszedł z plutonem dla przeprowadzenia posła. Lecz ku wielkiemu swemu zdziwieniu, prócz parlamentarza, zoczył imię pana Truszkowskiego podsędkę częstochowskiego. Porucznik chciał pytać imię pana Truszkowskiego, skąd się tu był wziął w parlamentarskiej ekspedycyi, lecz ten jeno głową potrząsnął smutnie i jęknął głucho.

— Oj przywiodło mnie tu, przywiodło! Powiedz waszmość... powiedz! Wolałbym takiego poselstwa nie odprawiać!..

Bogdanowicz nakazał zawiązać oczy obu wysłańcom i zaprowadził ich do fortecy.

Komendant, który znał również imię pana Truszkowskiego, nie mniej był zdziwiony. Parlamentarz atoli zagaił, że ma nakaz pośpiechu — więc Stuart wziął odeń pisanie Grammonta i, dla lepszego rozpatrzenia się w niem, poszedł do swojej

kancelaryi. Tymczasem około wysłańców austriackich jęli się kupić oficerowie. Ten i ów poznawał imię pana Truszkowskiego i zagadywał.

— A waszmość tu skąd?! — Co? imię podsędek? — Razem z parlamentarzem austriackim? — Może na nowej służbie!?!..

Truszkowski ręce łamał, ocierał pot z czoła i sumitował się.

— Jako żywo — wywlekli, zagrozili!.. Bodajbym się zapadł, niż takiej chwili dożył!.. Odstapcie... Nie nastawajcie... im później się dowiecie, tem ci dla was lepiej!.. Dola nasza... dola!..

Te wykrzykniki imię Truszkowskiego tem większe budziły zaciekawienie i podniecały domysły załogi.

Stuart długo siedział zamknięty w kancelaryi nie dając znaku życia, ani nie wzywając do siebie kapitanów. Parlamentarz się niecierpliwił. Po godzinie ledwie wyszedł komendant. Był błądy, poruszony niezwykle. Oficerowie odstąpili wysłańców Grammonta.

— To, co mi pisze pułkownik Grammont... jest gołosłownem... więc najpierw, wiary temu dać nie wolno! — ozwał się z naciskiem Stuart.

— Racz, panie komendancie, wybadać przybyłego ze mną pana sędziego!

Stuart skinął na imię pana Truszkowskiego i znów z nim długie prowadził rozprawę. Późem dopiero powołano do kancelaryi kapitanów.

Godziny upływały—parlamentarz się niecierpliwił—załoga pozostawała w niepewności. Około północy ordynans służbowy wyprowadził im pana Truszkowskiego i powiódł go do celi ojca Floryana i tam pozostawił.

Po długiej chwili ordynans powrócił, lecz już tylko z ojcem Floryanem. — Paulina wpuszczono natychmiast do kancelaryi, w której zasiadał komendant z kapitanami.

— Cóż ojeze?—zagadnął pośpiesznie Stuart.

Paulin ręce skrzyżował na piersiach.

— Imię pan Truszkowski powiedział prawdę!—rzekł głucho zapytany—Warszawa jest w rękach Austryaków!..

Komendant odetchnął ciężko i zwrócił się do kapitanów.

— Widzicie, waszmościowie... przeczecucia mnie nie zawiodły!... Cha! Tymczasem wolno nam udać, że nie uwierzyliśmy... a potem... trzeba będzie się zdać na los!... Z tą odpowiedzią... odprawić parlamentarza!...

Kapitanowie w milezeniu spełnili rozkaz. — Stuart narzucił płaszcz i wyszedł, żeby zaczerpnąć powietrza, żeby odetchnąć, zastanowić się nad wypadkami.

Truszkowskiego znał dawno, nie było zatem wątpliwości, że wiadomość o poddaniu Warszawy jest prawdziwa.—Truszkowski sam tam był, sam umknął przed wejściem Austryaków, a dopiero pod Częstochową pochwycony przez podjazd, — stanął

przed Grammontem równocześnie z kurierem od arcyksięcia Ferdynanda. Relacye sędziego były przerażające—wojsko polskie zdziesiątkowane, stolica wydana przez zdrajców z „pod Blachy“... Godebski zabity pod Falentami... Fiszer dogorywyjący... Książę minister z generałami i niedobitkami rejeruje do Drezna... szukać opiekuńczych skrzydeł Napoleona... Cały kraj wydany na łaskę i niełaskę Austrii...

Tę wieści przeszły najśmielsze przepowiednie Beatryczy... najsmutniejsze obawy Stuarta. Grammont dziś wzywał do układu!.. Gdyby nie zaciętość Hana, gdyby nie Godlewski—kto wie — może rozważniej byłoby zawrzeć konwencję i wyjść z bronią w rękę, gwarantując sobie wolny powrót do wielkiej armii!.. Za kilka dni może być gorzej jeszcze... Grammontowi mogą przyjść posiłki a z nimi takie zadufanie, że nie będzie chciał słuchać a warunkach.

Tak rozmyślając, Stuart szedł ku kwaterze Beatryczy, — z góry spodziewając się, że tam czekają go wymówki za słabość, za uleganie podkomendnym. Stuart bał się tych wymówek i mimo-woli kroczył i nadkładał drogi, żeby niemiłą chwilę tłumaczenia odwlec.

Nieomal przed samą kwaterą hrabianki ujął go ktoś za rękę. Komendant otrząsnął się. Przy nim stał przeor.

— Jedno słowo, panie komendancie! — rzekł ponuro paulin! — Czy z waszego rozkazu... idą te rozmowy z obozem nieprzyjacielskim?!

— Co za rozmowy!?

— Przypatrz się im komendancie!

Przeor wskazał ręką na okna kwatery hrabianki, w których naprzemiennie to ukazywało się światło, to gasło...

— Darujcie, ojcze przeorze, lecz nie nie rozumiem!..

— Proszę za mną! Z okna mojej celi będzie widoczniejszem!..

Stuart poszedł za paulinem. Gdy znaleźli się w celi zakonnej — przeor otworzył okno i wskazał komendantowi najbardziej wysunięty dom starej Częstochowy.

— Uważaj, mości komendancie, — widzisz te mrugające światła?.. Teraz zwróć głowę tu, na kwaterę... uważaj... znaki się powtarzają!..

— Prawda! — szepnął Stuart.

— A zdaje mi się, że to kwatera hrabianki Venosta! — dodał paulin, spoglądając badawczo na komendanta.

— Tak, istotnie... ale może to pomyłka!.. Sprawdzę natychmiast!..

— Owszem... należałoby!.. Bo jeżeli ów Grammont tu takich sprzymierzeńców znajdzie... obrona będzie niemożliwą!

— To niepodobna! — zaprzeczył żywo komendant. — Wam, ojcze, się przywidziało... biegnę natychmiast!..

Stuart, jak burza spadł do kwatery Beatryczy — odtrącił służebną, co mu chciała zastąpić drogę

i wbiegł do izdebki, z której szły znaki. Hrabianka na widok komendanta cofnęła się raptownie od okna.

— Beatryczo — chcesz siebie i mnie zgubić!? Prowadzisz konszachty z nieprzyjacielem!?

— A... wiesz już!..

— I nie ja jeden!.. Na miły Bóg — zastanów się!.. Przeor trafił na trop!.. Ucieczka *sir* Jakóba prawie wykryta... Han mnie o niego dziś dopytywał... Jesteś szaloną!.. Nie wiesz, na co mnie i siebie narażasz!..

— Tylko na wydostanie się z tego zaczerpniętego koła! Warszawa wzięta!..

— Wiem o tem!..

— Wysłali do ciebie parlamentarza!.. Cóż odpowiedziałeś?!

— To, co musiałem!.. Nie wolno mi dać wiary... wiadomościom... bez szturm... bez... przymusu nie wolno mi poddawać się!..

— Taak! No to będziesz go miał! — wybuchnęła hrabianka i, ujawszy za lampę poniosła ją ku oknom i jąla przesuwając ją gwałtownie.

— Ani mi się waży! — zagroził Stuart.

Hrabianka roześmiała się zimno.

— Ja ci tylko pomagam!..

— Beatryczo, nie doprowadzaj mnie do rozpacz!.. Każę cię uwięzić! Słyszysz!?

— Czy i siebie także!?

— Bodaj nawet... byle...

— Pozwól mi w takim razie odejść stąd! Chwili jednej nie chcę tu dłużej pozostać!..

— Chcesz mnie opuścić!..

— Wolę, niż siedzieć w lochu!..

— Dziecko, czyżbym się ważył spełnić pogroźkę!?

— Więc w takim razie porzuć te wymówki niewczesne!.. Albo — albo!.. Do jutra zostawiam ci czas do namysłu!..

— Także ci pilno do mojej hańby!?

Grammont prawie do świtu czekał powrotu parlamentarza — spodziewając się, że lada chwila odbierze zawiadomienie o poddaniu się Częstochowy. Zaniepokoiła go nieco wiadomość oficera inżynierów, który nawiąawszy szczęśliwie rozmowę z *sir* Jakóbem Stuartem, zaraportował mu, że ostatnie znaki były bardzo niezrozumiałe... bo wzywały do natychmiastowego dobywania fortecy — co znów z poprzednimi znakami zupełnie się nie zgadzało. Ta niepewność tak dokuczała Grammontowi, że sam udał się na forpocztę, aby prędzej parlamentarza spotkać.

Lakoniczna odpowiedź, którą mu nareszcie parlamentarz przyniósł, a nazywająca bez mała kłamstwem i przechwałką wiadomość o wzięciu Warszawy — do pasy doprowadziła dowódcę austriackiego. Bez namysłów, bez narad, bez uwagi, że żołnierz po dość sutych libacyach, sprawionych na cześć zwycięstwa pod Raszynem, leży w głębokim śnie pogrążony — zaalarmował obóz — i sam,

stanąwszy na czele trzech batalionów piechoty — rzucił się na szanice na Stradomiu. Imć pan Czerno, który tu za oficera dowodzącego stał z gwardyą, mimo niespodziewanego napadu, stawiał się mężnie, lecz nie strzymał gwałtownego naporu i musiał szukać schronienia w samej fortecy. Grammont, spędziwszy trzymany pod strażą kmieci, nakazał im burzyć nasypy Stradomia, rozwalać palisady i palić budowle... Sam zaś, zaufany w impecie, zawrócił ku strażnicy pod Świętą Barbarą, — tu jednak czatowały już zatoczone zawczasu haubice Wiśniewskiego i ognistemi wstęgami... ostudziły zapal Austriaków. Grammont swoimi armatami próbował odpowiedzieć, rzucił kilkanaście granatów, ale dostrzegłszy znaczny ubytek w szeregach — ostygł sam...

Stradom był zdobyty.

Grammont stał pod bronią i jakby upatrywał miejsca, w któreby się mógł rzucić, a gdzieby uspokojenie trawiącej go wciąż gorączki znalazł. Namyslał się i ważył kilka godzin, na chwilę nie pozwalając zagasnąć lontom armatnim ani karabinom opaść do nóg. Aż wreszcie, wyczerpany sam nieprzespaną nocą, chcąc jakby bezsilnej złości dać upust, kazał zapalić Starą Częstochowę i cofnął się do obozu.

Zemsta dosięgnęła te właśnie budowle, poza które tyralierzy austriacy sami znajdowali osłonę — klęska skrupiła się na tych, co pozostawszy w Starej Częstochowie, poza granicami fortecy,

starali się uwierzyć we wspaniałomyślność najezdniczego wojska, co nawet już i na Stradomiu nielada jako przyłożyli się do zburzenia nasypów.

Łuna pożaru wywołała popłoch wśród okolicznej ludności. Zapalczywsi rzucili się na ratunek płonących zabudowań — lecz rozpędzeni bagnietami, jęli się kupić w gromadę i zezować ku żołnierzom austriackim — śmielsi zwracali się ze skargami do oficerów. Grammont, któremu doniesiono o skargach i utyskiwaniach, zawrzał gniewem.

— Idzie im o krzywdę!.. Zaraz będą mieli zadość uczynienie! — Otoczyć ich wojskiem i trzymać pod strażą!.. Do mnie stawić porucznika... który ordynans Bronovackiego nam przyniósł!..

Na rozkaz Grammonta — porucznik von Deibel stawił się w jego kwaterze.

— Pan, poruczniku, byłeś przysłanym przez generałów?!

— Tak jest, panie pułkowniku!

— A ten... ten... szpieg... renegat... jest z tobą!.

— Jest, panie pułkowniku!..

— Prowadź go do mnie!..

Von Deibel wyszedł. Grammont zwrócił się do Szeklera.

— Uważasz kolego... Bronovacki powiada, że ten zna jakieś przejście!.. Trzeba próbować!.. Dziwi mnie tylko, że sam z niego nie umiał skorzystać a mnie je poruczył!..

— A cóż Stuart?!

— Szalony miał pomysł!.. Były znaki!.. Dojść nie można!.. Ci trutnie ani myślą o poddaniu!.. Jestem niespokojny o niego a bardziej jeszcze o hrabiankę — szalona dziewczyna... żeby na takie się ważyć przedsięwzięcie!.. Że *sir* Jakób na podobny krok zezwolił... wierzyć mi się nie chce...

— Mogli ich pochwyć — mogli uwięzić!..

— Do pioruna, kamienia na kamieniu nie zostawię!.. Ziemię każę po tem przekletem gnieździe zorać!..

Von Deibel stanął we drzwiach wraz z oficerem w mundurze wojsk Księstwa Warszawskiego.

— Więc to ten jegomość! Przystap bliżej!..

— Znasz podziemne wejście do fortecy!

— Znam!

— Możesz zaprowadzić?!

— Mogę!..

Grammont zmarszczył się.

— Tylko mi jegomość fanfarona nie udawaj!.. Rozumiesz?!

Oficer wyprężył się, zbladł i odrzekł hardo.

— Raczyński jestem, panie pułkowniku!..

— Kto—kto?!

— Generał Bronovacki kapitański instrument mi przyznał!..

Grammont przymrużył lewe oko.

— I cóż dalej — cóż dalej!..

— Jam tu nie na poniewierkę przyszedł, lecz na służbę!.. Za więźnia mnie mają, straż stawiają!..

— No — no!.. Nie gorączkuj się pan!.. O straż się nie gniewaj — jest ona dla tego, że mamy cię w cenie! Zastanów się lepiej dobrze, czy aby na kapitaństwo swoje zasłużyć potrafisz!.. Bo tu albo — albo!..

— Wiem, co mówię...

— Jesteś pewny swego — temci lepiej!.. Dawnoś z fortecy?..

— Z dziesięć dni!..

— Więc Stuarta znasz!?

— Dowodził przecież!

— Nie o tego pytam... lecz o innego, który tam niedawno przybył!..

— Znam go także!..

— Nie czyniono mu czasem jakiej krzywdy?!.

— Nie!

— Hm! To dobrze!.. A powiedz mi kapitanie, mianowany przez generała Bronovacky'ego, czy nie widziałeś tam młodej damy...

— Beatryczy!?! — rzucił gwałtownie Raczyński.

Grammont spojrział na niego ze zdumieniem.

— Beatrycza — tak! — powtórzył z naciskiem! — A wiesz, gdzie jej kwatery?!

— Wiem!..

— Więc słuchaj!.. Pójdiesz z wycieczką — już ja tak sforsuję przedmieście, że do niego dostaniesz się z pewnością!.. Jeżeli by stawiali silny opór — ty z pół kompanią ruszysz do przejścia... stamtąd wpadniesz do kwatery *sir* Jakóba i pochwycisz go a przedewszystkiem hrabiankę Beatryczę... je-

żeli spełnisz wszystko, jeżeli bodaj samą hrabiankę przyprowadzisz, to ja ci tu, przy pułkowniku Szeklerze, słowem oficerskim ręczę, że nie tylko wyrobię dla pana potwierdzenie instrumentu kapitańskiego w głównej kwaterze, lecz nadto trzy tysiące dukatów wypłacę ci natychmiast a nawet od służb dalszych zwolnię — bo jak hrabianka będzie w obozie, ja z nimi inaczej zagram!.. Rozumiesz acan?!.

Raczyński stał osłupiały, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź. Grammont poczytał to za ociąganie.

— Pal kat, dam cztery tysiące!..

— Ja... ja mam porwać hrabiankę?!.

— Bądź spokojny! Nie będziesz miał z nią kłopotu — pokażesz jej ten medalion i powiesz, że to od Grammonta — w piekło za tobą pójdzie!.. O *sir* Jakóba mniejsza!... Cóż, namyślasz się jeszcze!?. Godzisz się!?

— Godzę! — wybelkotał z wysiłkiem Raczyński.

— Doskonale! — Nie rób takiej grobowej miny!.. Znasz fortecę, znasz przejście, powinienes dać sobie radę!.. Będziesz miał ludzi pod ręką z kapitanem!.. A pan, poruczniku von Deibel... dobierz sobie czterech żołnierzy i będziesz stanowił eskortę — zgłosisz się zresztą do mnie za dwie godziny po dodatkowe instrukcje... nad wieczorem ruszyciel.. Możecie panowie odejść.

— Porucznik Von Deibel pociągnął za sobą Raczyńskiego i powiódł na koniec obozu, do zajmowanego przez nich namiotu. Raczyński szedł blady z zaciśniętymi ustami, nie odpowiadając na uwagi von Deibla o czekającej ich wyprawie. Von Deiblowi żal się zrobiło Raczyńskiego — gdy więc znaleźli się w namiocie, ozwał się doń:

— Pluń pan na te zmartwienia! Co panu z tego!.. Domyślam się, co cię tak ukuło; juścić ta panna!.. Ślepy nie jestem!.. Wybij ją sobie z głowy — nie chciałem ci robić przykrości, ale to rzecz znana w całej dywizyi — jeszcze jak staliśmy w Nowo-Wschodniej Galicyi a Bronovacky był pułkownikiem i szefem sztabu piątego korpusu, przed Brusem... Cała historia!.. *Sir* Jakób był przysłany z Wiednia, jako znakomity oficer artyleryi, instruktor — za nim przyjechała hrabianka, niby jego narzeczona — ale jak Bronovacky zaczął się umizgać, tak tyle zrobił, że Stuarta dodano mu do jego brygady, jako nowomianowanemu generałowi!.. Za tym Stuartem poszła i hrabianka... Tymczasem nawinął się Grammont, młodszy, zdolniejszy i bogatszy... hrabianka tak kręciła, że ją wyprawili do Częstochowy, niby, że tam dowodzi krewny *sir* Jakób!.. Bronovacky się uparł... ale wybuchła wojna — *sir* Jakób, żeby się od Bronovacky'ego uwolnić, póty zabiegał, póki nie przyszedł rozkaz arekcyseia... No i to pewne, że nie kłamał. — Bronovacky więc na złość jął się napierać na zdobywanie Częstochowy — hrabianka niby mu

pomagała a rada była, żeby Grammontowi przypadło w udziale zdobycie — bo generalskie epolety pewne... Tak się wodzili!.. Bronovacky dostał rozkaz marszu na Warszawę — bo przecież Grammont czuwał, a to ulubieniec samego Mohra! Bronovacky odszedł jak niepyszny — Grammont postawił na swoim!.. Maszże teraz całą tajemnicę — bierz dukaty i kapitański instrument, ale co hrabianki się strzeż!.. Już pewny jestem, że to ona sprawiła, iż się do nas przystała — nie potrzebowałem śledztwa — przez sen się wygadałeś sam!.. Ale mnie do tego nie! Wybij sobie z głowy cały romans, bo się na nie nie przyda! A chcesz to ci pokażę tu zaraz jeszcze kilku dudków, wystrychniętych przez hrabiankę. — Niema co — ale strzeż się jej, bo jakbyś jej zawadzał, to cię nie pożałuje!..

— Niech się ona mnie strzeże! — wybuchnął Raczyński. Von Deibel skrzywił się.

— Dzieciństwo!.. Tylko czasem nie myśl o jakim głupstwie, bo, mimo całego zachowania, będę musiał postąpić z tobą... Wyrzuć, wyrzuć panie von Raczyński tą żalosc — gra nie warta świeczki!..

O zmierzchu Grammont rozpoczął wydawać rozkazy. Cztery armaty otworzyły silny ogień na klasztor — trzy ostrzeliwały pikietę od Świętej Barbary — piechota czekała pod bronią. Grammont z Szeklerem ostatnie zamieniał narady. Szekler miał atakować Świętą Barbarę, Grammont zaś od Stradomia rotowym ogniem odwrócić uwagę nieprzyjaciela. Szekler nadto, prócz tysiąca piechoty

miał do rozporządzenia kolumnę zbitą ludu, która, w razie gwałtowniejszego ataku, powinna go była osłonić. Raczyński z Von Deiblem i z kapitanem Weinem stali na froncie oddziału Szeklera.

Zaledwie armaty częstochowskie odpowiedziały na strzały Grammonta, ten dał sygnał do ataku od Stradomia. Godlewski z Hanem rzucili się z mocnym oddziałem na osłonięcie zagrożonej pozycji, która była niejako kluczem do wszystkich przedmieść. Grammont raził zajadłe rotowym ogniem i zdawał się wszystkie siły wyteżać dla zmuszenia Hana do cofnięcia się za mury klasztorne. Han zażądał posiłków, Stuart posłał mu natychmiast dwie kompanie woltýżerów pod Szymanowskim.

Gdy walka na Stradomiu wrzała z całą zajadłością—Szekler tymczasem, pod osłoną armat, zbliżał się do Świętej Barbary. Stuart sam tu czuwał mając przy sobie Celińskiego i gwardyę narodową imię pana Czerno. Kolumna Szeklera, wykryta z łatwością wśród jasnej, księżycowej nocy, powitana została tak mocnym strumieniem ołowiu, że kroku postąpić nie mogła. Szekler zatrzymał się—wyczekał póki pierwszy impet gorączkowych strzałów nie minie, a potem dał znak Weinowi, aby poprowadził swoją kompanię razem z tłumem bezbronnym a wylekłych mieszkańców Starej Częstochowy.

Tłum, dźwignięty ostrzami bagnatów, z okrzykiem zgromadził się ku reducie pod Świętą Barbarą. Lecz porucznik Wiśniewski chwili się nie

wahał i kartaczami jął zasypywać kolumnę. Tłum taczał się jak pijany, blúzgał krwią, po kilkakroć chciał przełamać mur napierających go z tyłu bagnatów i jeszcze szedł, jeszcze szukał ocalenia.

Raczyński z von Deiblem, otoczony żołnierzami, stanowił niejako serce tego tłumu. Tu największe było zamieszanie, tu wzburzenie, opór tłumu rósł, tu jeden za drugim się krył, chronił, zapierał. Tu za czwartą salwą armat Wiśniewskiego rozległy się pierwsze zawołania do buntu. Bunt w oka mgnieniu rozgorzał i rzucił się tam, kędy niebezpieczeństwo było bliższe... Lud szarpnął się, odwrócił i na ślepo wpadł na ściskającą go eskortę—własnymi ciałami gniotąc bagnety i obezwładniając je.

Szekler, postrzegłszy rozpaczliwe szamotanie eskorty, a widząc, że rozżarty tłum lada chwila może ją zmódrz, wpaść na piechotę i zmieszać—zatoczył armaty, byle grożącą zawalę, co prędzej usunąć, zmieść, bodaj kosztem eskorty.

Armaty austriackie dopełniły grozy położenia. Lud, prażony z dwóch stron nieubłagalnym ogniem, tarzał się, wił, rozpadał na gromady. Żołnierze eskortujący go—traktowani teraz na równi z tłumem, porzucili karabiny i mieszały się z nim.

Oddział prowadzący Raczyńskiego ten sam los spotkał. Kapitan Wein chciał czworobok sformować i cofnąć się do Szeklera, lecz aby się doń dostać, trzeba było wytrzymać wstęgę żelaza...

Wein, mimo wszystkiego, chciał się ważyć, lecz zanim wśród szalonego łomotu i wrzasku kotłujących się ludzi zdołał sformować żołnierzy, — tłum runął i rozbił go.

Raczyński uczuł się wyrwanym z pośród Austryaków i powleczonym. Porucznik, rozumiejąc niemożliwość jakiegokolwiek oporu, biegł za innymi ku austriackim armatom, gdy jednak Szekler wzmoenił ogień karabinowy i tłum zwrócił się w stronę przeciwną — znów uniesiony falą pędził na oślep — tracąc ostatek władania. Raczyński, wśród kłębiących się dymów, poświstu kul, jęków, przekleństw i huczących armat — ani położenia nie mógł rozeznąć, ani myśli zebrać...

Naraz łomot przed nim wzmógł się — biegnący przed nim padać zaczęli...

Raczyńskiemu mignęła raz i drugi wstęga ognia. Zdawało mu się, że słyszy tuż przy sobie stalowy głos Stuarta — gdy naraz uderzył całą powierzchnią swego ciała o ciemną zawałę. — Zawała rozstąpiła wśród piekielnej wrzawy... Raczyński postąpił jeszcze kilkanaście kroków i padł na ziemię.

Przez chwilę nie wiedział, ani gdzie jest, ani co się dookoła niego dzieje. Zwolna przytomność wracać mu zaczęła, a z nią razem świadomość położenia.

Raczyński podniósł głowę — ponad nim z murów Częstochowy chmury kartaczy szły nieprzerwanymi smugami — wokół, wśród niewyraźnie rysujących się szop, rozlegały się odgłosy toczony walki.

Wtem od strony linii austriackiej zawarczały bębny... Porucznik zrozumiał — była to komenda do ataku. Raczyńskiemu groziło znów dostanie się między dwa ognie. Jął więc czołgać się, aby znaleźć schronienie. O kilkanaście kroków przed nim była szopa — porucznik bez namysłu skierował się do niej i prześlizgnął się przez nawpół rozwalone drzwi. Lecz tu rychło postrzegł, że nie był sam. Zdjął go lęk, aby nie wpaść w ręce Stuarta... Naraz race, rzucane z murów klasztorych, padając około szopy, wznieciły ogień... Po nawpół rozwalonym dachu jął ślizgać się płomień, przejmować go wskroś i rozświetlać wnętrze szopy.

Raczyński teraz dopiero poznał szopę, ogarnął jednym rzutem oka zbitą masę ciał ludzkich, i dostrzegł odsłonięte wejście do podziemi. Ciała ludzkie, blaskiem ognia rozbudzone z odrętwienia, jęły się poruszać, poznawać. Porucznik pojął, że w tej gromadzie, w której gęsto bieliły się mundury austriackiej piechoty — lada chwila wybuchnie nowa walka, postanowił więc szukać schronienia w podziemiach. Świadomy miejscowości rzucił się ku wejściu do podziemi i zaczął biedz na oślep chodnikiem. Zrobiwszy tak kilkadziesiąt kroków — przystanął — wspomniawszy na to, że kurytarz ma rozgałęzienia i, że może w nich zabłądzić.

Nagle, w pobliżu, usłyszał jakiś chrobot. Na razie zdawało mu się, że może szczury odprawiają tu swoją robotę — lecz chrobot zwiększał się, przeszedł w szelest przesuwanych rąk i w ciche

stapanie. Porucznikowi przyszło na myśl, iż nie jest sam w lochu. Wątpliwość trwała krótko, bo naraz rozległo się tuż przed nim silne zawołanie.

— Kto tu jest?

Raczyńskiemu zdawało się, że głos ten zna. Chciał odpowiedzieć—ale głos jał nawoływać coraz surowiej. Porucznika zdjęła wątpliwość, przytulił się do ściany i milczał. Głos brzmiał coraz niecierpliwiej. Porucznik rozumiejąc, że nie zdoła uniknąć spotkania, chciał się cofnąć ku wejściu, gdy wtem, w głębi kurytarza, błysnęło światło. Głos umilkł. Światło z początku niepewne migocące—zbliżyło się, zamieniało w mocno gorejące pochodnie. Raczyński cofnął się, drżąc na samą myśl, że może wpaść w ręce Stuarta. Tymczasem od strony wejścia do lochu doszedł go zgłęb kilku naraz głosów.

Porucznik spostrzegł, że jest wzięty we dwa ognie, że zarówno z jednej, jak i z drugiej strony kurytarza grozi mu spotkanie...

Sam nie wiedząc, co mu począć wypada, zasunął się we wgłębienie lochu i, podsypawszy prochem pistolety—czekał.

Pochodnie zbliżały się, nadchodziły—Raczyński zaczął już odróżniać mundury pułaskie swego pułku... Lada chwila znajda go, dosięgną... chyba podstepu zażyć... jeżeli mu zaufają, jeżeli nie mają rozkazu, jeżeli z nimi niema którego z oficerów załogi.

Nagle od strony niosących pochodnie dał się słyszeć donośny głos.

— Hej!.. Kto tu wołał?!..

Porucznik teraz poznał głos—był to Barcikowski, wachmistrz jego plutonu. Raczyński wysunął się z wgłębienia—aby odpowiedzieć—lecz między nim a pochodniami zarysował się niewyraźny cień i dał się słyszeć ten sam głos, który wołał poprzednio, lecz już osłabiony, niepewny.

— Sam tu... do mnie!..

Pochodnie nadbiegły żywo i otoczyły ślaniającego się pod ścianą człowieka. Raczyński cofnął się do wgłębienia i stąd przyglądał się rozgrywającej się scenie.

— Coś ty?! Skądżeś się wziął?!—huczał Barcikowski.

— Dajcie mi pić!.. Ustałem!.. Rana... pali!.. Oddycham!.. Bóg zapłać!..

— No, bratku, zbieraj nogi!.. Z nami pójdziesz!.. Nie chowaj tak ślepi! Pokaż no się!.. Rany Boskie... co to... acan... acan tu!.. Cybiński!.. Nieborku?! Rozstap się ziemi!..

— W imię Ojca i Syna Cybiński!—przypowiedział niespodziewanie stojący obok wachmistrza—Szafranski.

— Waszec... waszec tu... przecież waszecia rozstrzelali!.. Wszelki duch!..

— Pomóście... podnieście mnie!.. Do komendanta, do przeora, byle prędzej, bo zamrę... wiadomość niosę...

Żołnierze zawahali się. Szafranski zakrzyknął

na nich. Dwaj śmielsi, ujęli za ramiona Cybińskiego. Wachmistrz skinął i pochodnie zaczęły się oddalać.

Raczyński przez chwilę stał osłupiały, własnym oczom ani uszom nie wierząc—byłżeby to istotnie Cybiński, skazany na rozstrzelanie?! Lecz cóż robił tu, w tem przejściu, w chłopskim kubraku?! Skąd wziął się Barcikowski?... Jeżeli wachmistrz trzymał straż w chodniku — w takim razie położenie Raczyńskiego może jest lepsze, wygodniejsze! Stary wachmistrz zawsze okazywał mu żywą sympatyę, był mu prawie ślepo posłusznym a oddanym zupełnie!...

Porucznik zastanowił się, lecz cóż mu z Barcikowskiego? Służbista, gotów, mimo całego zachowania, dać znać swemu nowemu dowódcy... a wówczas. Raczyńskiego zdjęła ochota wydostać się z podziemi i wrócić do obozu—wydało mu się to tem łatwiejszem, że huk armat, który był aż do podziemia się przedostawał — ucichł nagle. Lecz tu stanął porucznikowi przed oczyma rozkaz Grammonta... Raczyński sięgnął w zanadrze, kędy był schował medalion Grammonta i roześmiał się do samego siebie. Musi przecież medalion pokazać Beatryczy—wszak to znak niezawodny.

Raczyński odetchnął ciężko i, podjawszy garść gliny—chłodził nią rozpalone czoło—usiłując myśli skupić a zastanowić się, co mu czynić wypada. Lecz głosy, które doń szły przedtem od wejścia, ozwały się silniej, pełniej. Porucznik odróżniać

zaczął niemieckie wyrazy. Teraz więc miał do wyboru—albo cofnąć się do Niemców—albo iść za ginącym w dali chodnika światłem pochodni. Raczyński wybrał to ostatnie i podążył za Barcikowskim.

Migocące w głębi światelko było dlań doskonałym drogowskazem. Porucznik szedł szybko—chcąc oddalić się od następujących z tyłu głosów i zbliżyć do pochodni, aby je na załamie kurytarza nie stracić. Jakoż wkrótce przysunął się tak do oddziału wachmistrza, że zaledwie przestrzeń kilkunastu kroków dzieliła go od niego. Teraz więc postępował ostrożnie, aby, przed upatrzaniem stosownej chwili, nie zdradzić swej obecności.

Kurytarz tymczasem jął się rozszerzać nieco—poza niesionemi przez ułanów pochodniami, ukazały się inne. Łuna światła uderzyła tak mocno, że Raczyńskiemu za łada obejrzeniem się którego z żołnierzy groziło wykrycie. Porucznik instynktownie rzucił się w bok, a dostrzegłszy ciemną załamującego się w bok kurytarza, wpadł bez wahania do bocznego chodnika. Uczynił to w porę—bo w tej samej chwili rozległo się donośne zawołanie wachmistrza.

— Stój w miejscu!.. Co tam, osłabł?..

— Tyle, że dyszy, wachmistrzu!—odparł Szafranski.

— Hm! Połóżcie go—i napoić! Niech wytechnie!.. Zeszło nieborakowi!..

— Czy aby żyw!—mruknął jeden z żołnierzy.

— Przecież widział!..

— Bogać tam, wachmistrzu... tyńfa nie dałbym... czy nam się upiór nie majaczy.

Wachmistrz splunął z obrzydzeniem i przeżegnał się.

— Licho nadało te lochy wycierać!.. No!.. Bez mitregi!.. A co, widzisz, łyka!..

— Dawnego Cybińskiego przez pół chyba zostało!..

— Zatknąć pochodnie!.. Niech tam który skoczy do porucznika Lewickiego, czy niema jakich rozkazów—a Szafrąński z czterema niech przejdzie jeszcze raz chodnikiem... może tu więcej takich się nabłąkało!..

Żołnierze w milczeniu spełnili rozkaz. Raczynski niebawem ujrzał zbliżające się pochodnie Szafrąńskiego. Porucznik rzucił się w tył, aby uniknąć spotkania. Lecz chodnik boczny, w którym się był schował, był wązki i nierówny — Raczynski z trudnością mógł iść naprzód. Naraz z głównego kurytarza wpadło światło pochodni do chodnika—porucznik zaczął biedz—lecz wtem potknął się i runął całym ciężarem na jakiś wpoprzek leżący tłumok. Światło znikło. Raczynski z trudem jął się gramolić. Właśnie wsparł się o tłumok aby powstać — gdy pod sobą prawie posłyszał przejmujący jęk. Porucznik wzdygnął się. Jęk powtórzył się po raz drugi i trzeci. Raczynskiego zdjął przestрах zabobonny. Chciał uciekać, ale wspomniawszy, że na głównym chodniku może być wykrytym — sięgnął po

krzesiwo i jął iskry niecić, byle czy marę przesładującą go odpędzić, czy też dojść pochodzenia tego jęku. Zaledwie pierwsze skry padły w ciemności — Raczynski zatrzęsł się ze zgrozy, u nóg jego tarzał się człowiek związany w kabląk. Porucznik mocniej uderzył krzesiwem nad głową leżającego i w wykrzywionej w śmiertelnym kurezu twarzy—poznał twarz *sir* Jakóba.

Porucznik po omacku ostrzem pałasza jął przecinać więzy, kępujące *sir* Jakóba i odwiązywać mu knebel. — *Sir* Jakób odetchnął pełną piersią. Raczynskiego zdjęła teraz nowa obawa, aby *sir* Jakób jękiem nie zdradził go. Wziął więc *sir* Jakóba w ramiona i zaczął przeciągać w głąb chodnika.

Gdy się to działo — Stuart, po daremnym zażartym szturmie na Stradom, dla odebrania utraconej przez imię pana Czerno pozycyi i odparciu dwóch ataków na przedmieście Świętej Barbary — obchodził mury forteczne i przyjmował krwawe raporty od oficerów. Wszędzie straty były zatrważające. Żołnierze i wolontarze — trzymeni przez całą noc i dzień pod bronią — upadali ze znużenia. Ambulans forteczny był wypełniony po brzegi. Imię pan Czerno leżał powalony kulą w biodro — kapitan Celiński odebrał dwie kontuzye. Okopy na przedmieściach były mocno uszkodzone—około Świętej Barbary niemal z ziemią zrównane. Myśleć o naprawianiu ich nie było podobieństwem, ile, że ruch w obozie nieprzyjacielskim zapowiadał nowy szturm.

Komendant w ponurem milczeniu wysłuchiwał uwag towarzyszącego mu Hana i lakoniczne rzucał rozkazy i odpowiedzi. Han, chcąc rozproszyć troskę Stuarta — odezwał się śmiało:

— Nielada nam dzisiaj uczynili krzywdę — supponuję nawet, że z przedmieść wyparują nas z łatwością — ale co tych murów, nie nadgryzą tak łatwo...

— Zapominasz, kapitanie, że tam są magazyny!..

— Zwieziono z nich tyle do klasztoru, że, zważywszy na ubytek w szeregach — na dwa miesiące dostatniego życia starczy!..

Stuart wzruszył ramionami.

— I cóż my tu stanowimy!.. Jeżeli tamci poddali już stolicę!..

Han chciał odpowiedzieć — lecz Stuart nie dał mu przyjść do słowa.

— Nie mówmy lepiej!.. Czyni się teraz co można!.. A co jutro przyniesie, nie wiadomo!.. Pójdę uspokoić hrabiankę — jakbyś co zauważył, kapitanie, podejrzanego... przyślij po mnie!.. Dnie-je — bodaj na krwawszą jeszcze bitwę!.. Żołnierzom rozdać gorzałkę — niech choć w niej znajdą pokrzepienie!

Stuart ociężałym krokiem powlókł się do Beatryczy. Hrabianka czuwała.

— Jesteś nareszcie!.. Cóż?..

— Nie! Wzięli nam Stradom... spalili Stara Częstochowę!.. Myślę, że musisz zmienić kwatery... jeżeli nas z przedmieść wyrugują — kule będą szły pewnie!..

— Więc jako?.. Dotąd się nie zdecydowałeś!.. Zapomniałeś o mojej groźbie?!

— Nie—tylko na wszystko są statuty! Dopóki nieprzyjacieli aproszów nie otworzy — dopóki włómu w murach fortecznych nie zrobi — dotąd komendant nie ma prawa żadnych prowadzić układow!..

Beatrycza szarpnęła się gniewnie.

— *Gaetano*... zapominasz, coś do mnie mówił?..

— Być może!.. Nie tak to łatwo...

— Więc cofasz się?!

— Nie—tylko, chyba nie z Grammontem będę podpisywał kapitulację.

— Dlaczego?!

— Bo za młode ma zęby, żeby mnie ugryźć—widziałem z dzisiejszego szturmu — nie brak mu zapalczywości, lecz zbywa na doświadczeniu!.. Lada porucznikby się na dzielniejszy plan zdobył.

Hrabianka zacisnęła usta.

— Jeszcze się pokaże!..

— Nie przeczę!.. Daj mi pić, Beatryczo!... Ustałem!..

Hrabianka, wyprowadzona z cierpliwości oschłością komendanta — wybuchnęła.

— Przyszedłeś, aby mi dokuczać?!

— Tylko prosić cię, abyś przygotowała się do zmiany kwatery, ponieważ...

Lekkie pukanie do drzwi przerwało odpowiedź komendanta. Hrabianka pobięła otworzyć i cofnęła się z niechęcią.

— Ktoś do ciebie!.. Już u mnie nawet cię szukają!

We drzwiach stanął porucznik Lewicki. Stuart porwał się z miejsca.

— Co się stało?!

— Komendancie... wachmistrz Barcikowski w podziemiu, w którym straż trzyma, znalazł ochotnika Cybińskiego...

— Co? Kogo?! Tłomacz się acan jaśniej!..

— Znalazł go w podziemiu... Omdlał! Jest ranny! Kazałem go pod strażą odwieść do infirmerii... Przy Cybińskim znaleziono ten oto pakiet.

Stuart wziął z rąk porucznika opieczętowany zwój papierów, nie rozumiejąc, o którym Cybińskim mowa. Poczem spojrzał na położony nadpis i drgnął. Pakiet był adresowany do niego. Komendant złamał pieczęć i zaczął przebiegać szybko treść papierów. W miarę czytania twarz Stuarta jęła się mienić, ręce drżeć, oczy się rozbłyszczać.

Hrabianka z niepokojem śledziła każdy ruch komendanta. Lewicki stał wyprostowany, oczekując rozkazów.

Stuart skończył i podniósł głowę. Po skurczu ust znać było, że chce mówić... że nie może dobrać głosu. Komendant, jakby mocował się sam z sobą, szarpał opięty kołnierz, mienił się kolorami, aż wreszcie odetchnął głęboko, chwycił powietrza pełną piersią i zawołał gromko do Lewickiego.

— Mości poruczniku! Te dwie odezwy księcia ministra wojny odnieś natychmiast kapitanowi

Hanowi — niech je ogłosi załodze przy biciu z armat! Uderzyć w dzwony klasztorne!.. Austriacy pobici pod Grochowem i pod Górą! Dwa tysiące niewolnika... Hornowski na Pradze szachuje Warszawę! Nasi na Zamość idą, na Sandomierz! Generał Dąbrowski gotuje nam odsiecz w Kaliszu!.. Naprzód — marsz!.. Do przedmieść dotrzeć, do ambulansów!..

— Według rozkazu! — odparł rażno Lewicki i znikł we drzwiach. Hrabianka, nie zrozumiałwszy ani słowa, a z twarzy Stuarta czytając, iż stać się musiało coś niezwykłego, przypała doń.

— Masz nowiny?! Masz wiadomości?!

— Zwycięstwo! Rozumiesz Beatryczo?.. Dwukrotne zwycięstwo!..

— Gdzie?.. Nad kim?!

— Pytasz się jeszcze!?. Nad Austryakami... Wydanie Warszawy to fortel! Arcyksiążę sam się chciał układać po bitwie Raszyńskiej!.. On poniósł klęskę — nie my!.. Godebski... mój pułkownik, legł śmiercią bohatera... Dąbrowski generał już w Kaliszu!..

Hrabianka zacisnęła usta.

— Ciebie to nie cieszy, nie raduje! Widzisz, co tu pisze do mnie sam książę!?. Przetłumaczę ci — czekaj!.. „Gdy podobało się Bogu powołać do siebie z pola chwały dzielnego pułkownika ósmego pułku, a jednego z najwierniejszych synów ojczyzny, Cypryana Godebskiego, — w tobie, komendancie, widzę tylko godnego następcę i nominację

przesyłam!.. Broń fortecy, tylu przykładami męstwa wsławionej i bądź pewnym, że cokolwiekbyś o losach Częstochowy postanowił, za dobre poczytam, ile, że bezgraniczną ufność pokładam... zarówno w twym doświadczeniu oficerskiem, jak i w głębokiej ku ziemi naszej miłości...”

Beatrycza ożywiła się.

— Więc widzisz... to oświadczenie, w razie czego, sciera z ciebie każdy cień podejrzenia...

— Beatryczo! Mniemasz, że ja ważę się, że myślę o układach?!

— Przecież wczoraj... dzisiaj jeszcze, zapomniałeś?!

Stuart szarpnął się całym ciałem.

— Słuchaj!.. Czego mnie kusisz — do czego namawiasz?!.. zaprzestań raz tych dyskusyj!.. Mówiłem!.. Byłem szalony!.. Opętałaś mnie swojemi namowami... Uległem im — lecz w duszy, Bogiem się klęę... nie imaginowałem nawet...

Hrabianka roześmiała się szyderczo.

— Cha — cha!.. Tak cię od razu przekabacił awans na pułkownika!

Komendant posiniał z gniewu.

— Do pioruna!.. Ani słowa więcej!.. Wolałbym się tu, razem z tymi murami, zapaść, niż tej promocji się radować, którą mi śmierć Godebskiego przyniosła!.. A jeżeli mi książę minister pisze, że ma mnie za godnego następcę, to jeno rozumiem, że i ja tu zdechnąć potrafię!.. Dostę rezonów!.. Słabizną mnie przejął, zwątpieniem

poisz, sidłać chcesz w mataczyny?!.. Takież masz przywiązanie?!.. Na to szukaliście mnie oboje... aby Jakób uciekł jak szpieg, a tybyś mnie chciała zaprzedać!?. Jestem winny — bom nie miał dość mocy, aby ci zabronić mieszania się do spraw wojskowych, bom nie potrafił stłumić w tobie od razu tych myśli, hańbiących i ciebie i mnie. Od tej chwili inaczej...

— W takim razie pozwól mi odejść stąd!.. — przerwała hrabianka.

Stuart głowę zwiesił na piersiach.

— Dokąd?! — zapytał głucho. — Przecież Austriacy...

— Bądź spokojny — między nimi będę bezpieczniejszą, niż tu... bo nie mam wcale bohaterских myśli zapadania się razem z tymi murami!..

— Prawda! — rzekł gorzko komendant. — Co tobie do nich!.. Powinienem właściwie i ciebie i siebie oddać pod sąd polowy... ale niechże i ta jeszcze wina na mnie zacięży!.. Jeżeli będziesz trwała w postanowieniu, nie będę zatrzymywał!.. Nie śmiałbym!..

— Idę natychmiast!

Komendant spojrział na Beatryczę wzrokiem pełnym wyrzutu, lecz spotkawszy się tylko z zimnem, pogardliwym skrzywieniem pięknych ust — odwrócił głowę i rzekł cicho.

— Niewolić nie mam praw!

Beatrycza klasnęła w dłonie na służebną i nakazała jej natychmiast zbierać i pakować rzeczy —

sama zaś jęła składać puzderka z kosztownościami. Stuart w milezeniu poglądał na te przygotowania — wreszcie ozwał się pojednawczo:

— Bądź rozsądna... zaczekaj, dopóki choć działania wojenne nie przyceichną... lada chwila mogą zacząć szturm...

— Dlatego właśnie nie chcę się tutaj znajdować!..

— Ależ, zanim się dostaniesz do sztabu i wytłumaczysz!..

— Dam sobie radę.

— Lecz... po prostu nie ma drogi do wydostania się!..

— Są wszak podziemia...

— Ale wejście od przedmieścia jest w rękach Austryaków! Ukazaniem się swoim zdradzisz chodnik!..

— Możesz go zburzyć!..

— Są przecież kufry, łomoki...

— Poproszę, żeby mi je potem zwrócili!.. Od ciebie zaś żądam, abys pozwolił odejść ze mną strzelcom.... Służebne...

— Nie potrzebujesz tłumaczyć — tylko... tylko... Beatryczo!.. Nicze to dla ciebie odejść mnie... porzucić!..

Hrabianka wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Dziś, kiedy wiem, jak daleko sięga twoja miłość!

— Jesteś... bardzo niesprawiedliwa!

— Masz ochotę do sentymentalnych wynurzeń!.. Nie lepiej byłoby pamiętać o strzelcach?..

Komendant nacisnął kaszkiet i wyszedł bez słowa odpowiedzi w celu wydania rozkazów, by uwolniono strzelców *sir* Jakóba i powrócono im broń, a oddano pod komendę Paulowi. Późem powrócił znów do kwatery hrabianki i, rzuciwszy się na ławę, jął przypatrywać się pakowaniu rzeczy.

Stuart jeszcze wiary nie dawał, aby Beatrycza istotnie miała opuścić Częstochowę, aby swej winy nie uznała, aby się nie ukorzyła.

Przygotowania do drogi postępowały szybko. Komendant ani się spostrzegł — gdy stanęła przed nim hrabianka i rzekła spokojnie.

— Te trzy kufry zostaną tymczasem!.. Dasz nam przewodnika?!

Komendant spojrział na hrabiankę krwią nabiegłymi oczyma, podniósł się ociężale i odrzekł bezdźwięcznym głosem.

— Sam pójdę!..

Hrabianka skierowała się ku drzwiom — komendant poszedł za nią. Przed kwaterą czekali już strzelcy z Paulem i służebniami. Stuart skierował wprost ku dawnemu mieszkaniu hrabianki. Beatrycza dała znak Paulowi — pochód ruszył śród grobowego milezenia. Gdy zbliżał się do domu Stuarta — na murach zagrzmiały wiwaty, a w ślad za nimi ozwały się dzwony klasztorne.

Stuarta żałość ścisnęła za serce — zdawało mu się, że te dzwony nie na zwycięstwo biją, lecz na pogrom, na ruinę jego nadziei, na zagładę najdroższych spodziewań, na pustkę życia. Zwol-

nił kroku, zrównał się z hrabianką i szepnął ze drżeniem:

— Zostań ze mną!.. Nie odchodź!.. Nie zostawiaj!

— Więc chodź!..

— Beatryczo, ja tu muszę!

— A ja tam!..

— Nie doprowadzaj do rozpacz!

— Ani ty mnie!

Przy wejściu na kurytarz, wiodący do izby, w której było zejście—komendant spotkał się oko w oko z porucznikiem Lewickim.

— Cóż tam, poruczniku?

— Wszystko w porządku — panie komendancie! Barcikowski trzyma straż ze swoim plutonem!.. Porucznik Rudowski zluzuje mnie za godzinę. W podziemiu spokojnie... Dwa razy rekognoskowaliśmy cały chodnik!..

— To dobrze!—mruknął komendant, a chcąc wyjaśnić charakter idącego za nim korowodu, dodał wymijająco. — Ja sam właśnie... więc zostań tutaj.

Porucznik salutował. Stuart zapuścił się w kurytarz.

W izbie u wejścia zastał komendant Barcikowskiego z ułanami. Sierżant na widok komendanta, a bardziej jeszcze idących z nim kobiet i strzelców — stropił się, nie rozumiejąc znaczenia tego pochodu. Stuart nie dał mu się opamiętać.

— Masz pochodnie gotowe?!

— Są komendancie!..

— A mina założona?..

— O trzysta kroków za pierwszym skretem!..

— Dobrze!.. Daj tym ludziom dwadzieścia pochodni!—Sam weźmiesz dwie i pójdiesz za mną!.. Komendę zdaj po starszeństwie!.. Pluton niech zostanie na miejscu!..

Barcikowski spełnił natychmiast rozkazy.

Kiedy Stuarta owionęło duszne a wilgocia przesycone powietrze lochu—w oczach mu pociemniało. Jeszcze próbował łudzić się, że Beatrycza cofnie się, że, nasyciwszy się zadaniem mu bólem, zawróci... Lecz pochód już postępował.

Komendant ścierpieć nie mógł dłużej katuszy. Zatrzymał się nagle i ozwał po francusku, aby go ani służba hrabianki ani Barcikowski zrozumieć nie mogli.

— Czas wracać—dosyć tych komedy!

— Wracaj—kiedy wola!..

— Chcesz, żebym cię zmusił do pozostania!

— Cóżby ci przyszło z tego?!.. Więc z wielkiej miłości wolałbyś mnie widzieć poszarpaną granatami?!..

— Dzieciństwo!.. Nie obawiałem się nigdy Grammonta, jeno beznadziejności oporu!.. Nasze wojska zwyciężają... no, więc i Częstochowa będzie umiała poradzić sobie z jednym pułkownikiem!

— Być może... ale to nie zmienia mego postanowienia!..

— Nie puszcę cię! Ani kroku dalej! Słyszysz!?. Armaty grają...

— Twoje własne salwy!..

— Nie—teraz... austriackie! Na Boga! Beatryczo!.. Zaklinam cię—chcesz zgubić siebie!..

— Tylko—ocalić!..

Stuart pobladł.

— Więc czego mnie i tu jeszcze oszukujesz!.. Powiedz raczej—przyszłam, aby cię zdradzić, zaprzedać, podejść, uspić udaną miłością... a teraz wracam... aby chociaż plany wydać!..

Hrabianka w odpowiedzi rzuciła kilka angielskich wyrazów Paulowi. Stuart odgadł ich znaczenie. Dobył pałasza i zagrządzając drogę ostrzem—zagroził surowo.

— Ani kroku naprzód!.. Ustap stąd?!

— Nie ustapię!

— Widzisz tam, w głębi... ten sznur?.. Starczy iskry, aby wybuch miny nas pogrzebał!..

Beatrycza ulękła się pogróżki.

— *Gaetano!* Zastanów się... ja nie tylko swego ale i twego chcę dobra! Mam rachuby!.. Uspokój się!.. Daj wytłomaczyć!..

Komendant ostygl — pałasz osunął mu się na ziemię. Rękę wyciągnął do Beatryczy — lecz w tejże chwili rozległ się przenikliwy okrzyk Paula. Strzelcy, podzieliwszy się na dwa oddziały, rzucili się równocześnie na komendanta i na

wachmistrza Barcikowskiego i w oka mgnieniu powalili ich na ziemię i związali rzemieniami. Stuart tarzał się, szarpał, przeżył a nawoływał o pomoc.

Beatrycza śmiała się z politowaniem.

— Nie krzycz tak bohaterski panie komendancie!..

— Każ mnie natychmiast uwolnić!..

— Ho — ho!.. Jeszcze rozkazujesz?.. Nie ci złego nie zrobię!.. Nie chciałeś iść dobrowolnie do Grammonta... to cię zaniosą!... Brać go!..

— Nikezemna!

— Hrabianka parsknęła jeszcze serdeczniejszym śmiechem.

— *Gaetano!* Zastanów się... Grammont każe ci dać baty, jeżeli będziesz niegrzeczny!..

Stuart zdrewniał. Twarz hrabianki, w świetle migających a skwierczących pochodni, wydała mu się odrażająco brzydką — jej rzeźbione, klasycznie rysy wyginały się w potwornie karykaturalne linie — głos hrabianki raził oschłością. Byłaby to też sama tkliwa, słodka Beatrycza.

Hrabiankę bawiło wrażenie, które z łatwością można było czytać z twarzy komendanta.

— Nie marszcz się tak, bo każę ci płachtą omotać!.. Paulo!.. Weźcie go!.. A tamtego zostawić, byłoby nam za ciężko!.. Ruszajmy!..

Czterech strzelców pochwyliło komendanta i poniosło. Beatrycza szła na przedzie — rzucając od czasu do czasu jakiś wyraz szydery.

Naraz, na zakręcie, z bocznego kurytarza wypadł młody oficer i zagroził drogę Beatryczy.

Hrabianka—cofnęła się przerażona. Strzeley za broń chwycili. Oficer ozwał się spokojnie.

— Nie poznajesz mnie? To ja, Raczyński!..

— Ach pan, pan tutaj?!

— Idę od Grammonta!.. Widzisz... ten medalion?!

— Tak—prawda!.. Ale... pan?!

— Nie, przyszedłem ci wynurzyć jego uczucia! Tęskni za tobą!.. Więcej niż *sir* Jakób, którego skazałaś na śmierć głodową... więcej niż komendant... niż ja... coś mnie za narzędzie użyła...

Beatrycza, przejęta dziwnym wyrazem oczu Raczyńskiego — chciała się zasłonić Paulem i zaczęła usuwać się nieznacznie. Raczyński spostrzegł ten ruch i lewą ręką ujął ją delikatnie za ramię. Strzeley poglądali po sobie, nie rozumiejąc tej sceny. Hrabianka pochyliła się ku Paulowi... Raczyński nie dał jej czasu się odezwać.

— Pozwól, że skończę... Jestem posłańcem Grammonta... chce mieć nie tylko Częstochowę ale i ciebie!.. Więc mu cię odstępuję!.. Idź do niego!..

Beatrycza złożyła już usta do odpowiedzi — gdy w rękę Raczyńskiego błysnęła lufa pistoletu — rozległ się strzał — kula powaliła hrabiankę.

Zanim Paulo ze strzelcami zdolali opamiętać się—Raczyński już z dobytym pałaszem wpadł na najbliższych, krwią ubroczyl, zmieszał i odpędził od komendanta.

Paulo na widok leżącej hrabianki, stracił pewność siebie i jął się cofać, nawołując strzelców i upominając przerażone służebne, aby ku wejściu się miały. Raczyński skorzystał z zamętu i rozciął rzemienie komendanta.

Stuart z pistoletem w rękę rzucił się na pomoc Raczyńskiemu. Dwa strzały padły. Strzeley odpowiedzieli, raniąc lekko porucznika — lecz zanim do drugiego złożyli się strzału w głębi kurytarza, od strony Częstochowy, błysnęły światła... Pluton ułanów naszedł tyły strzelców. Walka była krótka. Strzeley po pierwszym natarciu złożyli broń.

Komendant ochłonawszy nieco—pobiegł z pochodnią ku miejscu, gdzie leżała Beatrycza. Nad ciałem jej zastał klęczącego porucznika.

Stuart pochylił się nad Raczyńskim.

— Żyje?!

— Umarła już!—odrzekł głucho porucznik.

— Cóż ze sobą myślisz!?

Raczyński wskazał na leżący na ziemi pistolet. Komendant położył mu rękę na ramieniu.

— Nie, poruczniku!—Chcesz jej szukać.—Szukaj tam, na murach... słyszysz!?. Armaty grają!..

— Nie godnym, komendanciel!..

— Nie tyś jeden błądził!.. Sądzić nas powinni razem!.. Gdzie *sir* Jakób?!

— W bocznym lochu... ledwie, że przyszedł do siebie!..

— Idę do niego!.. Czekam na ciebie na murach!..

Raczyński został sam z Barcikowskim, który stał z rozkazu komendanta przy poruczniku i świecił mu pochodnią. Raczyński klęczał bez ruchu, wpatrując się w stygnącą twarzyczkę hrabianki. Wachmistrz czekał. Tymczasem pochodnia dopalać się zaczęła. Barcikowski zebrał się na odwagę i rzekł:

— Melduję pokornie panu porucznikowi, że nam zabraknie pochodni!

Porucznik nie odpowiedział. Po chwili, wachmistrz powtórzył swój raport, lecz i tym razem porucznik pozostał głuchy... Barcikowski ponowił raport po raz trzeci i czwarty — aż wreszcie, zdobywszy się na śmiałość — ujął Raczyńskiego za ramię.

— Panie poruczniku... pochodnia!..

Raczyński spojrzał błędnym wzrokiem na wachmistrza.

— Widzisz stary... ten Cybiński!.. Czy aby mi się nie przywidziało!.. On żyje! Nie podobna!..

— Pokornie melduję ma postrzał i dawniejsze... mu dokucza... przyniósł pisanie z głównej kwatery!.. Nasi zwyciężyli!..

— Bez ducha był!..

— I właśnie, panie poruczniku, w koszarach w mig się wydało... Kapitan Han spenetrował i znalazł w fosie rzetelnie podziurawionego stracha z wiechciów w mundurze łańskim!.. Oho!

Ale co na górze mocno idzie!.. Musi bitwał.. Pochodnia gaśnie!..

— Odejdź stąd i zostaw mnie samego...

— Według rozkazu... jeno, panie poruczniku... minal!..

— Gdzie!?

— A tu zaraz, na lewo!..

— Dobrze!.. Wracaj na posterunek u wejścia!..

— Uważam, tylko pan komendant!..

— Bez rezonów!.. Zmieniam rozkaz prawem zastępstwa!..

Barcikowski położył na ziemi resztki dogasającej pochodni i odszedł niechętnie.

Raczyński pochylił się nad ciałem hrabianki i przy ostatnich błyskach pochodni wpatrywał się w drogie mu jeszcze oblicze, aż póki ciemność nieprzenikniona nie zapanowała w lochu. Poczem przysiadł około zwłok, twarz ukrył w dłoniach. Krew pulsowała mu w skroniach, ręce drżały, w piersiach serce kołatało spazmatycznie.

Tu był nie tylko jej ale i jego grób!.. Tu pierwszych doznał mąk zazdrości, tu dosięgnął go cios ostatni!.. Ta, której poświęcił honor, zaprzedał imię, dla której świętokradzką popełnił zradę... legła od jego kuli!.. Nie chciała należeć do niego — lecz nie będzie jej posiadał ani *sir* Jakób, ani komendant, ani Grammont.. co był tak pewny!.. Wraz z jej życiem... zamarło w poruczniku wszystko!.. Jemu teraz nie do bitew, nie do służby, nie do próżnego zachodu około wznoszenia gruzów.

Judaszowe piętno już doń pewno przywarło — miano zabójcy na wieki przyrosło, — czeka go sąd polowy... a może okrutniejszy sąd pogardy ludzkiej!..

Raczyński roześmiał się sucho!

— Co mu do wyroków, co do świata całego!.. On jest przy niej. Tu kres jego tęsknic, bólów i nadziei!.. Tu grobowiec ich wspólny — i ślubny kobierzec. On sam i sobie i jej grabarzem będzie!..

Raczyński podniósł się, skrzesał ognia i, rozglądając się uważnie po ścianach, szedł ku miejscu, gdzie mu Barcikowski minę wskazał. Po krótkich poszukiwaniach, w blasku padających isker z krzesiwa, dostrzegł długi, białawy lont, idący wzdłuż ściany lochu i ginący w wyżłobionej wnęce. Raczyński bez namysłu podsunął krzesiwo — trzy iskry musnęły tylko lont i zagasły — czwarta dopiero zawisła na nim, rozżarzyła, niebieskawym płomieniem przejęła i powoli zaczęła sunąć, a skradając się ku wnęce. Porucznik uśmiechnął się i zawrócił ku miejscu, gdzie leżała Beatrycza. Dosięgnąwszy ciała hrabianki — położył się spokojnie obok niego i zamknął oczy...

Upłynęła długa, męcząca chwila. Porucznik, w mgnieniu kilku minut, całe życie po raz drugi przeżył, wszystkimi nadziejami odetchnął, wszystkie cierpienia przeboleł...

Naraz błysk jaskrawego światła uderzył o powieki Raczyńskiego. Porucznik otworzył oczy — przed nim stał przeor paulinów z pochodnią w ręku — za nim Stuart rwał i gasił rękoma lont miny.

Po czwartym z rzędu szturmie, którego jedyną zdobyczą były dogasające zgłiszcza Starej Częstochowy, Grammont uciekł, aby do tem zaciętszego przysposobić się ataku. Wódz austriacki, za radą Szeklera, rozpoczął sypać okopy i aprosze rozciągać aż pod Świętą Barbarę. Częstochowa powitała ten nowy plan kartaczami. Grammont nie ustąpił. Gradem żelaza odpowiedział, a sam, stanawszy na czele dwóch batalionów piechoty, rzucił się na pozycję polską i z szalonym impetem wpadł na przedmieście Ś-tej Barbary i opanował je — gotując pośpiesznie podsypy dla armat...

Kłeska była zatrważająca. Han chciał natychmiast ściągnąć resztki gwardyi i z pozostałych części przedmieście ustąpić i szukać schronienia za murami Jasnej Góry.

Stuart oparł się temu postanowieniu. Han nastawał. Komendant kazał wystąpić trzem kompaniom woltýżerów.

— Pułkowniku na Boga!.. Armaty zaciągają!

— Nie! Pilnuj tylko kapitanie... Wiśniewskiego — niechże im nie żałuje ołowiu...

Stuart kazał sobie podać karabin. Woltýżerzy okrzykiem zapалу powitali pułkownika.

— Pułkowniku jedno słowo! — zawołał raz jeszcze Han i, podbiegłszy do idącego już na czele kompanii Stuarta, wskazał mu nieznaczenie woltýżera w pierwszym szeregu i szepnął: — Patrz na twarz tego... tu... żołnierza... na lewo... toż Raczyński!..

Stuart uśmiechnął się.

— Cóż stąd — nie on jeden ma tu swoje porachunki!.. Naprzód!..

Kompanie ruszyły. Grammont przyjął je rotowym ogniem. Stuart rozwinął tyralierów. Dwie godziny rażono się nawzajem ołowiem. Grammont niecierpliwił się. Przyzwał Szeklera i nakazał mu uderzyć na wołyżerów. Stuart dwoma kompaniami odparł natarcie — a gdy Szekler cofał się ku swej poprzedniej pozycji — wypadł na niego z trzecią kompanią i, zmieniając obronę na atak, dotkliwą zadał Szeklerowi klęskę. Lecz Grammont tymczasem zajął dogodną a obronną pozycję na cmentarzu i, z poza jego murów, celnymi strzałami obezwładniał Stuarta. Upływały godziny — Grammont umacniał się coraz bardziej na pozycji. Stuart tracił nadzieję odebrania przedmieścia.

Wtem, wśród gradu kul — do komendanta podsunął się młody wołyżer.

— Pułkowniku! Pozwól mnie! Byle były siekiery — wyrąbiemy bramy cmentarza!..

— Waćpan się ważysz — ja z tobą!.. Siekier!.. Wołać na siekiery!!

Stuart jedną kompanię oddał Godlewskiemu i rozkazał mu utrzymywać ogień i czekać sygnałów — drugiej, pod Lewickim, polecił uderzyć bagnietami z flanku — trzeciej rozdał siekiery. — Nastąpił atak krótki, gwałtowny lecz nieubłagane zażarty. Lewicki topniał w ogniu Grammonta — Stuart na drzazgi rąbał bramę. Grammont ledwie zdołał

wytrzymywać dwa fronty — gdy Godlewski zasachował go z trzeciego.

Brama zapadła się. Żołnierze z siekierami rzucili się bez wahania w głąb cmentarza. Bataliony Grammonta rozpadły się, zmieszały i jęły się cofać... Na przedmieściu Świętej Barbary ukazał się sztandar Księstwa Warszawskiego.

Wieczór zapadł — gdy Stuart zlany krwią a okryty pyłem — stanął na odwachu częstochowskim, najserdeczniejsze zbierając pozdrowienia od Hana, Godlewskiego i ранego Szymanowskiego. Han nadziwić się nie mógł sprawności wołyżerów — a kiedy pierwszą listę ubytku sporządzało, zauwarzył znienacka.

— Ale ot przywidzenie miałem z tym Raczyńskim!..

— I słuszne!.. Był to on sam!..

— Komendancie!.. Raczyński!?. Przecież... powiadali...

— Pierwszy rzucał się na cmentarz... Pięć ran odebrał, jak lew walczył!..

Han miał coś rzec — gdy na odwach wpadł porucznik Rudowski.

— Panie komendancie... Austriacy uchodzą!..

— Wszyscy ułani na koni! Teraz nasza kolej!.. — zawołał Stuart — konia dla mnie!.. Kapitanie zastąpisz mnie! Trzeba zażyć ich w otwartym polu!.. Ruszam natychmiast! Należy im się taka eskorta!.. Przedmieścia wzmocnij... zresztą wiesz sam.

— Pułkowniku, jesteś wyczerpany... Pozwól
mnie!..

— Nie to—czasem zmęczenie takie ko!..

— Ale, a co powiedzieć hrabiance?!

Stuart pobladł...

— Kapitanie — rzekł, ujmując Hana za rękę. — Zaszły tu wypadki bolesne!. Beatrycza nie żyje... Ani o tem nie mów!.. Ani nie wspominaj... Raczyńskiego wróć do plutonu!.. Ale, w ambulan-
sie znajdziesz *sir* Jakóba... Wrócił mi wolność w Italii... Miej wzgląd—skoro zechce, daj mu stąd odejść... Cybińskiego nie wypuszczaj z pamięci!.. Dziś nie powiem ci nic nadto... Generałowi Dąbrowskiemu raport złożę — on niech stanowi... nawet i o mnie!.. A teraz w drogę—byle trudów najwięcej, byle zapomnienia choć trochę!..

KONIEC.

